

Lisa Bingham

Złowrogie echo

Mojemu wydawcy, Caroline Tolley

Dzięki za wiarę we mnie.
Dzięki za pomoc w osiągnięciu celu.
I dzięki za okładkę!

Prolog

Południowa Pensylwania

15 marca 1865 r.

Lalo od trzech dni. Pioruny waliły jak strzały armatnie, błyskawice z trzaskiem i sykiem przecinały mrok. A kiedy burza przestała się srożyć, ponad ociekającymi wodą, zielonymi zboczami ukazało się niebo zasinione i obrzmiałe.

Masywny gmach Benton House, nowego wzorowego przytułku dla sierot, stał nieugięte, urągając groźnym żywiołom. Wreszcie burza minęła. Blaski świtu załśniły w dopiero co wstawionych szybach; oczyma okien dom wpatrywał się bezmyślnie w przestrzeń, czekając na pierwszych podopiecznych.

Słoneczny blask sączący się przez obłoki podobne do bitej śmietany oświetlił twarz zahartowanego trudami wojny dziewięciolatka; chłopiec wyłonił się zza drzew rosnących przy drodze. Przez kilka minut w milczeniu wpatrywał się w stojący przed nim, pusty jeszcze budynek. Potem wyprostował się sztywno, przybierając postawę dojrzałego mężczyzny, zaskakującą u małego dziecka.

- Jesteśmy na miejscu, Annie - zwrócił się do niemowlęcia, które trzymał w ramionach. Tulił do siebie tę kruszynę z wielką czułością, niezwykłą u ko-

goś tak młodziutkiego. - Widzisz, jak tu ślicznie? Będą tutaj o ciebie dbać, zobaczysz!

Dziecko nie zareagowało na jego słowa. Starając się zdławić ogarniającą go trwogę, chłopiec skręcił na piaszczysty podjazd. Tuląc jeszcze mocniej do piersi owinięte w koc ciało, biegł przez kałuże ku schodkom wiodącym na frontowy ganek.

Woń mokrego drewna i pokostu unosiła się w powietrzu. Wspiąwszy się na palce, przybysz sięgnął do mosiężnej kołatki. Wyprężył się z całej siły i zdołał podważyć palcem antabę, która opadła ze szczękiem.

Czekając, aż ktoś się pojawi, chłopiec omiótł otoczenie spojrzeniem wytrawnego wojskowego zwiadowcy. Dostrzegł czystość i ład. Wydawało mu się także, choć nie był tego pewny, że wewnątrz domu ktoś sobie podśpiewuje. Tak, Annie będzie tu bezpieczna. Nikt już jej nie skrzywdzi.

Dochodzący z wnętrza domu śpiew umilkł i rozległ się odgłos zbliżających się kroków. Drzwi otworzyły się z dyskretnym skrzypnięciem i na ganku ukazała się tak piękna kobieta, jakiej chłopiec nigdy dotąd nie widział.

- Czego chcesz, moje dziecko?

Przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. Wpastrywał się tylko w kobietę o połyskliwych włosach przypominających barwą karmel. To był anioł. Pan Bóg zesłał anioła, żeby uratował jego siostrzyczkę!...

Ręce mu drżały, gdy odsłaniał okrytą brudnym kocikiem buzię niemowlęcia.

- Pomoże pani mojej siostrzyczce? - spytał opanowanym głosem, próbując zataić swój ból.

Kobieta dotknęła złotych, puszystych włosków, które opadły na czołko dziecka. Delikatnie przesunę-

ła palcami po bladej buzi i strzaskanej szczęce. Potrząsnęła głową; oczy jej były pełne smutku.

- Tak mi przykro...

Nie musiała dodawać nic więcej. Wiedział o tym od samego początku. Po prostu nie chciał w to uwierzyć.

Pochylił głowę i przyłożył policzek do buzi siostry. Pragnął raz jeszcze poczuć słodki zapach niemowlęcia. Potem wyprostował się i spojrzał na nieznaną kobietę. Czując na piersi przytłaczający ciężar, spytał z wysiłkiem:

- To może mógłbym dostać łopatę?... I kawałeczek ziemi?...

Za stawem Simpsona, połyskującym mdłą, cynową szarością, kryła się kotlinka o poszarpanych brzegach, otoczona nagimi i martwymi w zimie górskimi zboczami. Wyglądało to tak, jakby Pan Bóg przesypywał ziemię garściami i odrzucił jedną garstkę na bok, odrobinę dalej od reszty. W tej właśnie szczelinie Jonathan Hurst zbudował dom z myślą o młodej żonie i dzieciach, które miała mu urodzić.

Znad wody uniosła się mgła, kłębiąc się w chłodnym porannym powietrzu. Przeniknęła przez gąszcz drzew i podkrađła się do niskiego, jednoizbowego domu. Pachniała wilgocią. Pleśnią. Śmiercią.

Do tej pory wojna była dla okolicznych mieszkańców odległym pomrukiem burzy, dalekim światłem błyskawic. Teraz jednak, gdy wojska Unii zwyciężały konfederatów i obieęły ich ze wszystkich stron, garść dezertarów wtargnęła na małą farmę i rzuciła się na nią jak stado zdziczałych psów. Zaspokoiwszy swą żądę krwi, ludzkie szumowiny odjechały, pozostawiając...

stawiając za sobą ciała ofiar, sztywniejące pod mrocznym jeszcze niebem.

W stratowanej trawie koło domu leżeli Jonathan Hurst i jego młoda żona Erin, których rozdzielono w chwili śmierci, choć za życia byli zawsze razem. Z ich poszarpanych ciał wypłynęła już krew i ciepło życia, a ziemia łapczywie wchłonęła je w siebie. Obok trupów, prawie niewidoczna we mgle, klęczała czteroletnia dziewczynka z szeroko otwartymi oczyma i unurzanymi w błocie rudymi włoskami. Nie dostrzegła krwi na swej sukience, nie czuła przenikliwego zimna. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń, a z jej ust dobywało się ledwie dosłyszalne rozpaczliwe zawodzenie czy też modlitwa: - Mamusiu... mamusiu... mamusiu...

Pierwszy natknął się na nią właściciel sąsiedniej farmy, pan Macauley. Usłyszał strzelaninę i zjawił się u Hurstów tak szybko, jak mu na to pozwoliły koślawe nogi. Ale na jego widok rudowłosa dziewczynka zaczęła wrzeszczeć tak przeraźliwie, że musiał się wycofać. Nie wiedząc co począć, farmer wezwał na pomoc ojca Gregory'ego. Jednak i zacnego księdza dziecko powitało strasznym krzykiem.

Biadając głośno nad trudną sytuacją, pan Macauley zacisnął wreszcie zwiędłe wargi i spojrzał bezradnie na księdza.

- Co robić? Nie można tak zostawić biednego dziecka! Zakrzyczy się toto na śmierć!

- Podjedźcie tu wozem i sprowadźcie jakieś kobiety. Może uda im się uspokoić małą na tyle, że pozwolą się stąd zabrać.

- Ale gdzie ją niby zabrać, proszę ojca? Czasy teraz ciężkie, wojna i w ogóle... Nie każdemu wystar-

cza chleba dla własnych dzieci, a to jeszcze jedna gęba do wykarmienia...

Ojciec Gregory zmrużonymi oczyma wpatrywał się w słońce, które próbowało się przedrzeć przez strzępiaste chmury.

- Do Benton House. Tam ją przyjmą.

Cztery godziny później wóz podjechał z turkotem pod główne drzwi sierocińca. Ochrypte krzyki poruszyły znajdującego się wewnątrz budynku chłopca. Wyjrzał zza drzwi. Podczas gdy dorośli próbowali jakoś uspokoić miotającą się rudowłosą istotkę, chłopiec obserwował ją z niezwykłym zainteresowaniem.

Wydała mu się dziwnie bliska. W krzyku dziewczynki brzmiała rozpacz i furia, zdumienie i bezsilna wściekłość. Znał ten gniew. Doskonale rozumiał wszystkie jej uczucia.

Nie zważając na dorosłych, którzy zbliżali się do małej jak pogromcy dzikich zwierząt do rannego lwiatka, Daniel Crocker podszedł prosto do wozu, wdrapał się na niego i zwiesił nogi przez boczne żerdki. Całą uwagę dziewczynka koncentrowała na osaczających ją dorosłych, toteż zauważyła chłopca dopiero wtedy, gdy położył jej rękę na główce.

Krzyk nagle ucichł. Dwie pary oczu spotkały się: jego jasnoniebieskie, jej zielone jak mech.

- Ja... wiem. - Daniel nie powiedział nic więcej, ukląkł na słomie i niezgrabnie objął dziewczynkę ramionami.

Przyłgnęła do niego; jej ciałem wstrząsał bezgłośny płacz. Już nie krzyczała. Załamującym się szeptem powtarzała bez ustanku: - Mamusiu...

1

Denver, stolica stanu Kolorado
5 stycznia 1885 r.

Susan Hurst odgarnęła z czoła pasmo miedzianych włosów i ściągnęła szlafrok pod szyję. Gdyby ktoś przyłapał ją na włóczeniu się późną nocą po korytarzach Akademii Świętego Franciszka, pytaniom nie byłoby końca!... W istocie jednak teraz, gdy sama zadawała sobie tak wiele pytań i nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi, mało ją obchodziła nadmierna ciekawość innych.

Zatrzymała się tylko raz. Mijając drzwi sypialni dla najmłodszych, zajrzała do środka; jak też się zachowują jej wychowanki? Dwanaście rozczochranych główek spoczywało spokojnie na puchowych poduszkach. Jedna czy druga dziewczynka wymamrotała coś przez sen, któraś pociągnęła noskiem, inna stęknęła.

Susan pozazdrościła śpiącym. Od wielu tygodni nie przespała spokojnie ani jednej nocy. Nie dręczyły jej koszmary, o nie!... Prawdę mówiąc, było wręcz odwrotnie. 2 dwojga złęgo wołałaby jednak koszmary. Jej lęk przed zaśnięciem byłby wówczas całkiem usprawiedliwiony... A tymczasem obawia się przytknąć głowę do poduszki, by nie poddać się rozkoszonym, grzesznym tworum własnej wyobraźni...

Susan pozostawiła swe wychowanki sennym ma-

rzeniem i pobiegła korytarzem w kierunku schodów. Ponieważ nie wzięła świecy, czuła się jak na dnie studni. Jednak jej nogi potrafiły odnaleźć drogę w labiryncie krętych korytarzy, wiodących do pomieszczeń zajmowanych przez uczennice i personel Akademii, do klasztornych cel, a wreszcie do niewielkiej, niedostępnej dla nikogo z zewnątrz kaplicy, znajdującej się w samym sercu budynku.

Przed czternastu laty Susan zawitała do Akademii Świętego Franciszka jako nowa uczennica. Po czterech latach nauki pozostała w niej jako nauczycielka i rozpoczęła nowicjat. Czas biegł, ani się spostrzegła... I teraz nieubłagane zbliżał się termin, w którym będzie musiała podjąć ostateczną decyzję i wyrzec się wszystkiego oprócz klasztorного życia, które było jej tak dobrze znane...

Drzwi kaplicy otworzyły się bezszelestnie na porządnie naoliwionych zawiasach, nie zdradzając sekretu nocnych eskapad Susan. Ta znalazłszy się we wnętrzu, przystanęła na chwilę, wpatrując się w kunsztownie wykonany witraż znajdujący się za ołtarzem. Przez kolorowe szkiełka, nie większe od klejnotów, przenikała księżycowa poświata.

We dnie wątpliwości związane z jej życiową decyzją pierzchały. Susan czuła się szczęśliwa pod skrzydłami świętego Franciszka. Bardzo szczęśliwa. Z siostrami zakonnymi łączyła ją więź głębsza i silniejsza od zwykłej zażyłości, w jakiej pozostają współpracujące ze sobą osoby. Kochała swe podopieczne i swoją pracę. Nic więc dziwnego, że rozpoczęcie nowicjatu z zamiarem złożenia w przyszłości ślubów zakonnych wydawało się jej całkiem logicznym posunięciem. Ilekroć ogarniał ją niepokój, mówiła sobie, że ma prze-

cięż dziesięć lat do namysłu! A potem z pozorną bez troską udawała, że nie dostrzega upływu czasu.

Za kilka tygodni klamka zapadnie. Każde ryknięcie zegara rozbrzmiewało echem w mózgu Suzan i uświadamiało jej w sposób dobitny i niezaprzeczalny, że brak jej prawdziwego powołania. Na myśl o przyłączeniu się na zawsze do grona sióstr zakonnych czuła bolesny ucisk w piersi.

Za dnia bagatelizowała swe rozterki; wmawiała sobie, że takie obawy są czymś naturalnym. Podjęcie nieodwołalnej decyzji wymaga starannego rozważenia, a ona cierpi na „przedślubne nerwy”, jak każda panna młoda.

W nocy jednak ogarniał ją lęk i nie umiała go odpędzić. Nie mogła zapomnieć o tym, że zwiąże się na całe życie nie ze zwykłym śmiertelnikiem, lecz z Kościołem. Nie potrafiła przymknąć oczu na niezbity fakt: jej religijny zapał nie był całkiem szczery. Jakaś cząstka jej istoty pragnęła... czegoś więcej.

Susan padła na kolana, szukając pocieszenia i pomocy u stóp ołtarza, jak to czyniła co noc od kilku miesięcy. Mrok kaplicy spowił ją niczym ciężka peleryna, ponura czerń zmroziła ją do szpiku kości. Kamienna posadzka nawy była zimna i gładka jak lód, wyslizgana przez kolana rozmodlonych, pełnych skruchy kobiet, które przez ostatnich dwadzieścia lat setki razy klękały w tym miejscu.

Splótłszy ręce w błagalnym geście, Susan Hurst szepotała: - Święta Mario, Matko Boża... - Kamienne sklepienie wchłonęło jej słowa; pozostała po nich tylko pustka. Susan czuła, że jej modlitwa nie dotarła do niebios.

Westchnęła, potarła czoło i przegarnęła palcami jedwabiste loki, które zwisały jej do pasa. Najświętsza

Maria Panna o jasnym obliczu spoglądała na nią z wysoka nieodgadnionym wzrokiem.

Niepokój w sercu Susan wzrósł. Czemu Bóg nie chce słuchać jej modłów?... Czemu nie uwolni jej od grzesznych pragnień?... Jeśli ma wstąpić do zakonu, musi wyrwać z serca te niepojęte tęsknoty! Dobrze o tym wiedziała. A jednak wciąż zmagająca się ze swym krnąbrnym duchem, rwącym się ku czemuś, co nigdy nie mogło stać się jej udziałem - ani w klasztorze, ani poza nim.

Siostra Mary Margaret powiedziała jej kiedyś, że Boże dzieci nie powinny marnować energii na zbyt usilne rozmyślenia o własnych chęciach i pragnieniach. Susan od miesiąca usiłowała myśleć tylko o swoich powinnościach i wychowankach. Nie zdołała jednak odpędzić demonów, które nawiedzały ją we śnie. Nie uwolniła się od słodkich, gorączkowych majaków, sprawiających, że drżała na całym ciele, że jej ramiona same się wyciągały... do czego?...

Zimny powiew przemknął po posadzce, mroząc stopy Susan, przenikając przez cienką tkaninę szlafroka. Jej ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze; podniosła się z klęczek. Przycisnęła z całej siły ramiona do piersi, próbując się nieco ogrzać. Każdej nocy klasztor św. Franciszka zmieniał się w lodownię: w grubych murach, we wszystkich zakamarkach czaił się zimowy chłód. Wkrótce ten budynek z chropowatego kamienia stanie się całym jej światem... musi więc do tego przywyknąć. Na tę myśl wpadła niemal w panikę; niezgrabnie przysunęła się do posagu i dotknęła stóp Najświętszej Dziewicy. - Święta Mario, Matko Boża... - Tak dobrze znane słowa więzły jej w gardle. - Święta Mario...

Susan cofnęła się i obiegła wzrokiem mroczne wnę-

trze, jakby w poszukiwaniu ratunku. Od lat właśnie tu, u stóp ołtarza, znajdowała ukojenie dla zbolełego serca. Ostatnio jednak coraz rzadziej spływał na nią spokój, coraz trudniej było o pociechę. Nie mogła zdławić kipiącego w niej gniewu i rozgoryczenia.

Odwróciła się raptownie i rzuciła wyzwanie w otaczający ją mrok.

- To nie mój dom! Czy Ty tego nie widzisz, Boże?! - Słowa odbiły się od kamiennych murów i powróciły do niej groteskowo zniekształcone. Z poczuciem ostatecznej klęski, znużonym głosem dodała: - ... Ale dla mnie nigdzie nie ma domu...

Nagle mrok kaplicy przeszył jej wyciągnięty oskarżycielsko palec.

- Czemu?... Boże mój, *czemu* dręczą mnie takie pragnienia?... Czemu prześladują mnie myśli o męskich ramionach, o pieścizotach... Przecież wiesz, że ja nigdy... nigdy... - Nie zdobywszy się na wypowiedzenie tych słów, Susan odwróciła się i popędziła wzdłuż nawy; rozpuszczone włosy powiewały za nią jak ognisty proporzec. Przy ostatnim rzędzie ławek przystanęła i obejrzała się: blask księżyca wpadał przez witrażowe okno i zdobił posadzkę srebrnym, gwiazdzistym wzorem.

- To stało się z Twojej woli!... Ty zabiłeś moich rodziców i moje naiwne złudzenia!... Nie proszę o nic więcej: wskaż tylko, co czynić!... Pozwól mi wrócić do życia albo obdarz spokojem... jeśli chcesz mnie tu zatrzymać na zawsze.

Odpowiedziała jej cisza. Ale życie nauczyło Susan Hurst cierpliwego czekania. Bóg nie spieszył się z odpowiedzią... jednak prędzej czy później da jakiś znak. Za trzy tygodnie miał się odbyć zjazd dawnych wy-

chowanków sierocińca. Podróż do Ashton pozwoli jej uwolnić się na jakiś czas od dręczących myśli. Susan była rada, że uroczystość odbędzie się w Wyoming, a nie w Pensylwanii. Przed laty kierowniczka Benton House wyszła za mąż i przeniosła się wraz z sierocińcem na zachód, z dala od gwarnych miast. Mnóstwo dzieci pojechało razem z nią; większość z nich do dziś mieszkała w Wyoming, w odległości najwyżej kilkuset mil od Ashton.

Susan zamierzała rozerwać się, odprężyć i spokojnie wszystko przemyśleć.

Po zakończeniu uroczystości, jeśli nie otrzyma wyraźnego znaku, że Bóg sobie tego nie życzy, powróci do klasztoru św. Franciszka i złoży śluby wieczyste.

*Cheyenne, stolica Terytorium Wyoming**
7 stycznia 1885 r.

Ktoś dobijał się do drzwi tak, że umarłego by obudził, ale walenie ledwie docierało - jak przez gęstą mgłę - do mózgu Daniela Crockera. Mężczyzna jęknął, przewrócił się na brzuch i naciągnął poduszkę na uszy. Cholerny łomot nie ustawał!... Nie było rady: musiał ocknąć się i zająć tym facetem za drzwiami.

Sięgnął na oślep do nocnego stolika. Natknął się na mnóstwo całkiem w tej chwili zbędnych przedmiotów: lampa, klucz, zapałki... wreszcie poczuł pod palcami gładką rękojeść rewolweru marki Peacemaker**.

"Terytorium (Territory) - obszar nie posiadający jeszcze pełnych praw stanowych. Wyoming uzyskało ten status dopiero w 1890 r., stając się 44. stanem USA. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

**Dość wymowna nazwa: „Uciszacz”.

- Won stąd! - nie musiał krzycheć ani nawet podnosić głosu. Wysyczał każdą sylabę z taką wściekłością, że nieproszony gość nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do jego intencji. Daniel zgniótł poduszkę i podłożył ją sobie pod policzek. Trzymając peacemakera na odległość ramienia, przekrwionym, błyszczącym od gorączki okiem sprawdził, czy rewolwer jest nabity. Wyciągnięta ręka z bronią nie drżała, szczęki miał mocno zaciśnięte; w pierwszej chwili trudno było dostrzec, jak bardzo jest chory.

- Panie Crocker...

- Nie ma go!

- Panie Crocker, wiem, że pan jest! - doleciał przez grube deski chłopiący głos. - Widziałem, jak pan tu wchodził wczoraj, bardzo późno. Znam pana z gazet i rozpoznałbym wszędzie!

Daniel nie odpowiedział. Broń ani drgnęła. Poza stalowym błyskiem w jasnoniebieskich oczach nie nastąpiła żadna reakcja.

- Panie Crocker!... - odezwał się znów młodzieńczy głos, tym razem z większym wahaniem.

- Czego chcesz?

- Ja? Niczego!... To znaczy... Osobiście nie mam do pana żadnego interesu... Przyniosłem tylko telegram... Nie chciałem nic złego... - Znajdujący się po drugiej stronie drzwi intruz odczekał całe dziesięć sekund, po czym spytał nieśmiało: - Odbierze pan?...

Niech to szlag. Daniel odwiódł kurek i odłożył broń na stolik. Najostrożniej jak mógł zwłóknął się z łóżka.

W głowie mu huczało. Chwytał się za bolący bok i wciągnął raptownie powietrze, gdy podczas wstawania obsunęły się zakrwawione bawełniane bandaże, którymi był omotany.

Wziął znów do ręki rewolwer i powlókł się do drzwi. W wiszącym nad biurkiem lustrze widać było wyraźnie, że jest nagusieńki - nie licząc zakrwawionych opatrunków. Jednak lodowate powietrze ani trochę nie ochłodziło rozpalonego ciała. Już drugi dzień Daniel zmagał się z wysoką gorączką. Nawet styczniowy mróz nie był w stanie jej odegnać.

- Panie Crocker!... - Nieśmiałej prośbie towarzyszyło ciche stukanie. - Naprawdę nie chcę pana trudzić, ale...

- Kto się tak dobija?!

- Jordie. Jordie Davis. Pracuję dla pana Smythe'a, tego z poczty; odnoszę wszystkie telegramy i przesyłki. Mam też lekarstwo dla pana od doktora Goddarda. Kazał je tutaj zanieść, jak najprędzej.

- Odsuń się!

- Słucham?...

Zanim posłaniec zdążył powiedzieć coś więcej, Daniel otworzył drzwi, trzymając rewolwer wycelowany prosto w czoło chłopaka. Osłupiały Jordie wybałuszył oczy. Crocker błyskawicznie sprawdził, czy na korytarzu nikt się nie czai, po czym przeszył nastolatka wzrokiem.

- Czego chcesz?

Jordie przełknął z trudem ślinę i cofnął się przed nabita bronią jak przerażony królik. Każdy wiedział, jaki jest Daniel Crocker! „Nie patyczkuje się” było zbyt łagodnym określeniem metod jego działania w Agencji Pinkertona*. Ubiegłego lata Jordie widział

*Pinkerton National Detective Agency została założona przez Allana Pinkertona w 1850 r. w Chicago (w stanie Illinois) do walki ze zorganizowanymi grupami przestępczymi, dokonującymi m. in. napadów na pociągi. W 1861 r. ludzie Pinkertona udąremnili pierwszy zamach na życie prezydenta Lincolna. Agentów potocznie zwano „pinkertonami”.

w gazecie makabryczne fotografie, ukazujące, jak Crocker załatwił budzącego powszechny postrach bandziora, Mackiego Beeba. Beeb wyglądał na nich całkiem pogodnie; gdyby nie miedziaki na powiekach i dziura od kuli, która przewierciła mu szyję na wy-lot, nikt by się nie domyślił, jakim pędem posłano tego twardziela do Bozi!

Jordie przygryzł wargę. Co też go podusiło, że zgodził się wręczyć temu facetowi przesyłkę?! Na dziesięć telegramów dziewięć zwiastowało jakieś nieszczyście. Chłopak zdrętwiał ze strachu. Co za cholerny pech! Nie miał już komu przynieść złej wieści, tylko gościowi równie groźnemu, jak niedźwiedź grizzli, niebacznie zbudzony z zimowej drzemki!

- Naprawdę nie chciałem zrywać pana z łóżka... Słowo daję! - Dostrzegł potargane włosy Daniela, szczecinę na brodzie, obnażoną pierś, prowizoryczny opatrunek i nagie uda. Bez słowa wetknął Crockerowi w rękę małą paczuszkę i telegram i natychmiast się cofnął.

- Czekaj!

Jordie zastygł w bezruchu pod hotelową ścianą pokrytą wzorzystą tapetą.

- O... o co chodzi?...

- Należy ci się coś za fatywę.

- Nie, nie! To żadna fatyga!... Słowo daję! Żadna!... - Poślaniec pomknął korytarzem ku schodom, znajdującym się po przeciwnej stronie budynku, i zniknął Danielowi z oczu.

Peacemaker stał się tak ciężki, że trudno go było utrzymać. Crocker opuścił rękę, cofnął się do pokoju i zamknął drzwi. Położył rewolwer i telegram na nocnym stoliku, opadł na łóżko i okrył nogi kołdrą.

Na pościeli widniały czerwone smugi: najwidoczniej podczas gorączkowego snu krew sączyła się strumyczkami.

Zasłonił oczy ręką, bo raziło go światło wpadające przez okno. Starał się nie myśleć o zgniecionym telegramie, który czekał na stoliku. Nie miał ochoty do niego zaglądać. Nie *musiał*, psiakrew, do niego zaglądać! To z pewnością wezwanie od szefa, Jedi-diaha Kuttera. Ponieważ Daniel oberwał nożem w bok podczas obławy na Granta Dooleya (złapali i Granta, i większość jego szajki!), wcale mu się nie chciało wracać natychmiast do pracy. Ciosy, kule i najgorsze wyzwiska były dla niego chlebem powszednim. Przez ostatni rok prawie nie zsiadał z konia. Uganiał się po całym Wyoming za Dooleyami, przemierzył też obszar Gór Zachodnich, następując na pięty braciom Beebom. Z gangiem Dooleyów miał - rzecz jasna - kłopoty, ale rozgrywka z Beebami przypominała koszmarny sen. Daniel był zmęczony jak pies. Całkiem wykończony. Nie tylko kartogą ostatnich kilku tygodni, ale wszystkim: pracą, cholerną rutyną. Życiem.

Mocno zacisnął powieki i usiłował zmusić się do snu. Ale z tym zawsze miał kłopoty; w tej chwili było to wręcz nieprawdopodobieństwem. Obraz leżącego na stoliku telegramu wypalił mu się w mózgu.

- Cholera jasna! - Poruszył ramieniem i odwrócił głowę na poduszce. Telegram przyzywał go nachalnie, jak zgięty paluszek doświadczonej dziwki; papier tak samo jak niedwuznaczny gest przyrzekał zaspokojenie pobudzonej ciekawości... Z pewnością i tym razem obietnica okaże się niecnym oszukaństwem.

Zrozumiawszy, że nie zazna spokoju, póki nie do-

wie się, o co chodzi, Daniel wyciągnął rękę i dwoma palcami pochwycił zapieczętowany telegram. Spojrzał pod światło, jakby mógł w ten sposób zapoznać się z jego treścią, a następnie go otworzył.

Nie było adresu nadawcy ani podpisu. Tylko króciutki tekst: „Chce złożyć śluby wieczyste”.

- Chce złożyć śluby wieczyste - odczytał na głos. Zmiał telegram w garści. Gdyby teraz przymknął oczy, wróciłby z pewnością obraz tamtego posępnego październikowego dnia, kiedy pomógł małej Susan wysiąść z pociągu i powierzył ją opiece swojej serdecznej przyjaciółki, która niedawno rozpoczęła nowicjat w klasztorze św. Franciszka. Daniel zdołał przekonać samego siebie i kierownictwo sierocińca, że Susan pozostanie w przyklasztornej szkole tylko cztery lata, by zdobyć należyte wykształcenie. Przez ten czas Belle będzie nad nią czuwała, będzie ją chroniła... On przecież nie mógł już być jej opiekunem.

Jednak po czterech latach Susan nie opuściła Akademii Świętego Franciszka. Pozostała tam i rozpoczęła dziesięcioletni nowicjat. W ciągu całego tego okresu Daniel odwiedził ją jeden jedyny raz - w dniu ukończenia szkoły. Od tej pory w ogóle jej nie widywał. Zadowalał się niezbyt częstymi wieściami od Belle. Otrzymany przed chwilą telegram nie różnił się zbytnio formą od poprzednich komunikatów, które mu przesyłała przez te wszystkie lata. Za to ogromnie różnił się treścią!

Chce złożyć śluby wieczyste.

- Po moim trupie! - syknął przez zaciśnięte zęby. Z wysiłkiem stanął na nogi i sięgnął po spodnie.

Jordie pospiesznie opuścił hotel i zbiegł po schodkach wiodących od drzwi frontowych na ulicę. Tamten już na niego czekał, zgodnie z zapowiedzią.

- No?

- Oddałem mu paczuszkę; proszę zostawić mnie w spokoju. Muszę wracać do pana Smythe'a, bo mi głowę urwie!

Nieznajomy sięgnął do kieszeni i wyjął złotą dwudziestodolarówkę.

- Masz za fatygę - powiedział.

Zaskoczony Jordie z wahaniem przyjął monetę. Dwadzieścia dolców to kupa forsy!... Nie zarobiłby tyle doręczaniem przesyłek nawet przez Bóg wie ile miesięcy.

Wyjąkał „do widzenia” i puścił się pędem. Biegając po ulicy, nie mógł się jednak opędzić od paskudnej myśli, że dostał - jak Judasz - zapłatę za czyjaś krew.

2

Denver, stolica stanu Kolorado
10 stycznia 1885 r.

Zdaniem Susan Hurst, w chwili gdy uczennice kładły się spać, z Akademii Świętego Franciszka uchodziło całe życie. I nagle zaczynało brakować nieposkromionej energii i tłumionych chichotów dziewczynek. Nawet leciutkiego zapachu wody toaletowej, który - mimo wszelkich zakazów - nieraz unosił się w powietrzu. Najbardziej jednak brakowało Susan towarzystwa innej ludzkiej istoty.

Była jedną z nielicznych nowicjuszek zatrudnionych w Akademii Świętego Franciszka; powierzono jej wiele zadań, które zazwyczaj zaprzętały ją jeszcze długo po zachodzie słońca. Większość z nich wykonywała w samotności, miała więc wiele okazji do rozważań o swym zbliżającym się wstąpieniu do zakonu. Czasem jednak owa samotność ciążyła jej nieznośnie.

Wracając ciemnymi korytarzami do swego pokoju, Susan wyprostowała plecy, by pozbyć się przykrego skurczu w karku. Odgłos jej kroków odbijał się echem od sklepienia. Szron, który osiadł na kamiennych płytach, potęgował wrażenie zimna, bawiący się fałdami jej spódnicy powiew był lodowaty.

Od niemal trzydziestu lat klasztor pod wezwaniem św. Franciszka był zakładem macierzystym urszulanek. Siostry zorganizowały w nim akademię dla dziewcząt. Susan zawsze była pełna podziwu dla poświęcenia i zaangażowania pracujących tu zakonnice. Dlatego właśnie tak pragnęła upodobnić się do nich. Pragnęła uczestniczyć w tym doniosłym dziele. Pragnęła... *musiała znaleźć* miejsce, gdzie będzie potrzebna innym! A jednak wątpliwości nie opuszczały jej. W sercu czuła pustkę, powiększającą się z dnia na dzień.

Może potrzeba jej tylko odpoczynku?... Miała jeszcze tyle spraw do załatwienia przed wyjazdem na spotkanie dawnych wychowanków sierocińca Benton House. Pracowała dzień w dzień od świtu do północy, przygotowując plany lekcji, szkice, notatki do wykładów dla swej zastępczyni. Plecy ją bolały, w głowie huczało. Nie miała jednak pobłażania dla siebie, nie zwolniła tempa. Aż do dziś, kiedy okazało się, że kaździutkie zadanie zostało wykonane i przed jutrzejszym porannym wyjazdem do Ashton czeka ją

długi, niczym nie wypełniony wieczór. Samotny, dłu-
żący się niemiłosiernie wieczór.

Minęła ostatni zakręt i zmarszczyła brwi: spod
drzwi jej pokoju sączyła się na korytarz smużka świat-
ła. Susan przystanęła.

Z funkcją zastępczyni siostry Mary Margaret, dyrek-
torki Akademii Świętego Franciszka, łączył się niesły-
chany przywilej: Susan miała własny pokój. W szufla-
dach jej biurka znajdowały się niezwykle ważne rejestry
i rachunki, toteż drzwi były zawsze zamknięte. Nikt nie
miał prawa wejść bez pozwolenia. Zaglądała tam jedy-
nie matka przełożona, a niekiedy któraś z sióstr towa-
rzyszcząca Maxowi, klasztornemu „chłopcu do wszystkie-
go”, który czasem przynosił Susan bukiet polnych
kwiatów lub dodatkowe naręcze drzew.

Zbliżyła się po cichutku i nacisnęła klamkę. Drzwi
ani drgnęły. Osoba znajdująca się wewnątrz zamknę-
ła je widocznie na zasuwę. Ani matka przełożona, ani
Max nie zrobiliby czegoś podobnego.

Susan pogrzebała w głębokiej kieszeni i wyjęła sta-
ry, mosiężny klucz. Najciszej jak mogła wetknęła go
do zamka i odsunęła zasuwę. Potem ostrożnie otwo-
rzyła drzwi.

Szklana lampa paliła się w najdalszym końcu po-
koju, rozpraszając mrok, ale knot miała przykręco-
ny. W słabym świetle Susan zdołała dostrzec, że ani
narzuta, ani leżąca na jej łóżku poduszka nie były wy-
gniecione. Na jedynym krześle z prostym oparciem
także nikt nie siedział. Skrzynia zdawała się nietknię-
ta. W pokoju nie było nikogo.

Zebrawszy całą odwagę, weszła do środka. Ledwie
przekroczyła próg, drzwi zatrzasnęły się za nią. Jakieś
ramię objęło ją za szyję, a wielka łapa zakryła jej usta.

Susan instynktownie wbiła paznokcie w rękę napastnika i nabrała powietrza, zamierzając wrzasnąć.

- Uspokój się. To ja.

Jej strach rozwiął się tak samo nagle, jak ją ogarnął. Chwył jej palców na rękę intruza zelżał. Dobrze znała ten szorstki, gardłowy głos, każdą jego modulację!

Gdy tylko napastnik ją puścił, Susan raptownie odwróciła się do niego.

- Daniel! - Przez kilka sekund wpatrywała się w szczupłą, kanciastą postać. Aż się wzdrygnęła. Jak dawno go nie widziała?... Co najmniej dziesięć lat!... Jakże się zmienił! Wijące się popielatoblond włosy sięgały poniżej mocno zarysowanych barków. Przybyło mu ze dwadzieścia funtów - wszystko poszło w muskuły. Czas i trudy życia zahartowały ciało. Obszerna kurtka z cielejącej skóry nie zdołała ukryć potężnego torsu, a spodnie z prążkowanej wełny smukłych ud.

- Witaj, Susan.

- Co ty wyrabiasz?! - ofuknęła go. - Chcesz mnie wystraszyć na śmierć, czy co?

Daniel wrzucił ramionami i zabezpieczył rewolwer. Susan nie miała pojęcia, że broń była gotowa do strzału.

- Zostawiłem przecież światło. Wolałbym przyjść wcześniej, ale poczciwe siostrzyczki nie wpuściłyby kogoś takiego jak ja za bramę, a co dopiero do pokoju jednej z ich owieczek!

Mówił bez ogródek... i miał całkowitą słuszność. Większość siostr nie pochwaliłaby jej kontaktów z Danielem Crockerem. Był tego rodzaju mężczyzną, do znajomości z którym żadna dbająca o reputację kobieta - zwłaszcza zakonna nowicjuszka! - nie powinna się nawet przyznawać. Kłął i pił. Zabijał.

O tym, jakim człowiekiem stał się Daniel, najwymowniej świadczyły jego oczy, gniewne i posępne. Od dawna już były zimne i twarde jak krzemień; najczulsza kobieca troska nie potrafiłaby ich odczarować. Susan nie pamiętała dokładnie, kiedy zaszła w nich ta zmiana, ale Daniel musiał być wówczas bardzo młody. Dziś jego oczy wydały się jej bardziej mroczne niż zwykle.

- Okropnie wyglądasz, Danielu. - Światło lampy bezlitośnie podkreślało wystające kości policzkowe, wgłębienia pod nimi, kwadratowy zarys szczęki.

- Mnie też miło popatrzeć na ciebie.

Susan pragnęła dotknąć jego twarzy, wygładzić świadczącą o napięciu nerwowym głęboką zmarszczkę między brwiami... ale sztywna postawa przyjaciela mówiła wyraźnie, że nie życzy sobie takich poufałości. Daniel nigdy nie lubił, żeby się z nim ktoś cackał. Nawet ona.

- Od razu widać, że nie dbasz o siebie jak należy.

- Ostatnio nie miałem czasu na takie głupstwa.

- Na takie głupstwa jak sen? - Dostrzegła cienkie rysy, ciągnące się od nosa do kącików ust. Jego skóra miała barwę popiołu.

- Nic mi nie jest.

Susan była odmiennego zdania, ale wiedziała, że nie warto się sprzeczać.

- Co cię tu sprowadza?

Nigdy nie odwiedził jej w dniu urodzin, nie zjawił się na święta czy podczas wakacji. Ani razu przez całe dziesięć lat. Wiedziała jednak, że o niej myśli. Łączące ich od dzieciństwa więzi nie osłabły z upływem czasu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Daniel zjawił się tu, bo wyczuł, jak bardzo potrzebuje jego pomocy. Był

niegdyś jej powiernikiem. Jej obrońcą. Jedynym przedstawicielem rodzaju męskiego, któremu ufała.

Daniel postąpił o krok, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- Doszły mnie niepokojące wieści.

Odchrząknęła nerwowo.

- Wieści?...

- Czemu nie napisałaś do mnie, nie powiedziałaś mi o tym sama?

Susan cofnęła się.

- O czym?

- Psiakrew! Bez tych sztuczek! Dobrze wiesz, o co chodzi, przyszła *mniszko!* - Zabrzmiało to jak obelga.

A więc znał już prawdę.

- Skąd wiesz?

- Czy to ważne?

- Myślę, że tak.

- Powiedzmy, że jakiś aniołek przyfrunął do mnie wśród nocnej ciszy i szepnął mi do ucha o twoich planach. Do jasnej cholery, Susan! Zwariowałaś, czy co?!
Wyzywająco uniosła brodę.

- To szczytne powołanie.

- Może dla innych, ale nie dla ciebie!

- Postaram się być dobrą zakonnica.

- Nie będziesz miała okazji! - W kilku krokach był już przy niewielkiej drewnianej skrzyni, zawierającej cały jej mizerny dobytek.

- Co ty wyrabiasz?!

- Pakuję twoje rzeczy. Zabieram cię stąd. - Uniosł wieko.

- Akurat!

W słabo oświetlonym pokoju jego oczy przypominały kryształki lodu. Błyszczała w nich determinacja.

- Przekonasz się.
- Będę krzyczeć!
- Doskonale. - Zaczął wyciągać ze skrzyni jej halki i majtki. Na podłodze stała pusta torba podróżna, wypożyczona na wyjazd do Ashton. Daniel chwycił ją, postawił na łóżku i począł wpychać do niej bieliznę.

- Przestań! - Policzki Susan zabarwił gniewny rumieniec. Gdy Daniel wrócił do skrzyni i usunął przegródkę z wyraźnym zamiarem grzebania tym razem w sukniach, walnęła go po rękach i zatrzasnęła wieko. - Co w ciebie wstąpiło, na litość boską?!

Pochylił się nad nią tak, że ich nosy niemal się stykały.

- Robię to, co powinienem był zrobić dobrych parę lat temu! Zabieram cię stąd!

- Niby dokąd, jeśli wolno spytać?

- Do sierocińca. Powitają cię tam z otwartymi ramionami.

- Do sierocińca?! Nie mam zamiaru korzystać z pomocy instytucji dobroczynnej! Zresztą, nie jestem już dzieckiem!

- To czemu się, psiakrew, zachowujesz jak głupia smarkula?!

- Doprawdy?... Dlatego, że potrafię sama zapracować na życie? Że mam zapewniony dach nad głową i utrzymanie, że nie muszę liczyć na cudzą łaskę?

- Bynajmniej! Dlatego, że nie potrafisz stawić czoła własnym problemom, tylko wiecznie uciekasz przed nimi! Wiedziałem, że nadal boisz się mężczyzn, ale nie miałem pojęcia, że jest z tobą aż tak źle!

Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

- Znalazłaś idealne rozwiązanie, co?... Ani śladu mężczyzn, z wyjątkiem Maxa, a to też w gruncie rze-

czy dziecko! Spędzisz resztę życia w tych kamiennych murach, nie widując nikogo innego prócz stada świątobliwych kwok!

Trzasnęła go w twarz. Odgłos uderzenia rozległ się głucho po pokoju. Cios był tak silny, że głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu. Spoglądając na Susan, Crocker pojął, iż posunął się za daleko. Stała przed nim rozdygotana, niemal przezroczysta w swej bladości; jej ciemnozielone oczy były ogromne, pełne udręki.

Psiakrew! Czemu nie był ostrożniejszy?... Wywłókł ją przemocą zza sekretnych barier emocjonalnych, którymi była odgradzona już wówczas, gdy po raz pierwszy ujrzał ją jako przerażone dziecko. Ponieważ Susan tak bała się mężczyzn, sąsiedzi domyślali się, że musiała być świadkiem napaści na dom i gwałtu popełnionego na jej matce; dziewczynka jednak nigdy się do tego nie przyznała. Ani słowem nie napomknęła o tragedii, której skutki odczuwała po dziś dzień.

- Przepraszam.

Susan nie zareagowała. Była całkiem sztywna, jak rzeźba z kości słoniowej.

Na ten widok Daniela ogarnął lęk. Czuł się kompletnie bezradny. I podły. Mnóstwo ludzi nienawidziło go. Przyzwyczał się już do ludzkiej pogardy, do ludzkich zdrad; rzadko się nimi przejmował. Nie mógł jednak znieść bólu i wyrzutu w oczach Susan.

Daniel miał swoje własne demony, które popychały go do brawurowych zachowań. Uczucia zazwyczaj trzymał na wodzy, ale teraz, gdy widział Susan bladą i nieszczęśliwą, odezwało się w nim dawne pragnienie spieszenia jej z pomocą, opatrywania jej ran, naprawiania jej pomyłek. Musi jej uprzytomnić, że decyzja wstąpienia do klasztoru jest aktem rozpacz,

a nie objawem pobożności. Musi powstrzymać ją przed zrobieniem fałszywego kroku, którego żałowałaby przez resztę życia.

- Susan?... - W głosie Daniela brzmiała obca mu zwyczaj czułość. W bardzo młodym wieku przekonał się, że może liczyć tylko na siebie. Instykt samozachowawczy nakazał mu zdusić w sobie wszelkie emocje. Mimo iż podczas kilkuletniego pobytu w sierocińcu był niemal szczęśliwy, wcześniej obudziła się w nim gorycz i cynizm. Od lat jedynym uczuciem, jakiego doznawał, był gniew; o czułości całkiem zapomniał. Wszystkie emocje wypaliły się w nim, gdy powierzył Susan zakonnicom z Akademii Świętego Franciszka, a sam wstąpił do kawalerii. Znalazł się znów w jedynym środowisku, do którego pasował: w gronie dumnych, nieugiętych uparciuchów, gotowych brać na siebie główne uderzenie podłego świata i odpłacać mu zawiązką.

Wyciągnął rękę ku Susan, chcąc ją pocieszyć, ale szarpnęła się do tyłu.

- Nie dotykaj mnie!
- Przepraszam, Susan. Nie powinienem był...
- Lepiej już idź.
- Psiakrew! Jesteś zbyt wiele warta, by tak się marnować!
- Idź już!
- Jesteś taka słodka, dobra, pełna miłości. Nie uciekaj od świata!
- Wynoś się!

Wiedział, że musi odejść, jak tego sobie życzyła. Jakież miał prawo ingerować w jej życie?... Jego własne nie było zbyt udane. Ale na samą myśl o Susan, jego małej Susan, zamkniętej w klasztorze...

Od chwili złożenia ślubów będzie dla niego stra-

eona na zawsze. Cóż, w jego postępowaniu niewiele było logiki. Od ponad dziesięciu lat nie starał się z nią zobaczyć. Choć pragnął tego. Choć zawsze wiedział, że powinni się widywać. Śledził postępy Susan. Myślał o niej każdego dnia. A jednak ciągle odkładał spotkanie na bliżej nieokreśloną przyszłość, kiedy wreszcie udowodni, że jest coś wart; gdy stanie się lepszym człowiekiem. Ale był coraz twardszy, coraz bardziej cyniczny.

Spojrzał wreszcie prawdzie w oczy: gdy Susan zostanie zakonnica, wszelkie łączące ich więzi zostaną zerwane.

Nie! Nie ma mowy! Nie dopuści do tego!... Zbyt długo czuwał nad Susan, czy to sam, czy za pośrednictwem przyjaciół. Nie wyrzeknie się roli opiekuna, będzie jej bronił nawet przed nią samą!

Przysunął się bliżej.

- Chodź ze mną, Susan! Odejdź stąd: to nie miejsce dla ciebie! - perswadował łagodnie, ale bezskutecznie.

- Sam mnie tu sprowadziłeś! Czemu tak cię złości, że chcę tutaj zostać?

Daniel stracił panowanie nad sobą.

- Zależało mi na tym, żebyś tu przyjechała, bo potrzebne ci było wykształcenie! W Benton House nie chciałaś chodzić do szkoły z innymi dziećmi. Codziennie uciekałaś nad rzekę, bo uczył was *mężczyzna*!

- I wobec tego wywiozłeś mnie setki mil od domu i zostawiłeś na łasce losu!

- Na łasce losu?! Zostawiłem cię pod opieką znacznych kobiet, które zdołały cię niejednego nauczyć. Sam niewiele mogłem dla ciebie zrobić, Susan. Bóg mi świadkiem, że bardzo tego pragnąłem, ale byłem jeszcze niedorostkiem. Wiedziałem, że dzięki sio-

strom zdobędziesz wiedzę i nabierzesz wiary w siebie. Zostawiłem cię tu *dla twego dobra!*

- I nigdy się nawet nie pokazałeś!

- Psiakrew! Przecież to klasztor! Wygoniliby mnie, gdybym się tu kręcił!

- Gdybyś naprawdę chciał, tobyś mnie odwiedzał! Mogłeś choćby zakraść się po ciemku, tak jak dziś... Myślałam, żeś całkiem o mnie zapomniał!

- Zapomnieć o tobie?! - powtórzył z takim zdumieniem, jakby usłyszał coś wprost niepojętego. - Jak mogłaś myśleć coś podobnego?! Przecież pisałem do ciebie!

- Aż dwa razy! W ciągu czternastu lat przysłałeś mi dwa listy, a w każdym nie więcej niż trzy linijki gryzmołów!... A ja pisałam co miesiąc, nieraz częściej!... Gdyby nie listy od Esther Reed i od innych dzieci z sierocińca, nie wiedziałabym nawet, czy jeszcze żyjesz!

- Myślałem o tobie każdego dnia.

- Czyżby? Śmiem wątpić. Ale to już bez znaczenia. W moim nowym życiu nie ma dla ciebie miejsca. Od tej *pory* bliski mi będzie tylko Bóg i siostry zakonne.

Znaleźli się znów w punkcie wyjścia. W najmniejszym stopniu nie zachwiał jej postanowieniem.

- Dlaczego tak się przy tym upierasz?

- Nie twoja sprawa.

- Właśnie, że moja! - Chwycił ją za łokieć. Gdy wzdrygnęła się pod jego dotknięciem, udał, że tego nie dostrzega. - Powiedz mi! Powiedz, czemu postanowiłaś zostać jedną z nich!

- Nie muszę ci się spowiadać.

Miała świętą rację. Stracił jej zaufanie, gdy - jak to określiła - „zostawił ją na łasce losu”.

- Nie musisz, ale mi powiedz.

Skrzyżowała ramiona obronnym gestem, lecz zig-

norował to. Nie puścił jej ręki. Czuł, że cała drży jak przestraszony wróbelek.

- Siostry były dla mnie bardzo dobre.

Gdy przerwała, ponaglił ją:

- I co jeszcze?

- I lubię pracować z dziećmi.

- Z dziewczynkami.

Znów powiedział nie to, co trzeba. Wyrwała mu się i przebiegłszy przez pokój, skryła się w kącie za łóżkiem, niczym za barykadą.

- W moim wyborze nie ma nic niewłaściwego, Danielu! To uczciwa, pożyteczna praca. Mobilizuje mnie i daje mi dużo satysfakcji. Zarabiam na własne utrzymanie, nie korzystam z niczyjej laski!

Crocker wiedział, że postanowienie Susan jest całkiem logiczne. Było starannie przemyślane i zgodne z jej religijnymi przekonaniem. Miała słusność: praca w gronie siostr mogła sprawiać jej prawdziwą satysfakcję.

Ale on nie mógł znieść myśli o małej Susan w klasztorze. Gdyby włożyła ciężki habit zakonny, wełniana fałdzista szata i kornet spętałyby ją ostatecznie. Wraz ze świeckim strojem zniknąłby ostatni ślad jej spontanicznej, gorącej natury. Przeklinał siebie za to, że nie uświadomił sobie wcześniej zagrożenia, że zdał się na innych, zamiast samemu walczyć o szczęście Susan. Tak niewiele zaznała w życiu radości - czemuż miałyby się wyrzec wszystkiego i skazać na surową, ograniczoną egzystencję?

Daniel wiedział, że niektóre kobiety, obdarzone prawdziwym powołaniem, rozkwitały w klasztorze. Susan jednak nie należała do nich. Serce mu to mówiło. Susan była stworzona do całkiem innego życia. Pełnego wesela, śmiechu i namiętności. Stworzona

była do tego, by wychowywać dzieci - ale nie cudze, powierzone jej na rok czy dwa, tylko swoje własne. Tak, wiedział o tym... ale do tego stopnia zatopił się w swej pracy, w piekielnym zamęcie życia, że zapomniał o potrzebach Susan.

- Radzę sobie całkiem nieźle, Danielu.

- Wiem.

- Mało której nowicjuszcze powierzają tak odpowiedzialne zadania.

- Zawsze miałaś zadatki na dobrą nauczycielkę. - I dodał z przekonaniem: - Ale to jeszcze nie powód, by zamykać się w klasztorze! Mogłabyś wszędzie znaleźć pracę.

- Nie rozumiesz - powiedziała z goryczą. - I wcale nie chcesz zrozumieć!

- Ależ chcę! Psiakrew, staram się jak mogę! - Dotknął jej policzków i karku, pragnąc ją uspokoić. Uświadomił sobie nagle, jak delikatne są jej kości. Miał ochotę zedrzeć gruby szal, którym owijała sobie głowę, i przekonać się, czy jej włosy nadal mają barwę płomieni. Nie mógł jednak tego uczynić. Wystraszyłby ją do reszty. Ręce opadły mu bezsilnie. Jedna podkradła się do rany w boku. Ból dokuczał mu przez cały dzień.

- Myślisz, że nie jestem zdolna do takiego zaangażowania, Danielu?

- Myślę, że jesteś zdolna do wielu innych rzeczy, których nie znajdziesz w tym klasztorze.

- Będę pracować dla Boga i dla jego dzieci. Czego chcesz więcej?

Daniel obszedł łóżko i ponownie zbliżył się do niej.

- Pozbawisz się tyłu różnorodnych przeżyć...

- Myślisz o kontaktach z mężczyznami?...

- Właśnie!

- Sądząc z tego, co już o nich wiem - spojrzała na niego ostro - niewiele stracę. - Cofała się przed nim, póki nie dotknęła ściany. - Wierzaj mi, przemyślałam wszystko gruntownie. To jest zgodne z moją naturą. I zamierzam to uczynić.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

Już otwierała usta, by zapewnić go, że tak właśnie jest. Ale słowa uwięzły jej w gardle. Jak mogłaby okłamać Daniela?... I samą siebie?...

- Zmarnujesz się tam!

- To tylko twoja opinia.

- Nie pozwolę ci tego zrobić!

- A to czemu?! - Odsunęła się od chropowatej ściany i przemknęła obok niego. Nie chciała czuć się przyparta do muru. Zagrożona. - Czemuż to nie chcesz mi dać swego błogosławieństwa?

Daniel nabrał zimnego powietrza w płuca, chcąc się opanować. Popatrzył na nią.

- Całe życie przed tobą, Susan! A ty, zamiast stać czoła problemom, wolisz zamknąć się w wieży z kości słoniowej, gdzie nikt nie będzie mógł cię przestraszyć, zaniepokoić, nawet tknąć!

- Tak się znasz na urządzaniu życia?... A co zrobiłeś z własnym?

Jej słowa zabolowały go. Sam się zdziwił, jak bardzo. Ręka, którą trzymał się za bok, opadła. Zmusił się do tego, by wyprostować plecy i podnieść głowę.

- Wybacz mi, Danielu! Nie wiedziałam, co mówię.

- Wiedziałaś doskonale. I miałaś rację. - Podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce. - Próbowałem cię powstrzymać od popełnienia błędów, które mnie samego drogo kosztowały.

- Nie możesz tak odejść!

Przystanął i oparł się o framugę.

- *Zegnaj*, Susan.

- Kiedy się znowu zobaczymy?

Spojrzał w jej pełne niepokoju oczy. Z jego nic nie dało się wyczytać. Przesłaniał je cień.

- Przecież między nami nic się nie zmieni, Danielu! Zawsze będziesz moim przyjacielem. Zawsze z przyjemnością spotkam się i porozmawiam z tobą. Kiedy zostanę już zakonnicą, nie będziesz musiał zakradać się do Akademii.

Westchnął z rezygnacją.

- Nie przypuszczam, by radowały cię wizyty kogoś takiego jak ja, kiedy zostaniesz już zakonnicą.

- Twoje wizyty będą mnie zawsze radowały, Danielu.

- Może... ale ja nie mógłbym tu przychodzić. Nie Zniósłbym... - Potrząsnął głową i dodał: - Nieważne.

- Przesunął palcem po policzku Susan. Pod tym dotknięciem przebiegł ją dziwny dreszcz. - Już późno. Powinnaś się wyspać. - Spojrzał na nią przeciągle, badawczo. Twarz miał bez wyrazu, ale w sercu czuł rozdzierający ból. Odwrócił się i chciał wyjść.

- Nie, Danielu! Nie odchodź! - Wyciągnęła rękę, chcąc go zatrzymać.

Poczuła pod dłonią twarde ciało.

Męskie ciało.

Odskoczyła, zbита z tropu. Nagle rozwiąła się mgiełka dawnych wspomnień i spojrzała na Daniela nowymi oczami: nie był już chłopcem, którego tak kochała, ale mężczyzną. *Mężczyzną!*

Oddech jej stał się przyspieszony i płytki. *Czuła*, jak pot zbiera jej się między łopatkami. Kiedy to się stało? Kiedy ostatecznie przestał być chłopcem? Od jak dawna jest już mężczyzną?...

- Susan?...

Daniel przysunął się bliżej, zaniepokojony tym, że tak nagle zbladła. Poczucie własnej bezsilności omal go nie rozsadziło. Nie sprzeciwiał się, by Susan rozpoczęła nowicjat. Sądził, że dłuższy pobyt w Akademii Świętego Franciszka dobrze jej zrobi: nabierze wiary w siebie, okrzepnie emocjonalnie. Ale - do ciężkiej i jasnej cholery! - nigdy nie przypuszczał, że zdecyduje się złożyć śluby wieczyste!

Z poczucia niemocy zrodził się gniew, uraza i nienawiść. Nienawiść do tych, którzy spowodowali tak głęboki uraz psychiczny u Susan. Do niej samej za to, że poddawała się presji wspomnień. Przede wszystkim jednak do siebie, gdyż nie uświadamiał sobie, jak bardzo go potrzebowała.

Nie!

Chwycił jej głowę w obie ręce, przyłgął dłońmi do policzków, palce wtargnęły pod szal i zanurzyły się w jej włosach.

- Nie rób tego! Proszę, nie rób tego!

Z gardła Susan wydobył się jakiś rozpaczliwy skowyt; Daniel prawie tego nie zauważył. W głębi jej oczu dostrzegł narastającą panikę, ale po raz pierwszy w życiu nie zważał na jej lęk. Chciał za wszelką cenę przełamać jej bariery ochronne. Chciał, by zbudziło się w niej poczucie rzeczywistości. Chciał, by zaznała nie tylko bólu i trwogi, ale rozkoszy i szczęścia.

Przycisnął ją do ściany i mocno przywarł do jej ciała.

- Naucz się wreszcie *czuć*, psiakrew! Przestań chować się jak spłoszona mysz do czarnej, bezpiecznej nory! Spójrz na mnie, zobacz, jak naprawdę wyglądam! Dotknij mnie! Wrzeszcz! Wszystko będzie lepsze od tej dobrowolnej rezygnacji! Przecież ty usy-

chasz od środka, nic z ciebie nie zostanie! Życie ma ci tyle do zaoferowania... tak, to nieraz boli! Wiem, że cierpiełaś już ponad miarę. Ale to nie znaczy, że zawsze będziesz musiała cierpieć!

Chwyliła go za przeguby, ale nie odepchnęła. Przeciwnie: uczepiła się go jak maszty podczas gwałtownego sztormu. Oczy jej wezbrały łzami; nie ciekły jednak po policzkach, tylko zatrzymały się na rzęsach.

- Ja... chcę... - Mrugnęła oczami; rzęsy nie były już w stanie utrzymać łez. - Nie mogę...

- Możesz.

- Tak mi... zimno.

Zauważył, że nie patrzyła na niego, jej oczy były utkwione w obrazy z przeszłości. Drżała - nie wiedział, czy z zimna, czy z trwogi przed widziadłami.

- Powiedz mi, co się wtedy stało! - potrząsnął nią. Wyraz twarzy Susan zdradzał, że toczy straszliwą wewnętrzną walkę; wiedział, jak bolesne są jej wspomnienia - a jednak nadal milczała. - *Mnie* możesz o tym powiedzieć! - powtórzył z naciskiem.

- Nie... Nie mogę.

- Proszę!

- Nie, Danielu... nie zmuszaj mnie! Błagam, nie zmuszaj!...

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się tak mocno, jakby chciała wtopić się w niego.

Daniel poczuł ucisk w gardle. Miotaly nim sprzeczne uczucia: czysto męska reakcja na zaskakujące zachowanie Susan i obawa, że posunął się za daleko. Tułące się do niego ciało było miękkie i zgrabne. Czuł tuż przy sobie piersi Susan. Jego ręce zaczęły błądzić po łagodnym spadku jej ramion, prostych plecach, lekko zaznaczonej linii kręgosłupa. Mimo fałdzistych

spódnic czuł, jak smukłą miała talię, jak kształtne biodra. Ogarnęło go coś, czego nigdy dotąd nie kojarzył z osobą Susan: pożądanie.

Pod wpływem szoku Daniel skamieniał: nie mógł jej odepchnąć, bał się przyciągnąć bliżej. Od jak dawna Susan nie była już dzieckiem?... Kiedy przeistoczyła się w ponętą, pełną temperamentu dziewczynę?... Nie - w kobietę! Jakimś cudem przeskoczyła niewdzięczny okres dojrzewania i osiągnęła pełnię rozkwitu. Była taka piękna, tak bardzo kobieca... Powinna wodzić za nos mężczyzn, łamać im serca, budzić w nich zuchwałe pragnienia...

Musiała wyczuć rezerwę Daniela, bo zaczęła się powoli odsuwać. Nim znalazła się poza zasięgiem jego ramion, powstrzymał ją.

- Susan?... - Wypowiedział to imię z zachwytem i odrobiną paniki. Przyznawał w duchu, że ta drżąca pod jego dotknięciem istota budzi w nim niepokój... nawet lęk. Większy, niż chciał się do tego przyznać. We wpatrzonych w siebie oczach dostrzegał wyraźną zachętę, jakby była spragniona pocałunku. A on - Boże, zmiłuj się! - aż się palił, by spełnić jej życzenie!... Pragnął obsypać ją nie tylko pocałunkami, ale najbardziej intymnymi pieścizotami.

Nie! Nie wolno mu nawet myśleć o tym! To byłaby podłość. Susan nie jest dla niego: zasługuje na coś znacznie lepszego niż to, co mógłby jej ofiarować!

Ale jej oczy były takie ogromne i ciemne... jej wargi wilgotne, lekko rozchylone... Pożądanie rosło w nim, czuł wewnętrzny żar.

- Nie patrz tak na mnie.

Nadal dostrzegał w jej twarzy rozpaczliwe błaganie. Pewnie sama nie wiedziała, czego pragnie.

Wszystko jedno! Nie był w stanie opierać się dłużej. Wiedział, że ją spłoszy. Być może wzbudzi w niej niechęć. Ale *musiał* odpowiedzieć na ten zew.

Ujął jej głowę w obie dłonie i pochylił ją lekko na bok. Oddech Susan był płytki i przyspieszony, jak po męczącym biegu, choć stała bez ruchu, osłonięta jego potężnym ciałem.

Pochylił się nad nią tak, że ich usta niemal się stykały. Oczy Susan rozszerzyły się. Opuszkami kciuków gładził jej policzki i mruzczał coś łagodnie, pragnąc ją uspokoić.

Nie spieszył się; chciał, by przywykła do jego bliskości. Wdychał jej słodki, kobiecy zapach. Raz i drugi musnął nosem skórę na jej szyi.

- Proszę cię... - wyszeptała. W jej głosie było raczej zdumienie niż naleganie.

- Ciiicho...

Zakwiliła jak ptak. Każdy szczegół wrył się na zawsze w pamięć Daniela: pociemniałe, pełne niepokoju oczy Susan, biel jej skóry, aksamitne usta... Jak mógł trzymać się tak długo z dala od niej?... Gdyby ujrzał ją taką jak w tej chwili - choć raz - w ciągu ostatnich kilku lat, nie zdobyłby się na to!

Dotknął ustami jej ust. Wzdrygnęła się jak oparzona, ale nie wyrwała mu się. Ośmielony tym pocałował ją mocniej.

Jej wargi były takie niewinne, takie świeże... a jednocześnie tak zmysłowe i kuszące. Namietność owładnęła nim bez reszty. Pragnął tulić Susan aż do bólu. Zatonąć w jej słodkim uścisku. Jego ciało domagało się całkowitego zaspokojenia. Całował więc coraz natarczywiej i zachłanniej.

Zbyt późno spostrzegł, że posunął się za daleko.

Przyparł Susan do ściany, prawie zmiążdżył w uścisku. Nim zdołał się opanować, wyrwała mu się i uciekła w drugi koniec pokoju.

- Susan...

Jej palce zacisnęły się w pięść.

- Odejdź natychmiast!

Wyrzuty sumienia błyskawicznie zdusiły w nim pożądanie.

- Nie chciałem...

- Odejdź stąd! To nie miejsce dla ciebie. To *mój* dom! Sama go wybrałam i zostanę tu! Choćbyś nie wiem co mówił albo robił!

Gorycz porażki nie była dla Daniela niczym nowym; nie powinien był aż tak się przejąć. A jednak nigdy dotąd nie czuł się tak paskudnie.

Susan wtuliła się w kąt. Na *jej* twarzy malowała się wrogość i dziwne zmieszanie; trzymała się tak nienaturalnie sztywno, że Daniel poczuł się ostatnim podlecem. Jak mógł potraktować ją tak brutalnie?! Pewnie już nigdy nie odzyska jej zaufania.

Westchnął:

- Idę już. - Ból w boku wydawał mu się niczym w porównaniu ze smutkiem, który przytłoczył mu serce. - Pewnie nigdy więcej cię nie zobaczę.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Daniel zawsze był jej ostoją, fundamentem jej życia. A teraz dopuścił się niewybaczalnej zdrady: dorósł, stał się mężczyzną. Nie czuła się już przy nim bezpieczna. Budził w niej lęk.

- Tak będzie najlepiej.

Jej słowa zabrzmiały jak wyrok. Rozwarła się przepaść, której nigdy dotąd między nimi nie było, nawet podczas długich lat rozłąki.

Daniel wyciągnął rękę, by dotknąć policzka Susan;

ujrzał, że się wzdrygnęła, i zrezygnował z tego gestu. *Gdy* wychodził z pokoju, jego szerokie ramiona na chwilę przesłoniły jej świat. Wraz ze szczękiem zamykanych drzwi dotarły do niej słowa:

- Słodkich snów, moja mała!

Nikt jej tego nie mówił od lat... Od dzieciństwa, gdy Daniel trzymał ją mocno w ramionach i odpędzał nękające ją upiory.

3

Odgłos kroków Daniela nie ucichł jeszcze, gdy podbródek Susan zaczął się trząść.

Nie powinna była go wypędzać!

... Ale nie mogła przecież pozwolić, by został... Nie po tym pocałunku!

Przypomniała sobie dokładnie, jak to się stało. Sama chciała, żeby ją objął. Pragnęła jeden jedyny raz znaleźć się w ramionach mężczyzny. Poznać smak pocałunku. Spodziewała się, że będzie to cudowne i straszne.

A potem zdarzyło się to naprawdę. Znalazła się w objęciach Daniela. I rzeczywiście było to straszne... Nie dlatego, że ją skrzywdził, nie dlatego, że się zmienił. Dlatego, że rozbudził w niej pragnienie czegoś nieosiągalnego. Daniel. Przyjaciel z dzieciństwa. Jak to możliwe, że jednym pocałunkiem rozpętał taką burzę uczuć?...

Ujrzała Daniela tak wyraźnie, jakby stał przed nią. Nie mogła się całkiem wyzbyć strachu. Jej przyjaciel dorósł i się zmienił, od czasu gdy widziała go po raz

ostatni: stal się taki szorstki, taki gwałtowny... Jak można się aż tak odmienić?... Nie poznawała dawnego Daniela w tym obcym mężczyźnie o długich włosach i kanciastych rysach. Nie poznawała tych szerokich ramion i atletycznego torsu. Trudy i ryzyko jego zawodu wycisnęły na nim swe piętno, pozbawiły go uśmiechu i radości.

Gdyby jednak Susan chciała być ze sobą całkiem szczerą, musiałaby przyznać, że wszystkie te zmiany nie dokonały się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Po prostu dawniej umyślnie ich nie dostrzegała. Chowała w sercu obraz Daniela-chłopca i nie chciała się go pozbyć. Aż do dziś. Do chwili, gdy go dotknęła, poczuła ostry zapach jego ciała, usłyszała przepalony alkoholem głos. Kiedy nie mogła już odrzucić świadectwa własnych zmysłów.

Skutkiem przeżytego szoku ręce jej drżały. Splotła je kurczowo przed sobą. Dawniej łudziła się, że jakiś mężczyzna pomoże jej stać się normalną kobietą. Ale Daniel rozwiązał te złudzenia jednym pocałunkiem. W głębi duszy zawsze wiedziała, że to on jest tym jedynym mężczyzną, któremu mogłaby zaufać, wyjawić swe tajemnice. A on zamiast utwierdzić ją w tej nadziei, jeszcze bardziej ją wystraszył. Dawny Daniel mógłby przełamać jej opory, ale nie ten nowy, obcy! Jako dorosły mężczyzna budził w niej strach. Jego obecność przytłaczała ją. Czuła się bezsilna. Upokorzona. Zdezorientowana.

Czas zwycięża wszystko i wszystkich. W tej chwili jego ofiarą była Susan. Jej ostatnia nadzieja na powrót do normalnego życia prysła, rozwiąła się niczym mgła.

Panujące w pokoju zimno zmusiło Susan do działania. Jeśli nie roznieci ognia w wygasłym palenisku, nocą będzie w pokoju lodownia!

W stojącym obok nocnego stolika pudle znajdował się idealny na podpałkę stos pogniecionych kartek. W pokoju było jednak zbyt ponuro i ciemno, wyciągnęła więc rękę w stronę lampy, by podkręcić knot.

Jej palce były lepkie. Wilgotne. Zmarszczyła brwi i przyjrzała się im. Ujrzała ciemnoczerwoną plamę. Od razu ogarnęło ją jakieś złe przeczucie, ale dopiero po kilku minutach pojęła, co to takiego.

Krew.

Niepokój przerodził się w paniczny strach. Jak szalona przeszukiwała pomieszczenie, pewna, że lada chwila odkryje coś straszego. Ale wszystko było takie jak zawsze. Pokój był mały, ciasny i bez żadnych niespodzianek.

Serce jej wypełniło przerażenie. Potraktowała Daniela jak wroga; uciekała przed nim jak spłoszony ptak, a potem wypędziła go na mróz, nie ugościwszy go niczym, nie proponując, by usiadł i odpoczął...

Nie miała pojęcia, że był ranny!... Gdyby wiedziała, toby przecież...

Jak by się zachowała? Przecież sama jego obecność zapierała jej dech; była przy nim rozdygotana i dezorientowana. A kiedy jej dotknął, nie potrafiła zebrać myśli.

To nie była wina Daniela. To wszystko przez nią, przez jej głupie, bezsensowne lęki! Czemu nie mogła nad nimi zapanować ani się ich wyzbyć?...

Wyrzuty sumienia przerodziły się błyskawicznie w dojmujący wstyd. Daniel potrzebował jej pomocy, a ona go zawiodła! Napadła na niego bez powodu w ataku hysterii. Głupiej, babskiej hysterii.

Trzeba go odnaleźć! Nie powinien odejść w ten sposób!... Może po prostu skaleczył się w palec?... Mu-

si go dogonić i upewnić się, że to nic groźnego. Przede wszystkim jednak pragnęła zatrzeć wspomnienie ostrych słów, które padły z jej ust. Daniel z pewnością dotrzyma obietnicy i pierwszy jej nie odwiedzi - potrafił być uparty jak osioł!... Nigdy by sobie nie wybaczyła, że rozstali się w gniewie.

Otworzyła z impetem drzwi i wybiegła na mroczny korytarz, starając się odgadnąć, którędy Daniel wyszedł. Przyszło jej na myśl kilka możliwości. Sprawdziła tylne drzwi i wszystkie okna. Najmniejszego znaku, że wtargnął przez nie jakiś intruz. Biegała w różne strony, ale nie natrafiła na żaden ślad Daniela Crockera. Zupełnie jakby rozpułynął się w powietrzu... O tym, że w ogóle tu był, świadczyła tylko krwawa smużka na jej skórze.

Ależ ją wystraszył!... Ujrzał wyraźnie, jak gaśnie w niej wrodzona odwaga - zupełnie jakby ktoś przykręcał knot naftowej lampy - i nic nie mógł na to poradzić.

Daniel zaszył się w kącie między kaplicą a pomieszczeniami klasztorными. Zacisnął mocno powieki, częściowo z powodu dojmującego bólu w boku, ale przede wszystkim dlatego, że postąpił tak podle.

W ciągu dwudziestu lat setki razy widział reakcję Susan na widok mężczyzny. Jako dziecko wrzeszczała bez opamiętania, jeśli któryś wszedł do pokoju. Podrósłszy nieco, nauczyła się kontrolować swe odruchy, ale najłżejsze dotknięcie budziło w niej wstręt; koszarne wspomnienia nadal ją prześladowały.

Dziś po raz pierwszy zachowała się tak wobec niego. Swym pocałunkiem przeraził ją jeszcze bardziej. Okazał się jednym z nich! Stanowił zagrożenie.

Jasna cholera!

Cholera, cholera, *cholera!* Daniel wysunął się z kąta i w dzwoniącej ciszy pomaszzerował korytarzami Akademii, chcąc jak najprędzej wsiąść na swego konia i opuścić to miejsce. Przybył tu w jednym tylko celu: powstrzymać Susan od popełnienia błędu. Poniósł jednak klęskę. Zachował się jak ostatni dureń. Nie tylko nie zachwiał jej nierozważnym postanowieniem; jeszcze ją w nim umocnił!

Zakonnica. Jego mała Susan zakonnica!... Ta myśl piekła go jak rozpalone żelazo, napełniała go taką gorczą, jakiej nigdy dotąd nie czuł. Zwłaszcza teraz, gdy znalazł już słodycz jej warg i miękkość ciała. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że zapragnie kiedyś Susan jako kobiety... Teraz jednak nie mógł opędzić się od tej myśli.

Daniel nie miał nic przeciw zakonnicom ani kościołowi. Sam co prawda nie zawracał sobie głowy Panem Bogiem (i na odwrót!), ale nie przeszkadzało mu, gdy ktoś patrzył na te sprawy inaczej. Pewnie by się w końcu pogodził z decyzją Susan, gdyby podjęła ją wiedzioną prawdziwym powołaniem. Wiedział jednak, że jest to tylko ucieczka od rzeczywistości.

Gdyby zdołał ją przekonać, że normalne życie może dać jej wiele więcej niż pobyt w kamiennych murach klasztoru!... Gdyby zechciała się jeszcze trochę zastanowić...

Gdyby... Po co te jałowe, kretyńskie rozważania?... Susan teraz ani na niego spojrzy. Nie będzie słuchać jego perswazji. Każde jego słowo utwierdzi ją w uporze.

Niech to szlag!

Doszedłszy do końca korytarza, Daniel otworzył ciężkie dębowe drzwi i wślizgnął się do środka, zręcz-

nie i cicho jak zawsze. Znalazł się w niewielkiej izdebce. Bezszelestnie kroczył po grubych deskach; dałby głowę, że klęcząca, zatopiona w modlitwie kobieta nie dostrzegła jego wejścia. Kiedy jednak otworzył usta, by przemówić do niej, powstrzymała go ruchem ręki i kontynuowała modły:

- Panie Boże, błogosław siostrze Mary Catherine, siostrze Mary Simon, naszej wielebnej matce przełożonej. Opiekuj się Susan, Millie i Maxern...

Zniecierpliwiony tą zwłoką zamierzał już odejść, ale następne słowa sprawiły, że stanął jak wryty.

- Dobry Boże, czuwaj nad Danielem, nie pozwól, by zrobił z siebie jeszcze większego głupca!

Daniel oparł się o ścianę, zwiesił głowę i czekał. Dobrze wiedział, że czeka go kazanie. Lepiej więc zostać i mieć to za sobą.

Siostra Mary Margaret zakończyła modlitwę, przeżegnała się, wstała z klęczek i odwróciła się do niego. Spojrzała nań badawczo i stwierdziła:

- Pokłóciliście się.

- Jak mogło być inaczej? Jest głucha na wszelkie perswazje!

- Próbowałeś ją przekonać czy zmusić do posłuchu?

Daniel nie raczył odpowiedzieć.

- Tak też sądziłam! - westchnęła i zaczęła rozwiązywać tasiemki podtrzymujące welon. - To moja wina. Nie powinnam była powierzać mężczyźnie tak delikatnego zadania.

Daniel przeszył ją spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrafiłbym przemówić komuś do rozumu?!

- Chcę powiedzieć, że niekiedy brakuje ci... taktu. - Zwinęła ciężki szal i położyła na stojącej koło

łóżka skrzyni. Zręcznie zaczęła zdejmować barbet*.

- Nic tu po mnie.
- Oczywiście!
- Uparła się przy tych ślubach.
- Pisałam ci o tym w telegramie.
- Niech to szlag, Belle!

Zakonnica potrząsnęła z niezadowoleniem głową, ale w kącikach jej ust igrał ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Jak to się dzieje, że potrafię na całe lata zapomnieć o mojej przeszłości, a wystarczy jedno twoje niebaczne słowo i wszystko staje mi znów przed oczami?

- Myślałem, że pod opieką świętego Franciszka zapomniawsz na amen o „Klubie Rozrywkowym Pod Gwiazdami”!

- Niektórych wspomnień nie da się wymazać.

Wpatrując się w zakonnice, Daniel z trudem poznawał w niej dziewczynę, którą spotkał dawno temu w Pensylwanii. Jako dziewięcioletek zabłądził kiedyś do „Klubu Rozrykowego Pod Gwiazdami” w poszukiwaniu jedzenia dla swej małej siostrzyczki. Ku swemu przerażeniu zorientował się, że to nie żadna kawiarnia czy bar, tylko dom publiczny. Ale Belle, słodka, samotna Belle, wzięła chłopca pod swoje skrzydła i znalazła dlań schronienie w szopie za domem. Dwa albo trzy razy na dzień przynosiła potajemnie jedzenie, wodę i mleko dla Daniela i jego siostry. W końcu jej matka, właścicielka burdelu, odkryła te machinacje i zmyła Belle głowę za uszczuplanie bezcennych w czasie wojny zapasów. Choć Daniel

*Rodzaj kołnierza noszonego przez zakonnice niektórych reguł, który ostania szyję, a czasem ramiona.

musiał wynieść się wraz z siostrzyczką, pozostał w kontakcie ze swą przyjaciółką i zbawczynią. Nawet gdy matka wysłała ją do znanej przyklasztornej szkoły w Denver, chłopiec nie zapomniał o Belle.

Ściągnęła z głowy welon, odsłaniając twarz o delikatnych rysach, która z wiekiem stawała się coraz piękniejsza, smukłą, wdzięczną szyję i smoliście czarne włosy ostrzyżone tak krótko, że gdzieś pod jedwabistego jak u dziecka puchu przezierała naga czaszka.

- O Boże! Co się stało z twoimi włosami, Belle?!

- Byłabym ci ogromnie wdzięczna, gdybyś nie wzywał boskiego imienia nadaremno.

- Chol...

- I nie kłął! - przerwała mu z zimną krwią. Kiedy zacisnął wargi, kiwnęła głową na znak milczącej aprobaty. - A teraz powiedz mi, co się wydarzyło. Susan w dalszym ciągu chce złożyć wieczyste śluby?

- Zaparła się jak osioł! Jest uparta, ślepa i pomyłona! - Rzucił zakonnicy oskarżycielskie spojrzenie. - To *twoja* robota!

- Moja?

- Ściągnąłem ją tu, żeby się uczyła!

- A ona została, by uczyć innych.

- I potem *ty* wbiłaś jej do głowy ten kretyński pomysł!

- A *ty* gdzieś się podziewał, gdy Susan potrzebowała twojej rady?... - Crocker uparcie milczał. - Naprawdę masz o mnie taką złą opinię?... Po tym wszystkim, cośmy razem przeszli?

Poruszył się niespokojnie.

- Kiedy byłeś małym chłopcem, pomagałam tobie i Annie. A gdy po wielu latach uciekłeś z sierocińca i przyjechałeś za mną do Denver, ukryłam cię i tu, choć

wiedziałam, że źle postępuję. Byłam w klasztorze od niedawna, ale kiedy przysłałaś Susan do Akademii Świętego Franciszka, zaopiekowałam się nią i nie przestałam nad nią czuwać nawet po złożeniu zakonnych ślubów. Chyba nie zasłużyłam na twe potępienie.

Gniew Daniela nieco osłabł, ale nie całkiem. Złość jak żmija zwinęła się w jego brzuchu, gotowa kąsać przy najmniejszej prowokacji.

- To nie miejsce dla niej!

- Może i nie, ale ktoś ją powstrzyma, jeśli ty umyjesz od tego ręce? - Słowa zakonnicy zabrzmiały jak wyzwanie.

- Co mam robić?! Zakradać się do jej pokoju noc w noc?! - Daniel zacisnął szczęki, starając się powstrzymać zdradziecki grymas: poczuł w brzuchu ostry ból.

- To by niewiele dało: Susan jutro wyjeżdża do Ashton na zjazd dawnych wychowanków. Pociągiem, o siódmej rano. - Mary Margaret sięgnęła do głębokiej kieszeni habitu i wydobyła niewielką kopertę. - Kupiłam ci już bilet.

- Nie wybieram się na to spotkanie. To się zresztą na nic nie zda. Teraz Susan z pewnością mnie nie posłucha. - Przypomniał sobie, jak wyglądała w chwili rozstania: była zziębnięta i rozdygotana.

- Może byś spróbował z innej beczki?... Jeśli wybierzesz się na tę uroczystość, będziesz miał dużo okazji do rozmów z Susan. Popracujcie razem, ramię przy ramieniu. Zapoznaj się z nową, dorosłą Susan! To jeden z powodów, dla których cię wezwałam. Zbyt długo trzymałaś się od niej z daleka.

Prychnął pogardliwie, nie chcąc przyznać ani przed sobą, ani przed Belle, że miała rację.

- Zaofiarowała się przystroić dom i zająć się dzieć-

mi. Gdybyś zgłosił się do pomocy, nie zabrakłoby wam czasu na rozmowy.

Crocker potrząsnął głową.

- Nie znam się na takiej robocie.

Oczy Mary Margaret błysnęły wesoło.

- O ile pamiętam, miałeś zawsze zręczne ręce... nawet jako piętnastolatek.

Była to aluzja do kilku tygodni, które spędził w Denver po ucieczce z sierocińca, spod opieki Reedów. Belle była wówczas zbuntowaną wychowanką Akademii. Opierała się kościelnym rygorom, miała straszliwe kompleksy z racji swego pochodzenia... Wprowadziła Daniela w tajemniczy świat zmysłowych doznań.

Belle poznała widać po jego minie, że zaszokowały go jej słowa, bo roześmiała się.

- Zdradzę ci pewien sekret, Danielu. Wyrzekłam się grzesznego życia, ale jeszcze nie umarłam! Dobrze pamiętam, co wtedy między nami zaszło... Choć większość ludzi rwałaby włosy z głowy, dowiedziawszy się, że zakonnica ma taką burzliwą przeszłość!... Zwłaszcza że sprowadziłam na manowce chłopca młodszego prawie o pięć lat!

Lekki rumieniec zabarwił policzki Crockera.

- A co będzie, jeśli Susan się uprze?...

Mary Margaret poklepała go po ramieniu i podeszła do drzwi.

- Tylko sobie nie wyobrażaj, Danielu, że jestem przeciwna składaniu wieczystych ślubów! Sądzę, że Susan ma zadatki na dobrą zakonnice. Ale zakon to nie klub dyskusyjny ani stowarzyszenie pań obradujące przy herbatce. To szczytne powołanie. Jeśli Susan dręczą wątpliwości co do przyszłych ślubów, to nie znajdzie w życiu klasztornym doskonałego speł-

nienia, na które zasługuje. Będzie oszukiwać samą siebie. I Boga.

Crocker wyszedł na korytarz, ale nim zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i pogładził Mary Margaret po aksamitnym policzku.

- A czy ty nigdy nie żałujesz swego wyboru? - Jego spojrzenie padło na ostrzyżoną głowę.

Mary Margaret promieniała wewnętrznym spokojem.

- Żałuję tylko, że nie zdecydowałam się na to wcześniej.

- Nie dusisz się w tym zamknięciu?

- Ani trochę!

Żywiotałowy entuzjazm w jej głosie przekonał Daniela, że Belle - siostra Mary Margaret - składając śluby, nie oszukiwała nikogo. Ani siebie, ani Pana Boga.

4

Cheyenne, stolica Terytorium Wyoming
10 stycznia

- No i co? Gdzie on jest? - Jedidiah Kutter podniósł się zza sfatygowanego biurka i spojrzał wilkiem na nowe popychle, które ośmieliło się przyjść pierwszego dnia do pracy w szykownym garniturku! W garniturku, rany boskie!

- N... nie wiem, sz... szefie.

Pryszczaty młodzian miał najwyżej dziewiętnaście lat. Kutter podejrzewał, że chłopak zwiął z domu: zapachniała mu przygoda i sława! Jego starzy pewnie

zachodzili w głowę, co wstąpiło w biednego Timmy'ego Libbleya, że tak odbił od swej parafii, rodzinnego domu i mamusinej kuchni.

- Co to znaczy „nie wiem”?! - warknął Kutter. - Tłumaczyłem ci: masz iść do hotelu i warować na korytarzu przed jego numerem, choćby do skończenia świata!

- J... jego tam nie było!

- No to czemu wróciłeś takim pędem?! - wrzasnął Kutter. Nie miał już cierpliwości do tego szczeniaka.

- R... recepcjonista wpuścił mnie do jego p... pokoju. Crockera tam nie było. Jego rzeczy też. *Ani ś... śladu*. Od dwóch dni nikt go nie widział.

- Psiakrew! - Kutter wałnął pięścią w blat, aż podskoczył obtłuczony kubek i reszta rupieci na biurku.

- *Nikt* nie ma prawa znikać bez mojej wiedzy! - Machnął groźnie palcem. - Zapamiętaj to sobie!

- T.. tak jest, sz... szefie.

- I przestań się jękać! Tylko mięczaki się jękają. Każdy pomyśli, że tchórz cię obleciał! Jak chcesz zostać pinkertonem, to nie rób z siebie pośmiewiska! Kapujesz, szczeniaku?

Timmy Libbley przytaknął, potulnie jak ministrant. Boże, zmiłuj się! Aż się chciało rzygać. Kutter pomyślał, że jeśli w ciągu dwóch-trzech tygodni chłopak nie weźmie się w garść, to pierwsza lepsza rozłoszczona babcia odstrzeli mu łeb.

Jedidiah posłał po Daniela Crockera nie bez powodu. Od momentu gdy zdemobilizowany Crocker opuścił szeregi kawalerii i przystał do pinkertonów, był zawsze twardy i zimny jak lód. Kutter żałował, że wśród swoich ludzi nie ma więcej takich jak on. Gdyby tak było, mógłby skończyć z tą harówką i wreszcie sobie odpocząć. Ale gdzie tam! Przysyłali

mu tylko takie typki, jak Timmy Libbley. Mięczaki, maminsynki, żółtodzioby!

- Powiedzieli ci, dokąd wyjechał?

- Nie, sz... szefie. Nikt nie widział, jak wychodził. Nikomu nie ws... wspominał, że się wynosi.

Kutter spojrział na niego spode łba.

- Trafiłeś na coś podejrzanego?

- Krew na p... pościeli.

- Dużo?

- Kilka p... plam.

Kutter mruknął coś pod nosem.

- Crocker oberwał nożem podczas obławy na Granta Dooleya. Miejmy nadzieję, że stąd ta krew. Ze go jeszcze nie dopadli.

- S... słucham?...

Kutter chwycił z biurka jakiś papier i machnął nim przed nosem chłopaka.

- Dali nogę!

- Kto, sz... szefie?

- Nie słyszałeś? Dooleyowie! Grant Dooley i jego braciszek Marvin zwiali z pierdła w DeMont jeszcze przed procesem! I teraz wszystkie parszywe, podłe, przენiewiercze Dooleye zbiegną się tutaj, choćby z Saint Louis! - Pochylił się tak, że znaleźli się z Libbleyem nos w nos. - A wiesz dlaczego?

- N... nie, sz... szefie.

- Przestań się jakać!

Libbley stanął na baczność.

- Nie, szefie. T... to znaczy... t... tak jest, sz... szefie.

- To ci powiem - Kutter wrócił do poprzedniego tematu. - Bo mamy pod kluczem jeszcze jednego braciszka: Floyda Dooleya, czyli „Bobasa”. Najgłupszego mięczaka pod słońcem! Ale Grant Dooley nie da

go powiesić. Ta cholerna stara jędza, ich matka, nie pozwoli mu na to!... Ale tak się paskudnie zdarzyło, że „Bobasa” przyskrzynili w Nevadzie i będziemy musieli za dwa tygodnie przytaszczyć go stamtąd do Cheyenne na proces.

- I Dooleyowie spróbują go odbić?

- No pewnie, cholera jasna! - Kutter wykręcił się na pięcie i ruszył w stronę okna. Oparł się o poobijaną framugę i wyjrzał na ulicę. - Myślisz, że na tym koniec?! Musimy znaleźć Crockera, i to raz dwa! Dooleyowie mają z nim na pieńku od lat. Nie pozwolą, żeby się wymigał byle draśnięciem. Urozmaicą sobie czekanie na przyjazd „Bobasa” Floyda polowaniem na Crockera. Osaczą go jak szczura w norze. Musimy wyszykować taką pułapkę, żeby cała szajka Dooleyów znalazła się znowu pod kluczem, nim będzie za późno! Potem transport „Bobasa” do Cheyenne pójdzie jak po maśle. - Jedidiah zacisnął wargi. - Gdyby się tak udało...

- Podłożyć im Crockera na przynętę?... - dokończył z wahaniem Libbley, gdy szef urwał w środku zdania.

Jedidiah Kutter podniósł głowę. Odwrócił się. Spojrzał na Timmy'ego i... roześmiał się na całe gardło. Basowy, donośny śmiech odbił się echem od sklepienia i wprawił w drżenie szyby okienne.

Libbley cofnął się, gdy szef zrobił krok w jego stronę, ale Jedidiah schwycił go za ramiona, potrząsnął nim z wielką uciechą i oświadczył:

- Tam do licha! Może jeszcze zrobimy z ciebie pinkertona!

5

Pociąg przycupnął obok stacji, buchając gęstymi obłokami dymu i pary w mroźnym styczniowym powietrzu. Poprzedniego wieczora spadł puszysty śnieg i po obu stronach toru utworzyły się potężne zaspasy. Zdążyły już nawet poczernieć od węglowego pyłu.

Wśród podróżnych panowało radosne ożywienie. Eleganckie matrony w tiurniurach i kapeluszach z piórami tłoczyły się wraz z farmerami w samodziאלach i roboczych buciorach. Peron zalegały kufry i torby podróżne pospołu z worami ze zgrzebnego płótna i drewnianymi skrzyniami.

Susan ledwie miała czas rzucić okiem na otoczenie, gdy wraz z siostrą Mary Margaret i Maxem przedierała się przez tłum pasażerów. Wiatr tarł welon zakonnicy tak, że jego końce trzepotały jak skrzydła wielkiego ptaka. Może właśnie dlatego zgromadzeni na zadaszonym peronie podróżni rozstąpili się, przepuszczając ją do pociągu. Siostra Mary Margaret - niczym. Mojżesz w spódnicy - przeszła przez ludzkie morze wraz ze swymi towarzyszami.

Obie kobiety szły prędko. Nieco w tyle za nimi włókł się dobrotliwy olbrzym - Max - taszcząc zapasy przeznaczone dla żeńskiego klasztoru w Ashton.

Siostra Mary Margaret wzięła na siebie większość spraw związanych z podróżą; Susan była rada, że osoba starsza i bardziej doświadczona zatroszczy się

o bilety, bagaże i całą resztę; dzięki temu mogła myśleć spokojnie o czekającej ją dalekiej wyprawie; musiała tylko mieć oko na pudło owsianych ciastek, które upiekła dla dzieci z sierocińca.

- Susan, czy mogłabyś poczekać tu z Maxem i przypilnować mego bagażu? Popytałabym, czy nie zasypało gdzieś torów i o której mniej więcej dojedziemy do celu.

- Oczywiście, proszę siostry. - Susan wzięła od niej walizkę, nie dziwiąc się wcale, że jest ona stosunkowo lekka. Obserwując Mary Margaret, która podszedłszy do konduktora, wzięła go w krzyżowy ogień pytań, Susan składała dzięki niebiosom, że wielebna matka przełożona wyznaczyła jej na towarzyszkę podróży tę właśnie zakonnice! Co by było, gdyby musiała spędzić cały dzień z wiecznie skwaszoną, milkliwą siostrą Mary Simon albo wciąż nieobecną duchem siostrą Mary Catherine?... Na szczęście matka przełożona zdecydowała inaczej, dzięki czemu trzystumilowa podróż do Ashton w Wyoming z pewnością nie będzie się dłużyć!

- Dziękuję, moja droga. - Siostra Mary Margaret odebrała od niej swą walizeczkę. - Według pana Digby'ego, który wyjaśnił mi wszystko nader dokładnie, powinniśmy dojechać do Ashton mniej więcej w porze kolacji, chyba że aura spłata nam jakiegoś figla. - Zakonnica odwróciła się do Maxa. Poczekawszy, aż kolos skoncentruje na niej swą uwagę, poleciła mu zwięźle i dobitnie: - Max, zanieś bagaż na tylną platformę. Potem wróć do nas, bo pojedziemy pociągiem wszyscy razem.

Max przez chwilę wpatrywał się w nią tępo, potem obdarzył obie kobiety uśmiechem nieśmiałego dziecka, które mieszkało w ciele tego czterdziestoparoletniego mężczyzny.

- Tak, siostrzo Mary Margaret. Tak, panienko Susan.

Susan patrzyła za nim, gdy oddalał się ciężkim krokiem. Dobroduszny, przeżył Max! Zakonnice mówiły o nim, że jest „zupełnie wyjątkowy”... Otrzymane podczas wojny ciosy w głowę spowodowały, że znów stał się dzieckiem. Chwilami bywał zupełnie przytomny. Zazwyczaj jednak patrzył błędnym wzrokiem, drepcząc za wszystkimi jak malec za starszym rodzeństwem. W przeżył sposób wyróżniał Susan; tak rozpaczał z powodu jej wyjazdu, że siostra Mary Margaret postarała się, by mógł im towarzyszyć w podróży. Miał opiekować się bagażami i pomagać jej, gdy dotrą do opactwa w Ashton. W tamtejszym klasztorze obowiązywała bardzo ścisła reguła, siostry nie utrzymywały prawie żadnych kontaktów z otaczającym światem. Były zależne pod tym względem od urszulanek z innych klasztorów, które pomagały im w zdobyciu niezbędnych zapasów oraz w sprzedaży miodu i sporządzanych w Ashton lekarstw.

Susan automatycznie śledziła poczynania Maxa. Upewniła się, że umieścił bagaż we właściwym miejscu. Potem wyprostował się, pomachał jej kapeluszem i ruszył z powrotem w ich kierunku.

Siostra Mary Margaret sprawdziła godzinę na zegarku, zwisającym z jednego z pół tuzina cienkich łańcuszków przypiętych klamrą z brązu do paska habitu. Oprócz zegarka zakonnica nosiła małe nożyczki, mosiężny klucz, naparstek, igielnik i miniaturowy gwizdek, którym zwoływała pensjonarki z Akademii Świętego Franciszka na poranną modlitwę.

- Kiedy będziemy już w Ashton, odstawię cię bezpiecznie pod same drzwi sierocińca. Potem udamy się z Maxem do klasztoru (to całkiem niedaleko!), gdzie

nastąpi wymiana towarów i najnowszych wiadomości. - Chowając zegarek w fałdach obszernego habitu, Mary Margaret spytała: - Możemy wsiadać?

- Tak!... Tak, oczywiście. - Od chwili opuszczenia klasztornych murów Susan rozpieszczała radość i energią. Chwyciwszy żelazną poręcz, podciągnęła się na stopień wiodący do wnętrza ostatniego wagonu. Gdy stała już na schodku, ogarnął ją dziwny niepokój: miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Drobne włoski na jej karku zjeżyły się. Spojrzała przez ramię na tłoczącą się ciżbę, ale nic nie potwierdziło jej podejrzeń.

- Panno Susan?... Coś niedobrego?...

W odpowiedzi poklepała Maxa uspokajająco po ramieniu. Starając się odpędzić od siebie niepokój, poszła do jednej z wolnych jeszcze ławek i usiadła w kąci przy oknie, zostawiając dość miejsca dla siostry Mary Margaret. Max klapnął na przeciwległą ławkę, zajmując ją bez reszty. Wyglądał przez okno z miną zaciekawionego psiaka.

- Dokąd jedziemy? - spytał po raz chyba setny.

- Do Ashton, Max. To miasto w Wyoming.

Susan czuła, że wraca do domu.

Daniel zaczekał, aż Susan i jej towarzysze znikną we wnętrzu wagonu osobowego. Potem, nie zważając na przeszywający ból w boku, zaprowadził konia do wagonu towarowego, wyścielonego słodko pachnącym sianem. Uwiązawszy jak należy Wodza, swego cisawego wałacha, i sypnąwszy mu okazałą porcję owsa, Daniel leżał na stercie słomy i zsunął kapelusz na czoło. Owinął się ciasniej obszerną kurtką z cielęcej skóry, marząc o tym, by zasnąć.

Nie mógł jednak odpędzić od siebie myśli o Susan.

Miała na sobie posępny strój nowicjuszki: niczym nie rozjaśnioną czarną suknię, czarne buciki, czarną peletynę. Nawet głowę okryła szczelnie grubym, czarnym szalem; nie wystawał spod niego ani jeden rudy loczek.

Na widok Susan poczuł się tak, jakby muł kopnął go prosto w brzuch. Nie dlatego, że atramentowa czerń wyssała wszystką krew z bladej, delikatnej twarzy, ale dlatego, że nie mógł się pogodzić z myślą, iż Susan przez ostatnie lata po prostu kryła się przed światem. A teraz, jeśli nie uda mu się jakoś temu zapobiec, umknie mu już na zawsze!

Musi się opanować, uspokoić, zasnąć. Nie wiedział jeszcze, co pocznie, gdy oboje przyjadą do Ashton, ale jednego był pewien: jeśli Susan zechce się zamknąć w klasztorze z powodu niechęci do mężczyzn, wolna droga! Nie pozwoli jej jednak na to, zanim się nie upewni - na sto procent! - że z jej oczu zniknął strach.

Pociąg zatrzymywał się wielokrotnie na trasie do Wyoming, by zaopatrzyć się w wodę, pozbyć się części pasażerów i przyjąć nowych. Za każdym razem Daniel wstawał z wysiłkiem i krył się wśród tłumu na stacji. Nie spuszczał oczu z Susan oraz Mary Margaret i mierzył nienawistnym spojrzeniem każdego, kto się na nie bezceremonialnie gapił lub ośmielił się je potrącić. Kilka razy Susan odwracała się, jakby czuła na sobie jego wzrok, ale Daniel od dawna umiał niepostrzeżenie wtapiać się w tłum.

Tylko raz, gdy Susan, Mary Margaret i towarzyszący im osiłek zniknęli w kawiarence, Daniel zmienił taktykę. Rwanie w boku i dudnienie w głowie tak się nasiliły, że wiedział, iż nie da rady długo stać. Zażył niedawno lekarstwo, ale nie pomogło

ani trochę. Miał wrażenie, że jeszcze go osłabiło.

Zdając sobie sprawę, że w tym stanie nic wytrzyma długo na mrozie, wszedł do wagonu osobowego w tyle pociągu. Przemierzając go, zatrzymał się obok miejsca zajmowanego przez Susan. Zauważył, że rozwiązane tasiemki jej woreczka wloką się po podłodze. Zmarszczył brwi na widok takiej nieostrożności i wepchnął woreczek do podróżnej torby Susan. Strącił przy tym pokrywę stojącego obok pudła.

Ciastka. Owsiane ciastka z rodzynkami!

Ogarnęło go jakieś miłe ciepło; wolał je uznać za skutek działania lekarstwa niż własnej reakcji na ten widok. W dzieciństwie owsiane ciastka z rodzynkami uważał za rajski przysmak.

Z żalem przykrył pudło. Oddalił się na krok... dwa... trzy... Przystanął. Obraz świeżutkich ciastek trzymał go na uwięzi.

Starał się zapanować nad sobą. Zignorować słodki zapach, który uderzył mu do głowy.

W końcu uległ pokusie.

Rozejrzał się dokoła, czy ktoś go nie widzi, i podniósł pokrywę. Ciastka błysnęły niczym szczerze złoto. Tym razem przyjrzał się im uważniej i spostrzegł, że jest w nich wyjątkowo dużo rodzyneków i że nadal są ciepłe. Były dokładnie takie, jak lubił.

Wyciągnął dwa. Potem cztery. Wreszcie osiem. Na koniec zerknął przez okno, by sprawdzić, gdzie obecnie znajduje się Susan, po czym porwał całe pudło i ruszył przejściem. Nie zatrzymał się, póki nie oddzieliło go od „miejsca zbrodni” kilka przedziałów.

Wypatrzył daleko, na samym przodzie, wolną ławkę. Opadł na nią, krzywiąc się z bólu. Pociąg wciąż jeszcze stał. Wonie płynące z pudła były coraz bardziej kuszące.

Przedłużając miłe oczekiwanie na rozkosze podniebienia, Daniel postanowił wstrzymać się z degustacją, póki pociąg nie odjedzie ze stacji. Potem - po głębokim namyśle - wybrał jedno z ciastek, pękające wprost od rodzynek. Przełamał je na pół, delektując się konsystencją. Ostrożnie, bez pośpiechu, jak prawdziwy koneser, wgrzył się w świeżutki, pachnący specjał. Manna z nieba nie smakowałaby lepiej!

Przez kilka następnych godzin rozważnie dozował ciastka. Zjadł dobre pół tuzina. Pomagały na samotność, ból w boku i wszelkie życiowe utrapienia o wiele lepiej niż alkohol czy jakiegokolwiek lekarstwo. A jeśli nawet ktoś zrobił zdziwioną minę na widok długowłosego, bladego, groźnie wyglądającego mężczyzny, strzegącego zazdrośnie pudła z ciastkami niczym skapiec złota, ten i tak tego nie zauważał.

Pociąg znajdował się w odległości pięćdziesięciu mil od Ashton, gdy zaczął padać śnieg. Nie jakieś tam unoszone delikatnymi powiewami wietrzyka nieliczne płatki, ale gęsty, mokry śnieg gnany wichurą. Nic dziwnego, że skrzypiące wagony dotarły do Ashton dobrze po północy.

Wymęczona i zeszywniała po długiej podróży Susan wysiadła z pociągu jako jedna z ostatnich. Gdy zatrzymała się na stopniu wagonu i dostrzegła stojących w cieniu Esther i Donovana Reedów, poczuła w oczach piekące łzy, które o mały włos nie polały się strumieniem.

- Susan! Susan! Witaj w domu!

Essie podbiegła do niej i serdecznie ją uściskała.

- Myślałam, że twój pociąg już nigdy nie przyjedzie! Omal nie pękłam z niecierpliwości! - Jej szare oczy błyszczały radością. - Tak się cieszę, że siostry

pozwoiliły ci przyjechać do domu na kilka tygodni! Nie pokazałaś się od wesela Sarah przed trzema laty!

Nie licząc jakichś nieistotnych drobiazgów, czas nie zmienił wyglądu Esther Reed. Nadal była wyso-ka i smukła, trzymała się godnie, a jej włosy o barwie karmelu lśniły złotawo w padającym z okien stacji świetle. Zwróciła się do mężczyzny, kryjącego się do-tyd w cieniu pod dachem. Jego ciemnobrązowe oczy wpatrywały się w brnące ku niemu przez śnieg kobie-ty. Mimo upływu dwudziestu lat błyszczała w nich ta sama, zaborcza miłość.

Nie wypuszczając Susan z uścisku, Essie wydawa-ła mężowi polecenia i witała się serdecznie z siostrą Mary Margaret i z Maxem. Nalegała, by zatrzymali się oboje w sierocińcu, zamiast maszerować o tak póź-nej porze do klasztoru. Donovan odbierał bagaż i wy-pytywał Susan, jak minęła podróż. Mimo całego zamieszania i hałasu to powitanie wydało się Susan ucie-leśnieniem marzeń, które snuła przez ostatnich kilka tygodni. Pragnęła znaleźć się wśród kochającej rodzi-ny. Pod wieloma względami Reedowie byli jej bliżsi od rodziców, których ledwie pamiętała z wczesnego dzieciństwa. Do kompletu brakowało tylko Daniela.

Daniela.

Zapewne nigdy go już nie ujrzy po tamtym rozsta-niu w Akademii Świętego Franciszka... Raz jeszcze Susan poczuła na sobie czyjś wzrok i zmarszczyła brwi. Wrażenie jednak znikło i następne minuty peł-ny były śmiechu i ożywionej paplaniny.

Gdy palce u nóg zaczynały jej już marznąć, Do-novan usadowił ich wszystkich: ją, Maxa i siostrę Mary Margaret, na tylnym siedzeniu sań. Okrywszy kolana dawnej wychowanki grubym futrem i koca-

mi, uściskał jej dłoń przez rękawiczkę, zapewniając:
- Ani się obejrzysz, a będziemy w domu!

Dom... Od kiedy to proste słowo nabrało takiego uroku?...

Z odległości kilku jardów Daniel obserwował radosne powitanie. Widział, jak Essie niecierpliwi się i robi zamieszanie, słyszał dobroduszne wyrzekania Donovana na bagaż i kobietą paplaninę. Dowiedział się, że Belle przyjęła zaproszenie na nocleg w sierocińcu i chętnie przyrzekła wziąć udział w spotkaniu dawnych wychowanków za parę tygodni. Przede wszystkim zaś widział wyraźnie uczucia malujące się na twarzy Susan: radość, oczekiwanie, ulgę.

Wracając do wagonu towarowego po Wodza, Daniel był pewien, że postąpił słusznie, przyjeżdżając tu za Susan. Choć jeszcze sobie tego nie uświadamiała, z pewnością już nie wróci ani do Akademii, ani do klasztoru. Decyzja ta zapadła już w jej mózgu. Teraz on, Daniel, musi postarać się o to, by przytaknęło temu również serce Susan.

Daniel zabrał konia do miasta, wynajął dla niego boks w stajni i krótką, dobrze mu znaną drogą udał się do miejscowego hotelu (a zarazem baru) o nazwie „Delta”. Wynajął pokój i zamówił w recepcji kolację do numeru.

Portier hotelowy wcale nie był zaskoczony tym żądaniem; zdążył już nieźle poznać Daniela Crockera. Ten wysoki, energiczny mężczyzna przyjeżdżał do Ashton raz czy dwa razy w miesiącu, bez względu na pogodę, zatrzymywał się na jedną noc i znowu gdzieś zniknął. Recepcjonista wiedział, że Crocker ma jakieś

powiązania z sierocińcem; zdaje się, że sam kiedyś się w nim wychowywał. Nigdy jednak nie nocował w Benton House. Chodziły słuchy, że Crocker ma kawał ziemi za Przełęczą Trapera. Portier nie dałby głowy, że to prawda, ale wydawało mu się to całkiem możliwe.

Danielem wstrząsały dreszcze, gdy wchodził po schodach i zmierzał korytarzem do narożnego pokoju. Znalazłszy się w nim, odstawił strzelbę pod ścianę, rzucił juki na podłogę, a potem ściągnął kurtkę i koszulę. Wzdrygnął się, ujrzawszy świeżą plamę krwi na bandażu, ale postanowił nie zawracać sobie tym głowy.

Słyszając dyskretne pukanie do drzwi, chwycił za strzelbę.

- Czego tam?

- Przyniosłam kolację, panie Crocker. - W kobiecym głosie brzmiało zmęczenie równe temu, które sam odczuwał.

Daniel otworzył drzwi. Stara, wymizierowana kobieta ledwie dostrzegalnie skinęła mu głową i podała tacę.

- Niech pan ją potem wystawi za drzwi - powiedziała i cofnęła się na korytarz.

Przez następną godzinę Daniel usiłował zjeść kolację. Jednak ból w boku był coraz większy, a żołądek wyraźnie się buntował. Zazył więc lekarstwo i popił je haustem whisky. W żołądku aż go zapiekło od płynnego ognia. Samopoczucie wcale mu się nie poprawiło. Wręcz przeciwnie. Czuł się opuszczony i samotny.

Wstał z łóżka, choć nie miał pojęcia, czemu to robi. Naciągnął na siebie ubranie, wziął juki i strzelbę, a następnie odebrał ze stajni konia.

Brakowało jeszcze dobrej godziny do świtu, kiedy cisawy wałach zatrzymał się z głośnym parsknięciem przed bramą sierocińca. Daniel odruchowo sięgnął po

winchestera schowanego w pochwie przy siodle i zsunął się na ziemię. Ujawszy Wodza za cugle, wprowadził go do stajni, gdzie sypnął mu miarkę owsa z zapasów Donovana Reeda, po czym przygotował koniowi nocleg. Następnie zabrał juki i ruszył w stronę domu z zamiarem przespania się na jednej z kanap w salonie.

Mroźne powietrze szczypało go w policzki, kiedy zbliżał się do biało otynkowanego budynku, stojącego pośrodku dziedzińca. Mimo ciemności zdołał odczytać dyskretny napis nad bramą: Sierociniec Benton House.

Podszedł bliżej. Mimo iż miał rękawice, poczuł lodowate zimno, gdy dotknął żelaznej bramy. Zawiasy zaskrzypiały cichutko, kiedy ją otwierał.

Na próżno usiłował powstrzymać lawinę uczuć. Choć starał się jak mógł, nie potrafił zignorować przypływu znanej mu niegdyś radości... i żalu. Przez kilka lat był mieszkańcem tego domu, częścią tego świata. Starszym bratem innych dzieci, samozwańczym obrońcą Susan Hurst.

Wszedł na schody wiodące do drzwi frontowych i odwrócił się z ręką wspartą na barierce. Ogarnął wzrokiem czarno-błękitny deseń cieni na ośnieżonym dziedzińcu, bryły stajni i pomniejszych zabudowań gospodarskich.

Bezwiednie rozluźnił się, wspominając kilka cudownych lat spędzonych w Benton House. Był tutaj po prostu chłopcem, beztroskim chłopcem. Jednak już w piętnastym roku życia zorientował się, że to nie miejsce dla niego. Nie pasował do otoczenia. Zawsze ogarniało go zdenerwowanie, gdy okazywano mu serce. Z wiekiem jeszcze bardziej zaczęła go niepokoić budząca się w nim potrzeba odpowiedzenia miłością na miłość. Zmusił się więc do obojętności, wręcz zaciął się w swym postanowieniu. Chciał za

wszelką cenę, jak najprędzej, stać się dorosłym mężczyzną. Ale jak mógł stać się nim, żyjąc z dobroczynności?... Spakował więc manatki, porzucił Benton House i udał się do Denver. Nigdy jednak nie zapomniał ciepła i miłości, których zaznał w sierocińcu.

Nie zdołał też zapomnieć o małej, przerażonej dziewczynce, która ze strachu przed nauczycielem zamiast chodzić do szkoły, kryła się po krzakach. Ani tego, jak wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, pełnymi łez oczyma, gdy opuszczał sierociniec. Toteż po kilku miesiącach powrócił do Benton House i niebawem wywiózł stamtąd Susan do Akademii Świętego Franciszka. Choć Belle dopiero co rozpoczęła nowicjat, Daniel wiedział, że zaopiekuje się Susan tak samo, jak w Pensylwanii opiekowała się Annie.

Annie... Od iluż to lat nie pozwolił sobie na myślenie o niej?... Wspominanie jej?...

We wszystkich mięśniach czuł krańcowe wyczerpanie. Oczy same mu się zamykały. Nagle pożałował impulsu, który skłonił go do opuszczenia hotelowego pokoju. Tak widać opadł z sił, że nie był w stanie myśleć logicznie. Gdybyż tylko mógł zaszyć się w jakimś kąciaku i odpocząć godzinę lub dwie...

Zaczął grzebać pod warstwami ubrania i zdołał wydobyć łańcuszek od zegarka. Wisiały na nim dwa klucze. Daniel wybrał jeden z nich i wkrótce znalazł się wewnątrz sierocińca.

Natychmiast otoczyły go doskonale znane zapachy i widoki: woń świeżego chleba i olejku cytrynowego, wypolerowane do połysku drewno, lśniące czystością ściany... Przesunął dłonią po poręczy schodów: uczył innych chłopców, jak po niej zjeżdżać... Skradając się ciemnymi korytarzami, dotarł do salo-

nu, potem do kuchni. Znalazł połowę placka z jabłkami. Na sam widok napłynęła mu ślinka do ust, ale nie był w stanie jeść.

Wracał już do salonu, gdy dostrzegł uchylone drzwi tuż za sypialnią chłopców.

Pokój gościnny nie był zajęty.

W głowie Daniela natychmiast zrodziła się myśl, której nie zdołał odpędzić. Nocleg w świeżo pościelonym łóżku, pod pikowaną kołdrą i wełnianym pledem był pokusą nad pokusami. Daniel nie potrafił się jej oprzeć.

Po kilku minutach leżał już wygodnie, otulony kołdrą. Juki rzucił na fotel na biegunach, strzelbę oparł o komodę, peacemakera wetknął pod poduszkę.

A pudło ciastek ukrył głęboko pod łóżkiem.

6

Ashton, Terytorium Wyoming
11 stycznia 1885 r.

Niepostrzeżenie rozwidniało się; kilka zapóźnionych gwiazd błyszczało jeszcze na niebie jak drobinki miki uwięzione w stali. Bary i spelunki, które wyrosły wokół stacji przetokowej, ignorowały bezczelnie fakt, że noc zaraz się skończy, prezentowały się jednak coraz obrzydliwiej i tandetniej. Światło toczyło bój z mrokiem. Cnota z występkiem.

Ukryty w cieniu mężczyzna uśmiechnął się.

Wkrótce będzie już po Crockerze.

Ta myśl sprawiała mu nieopisaną rozkosz. Delek-

tował się nią jak słodyczą namiętnego pocałunku, jak najdoskonalszym winem.

Wkrótce. Już wkrótce.

Bezszelestnie wszedł kuchennymi schodami na pięterko „Deltę”. Doszedł do wniosku, że słabość Daniela Crockera do Ashton pozbawiła tego pinkertona zwykłej czujności. Crocker wrócił do narożnego pokoju hotelowego wiedziony ślepyim instynktem rannego zwierzęcia; nieświadom tego, co go tu czeka: zaśnie, będzie coraz mocniej krwawić i w końcu *umrze!* Głosy rozbrzmiewające w głowie nieznanego powtarzały to ostatnie słowo bez końca.

Stąpając ostrożnie i cicho, mężczyzna sunął korytarzem do pokoju Crockera. Wąskie przejście zalegały długie, fioletowe cienie; postać nieznanego wtapiała się w nie - wydawał się raczej mglistym widmem niż żywym człowiekiem. Z każdym krokiem jego niecierpliwość rosła. Jeszcze tylko kilka dni i Crocker padnie ofiarą trucizny, która krąży już w jego organizmie!... Ale jak się ten czas wlecze!

Nie mógł się doczekać śmierci Crockera.

Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami na końcu korytarza. Wytężył słuch: a nuż dolecą stamtąd jakieś odgłosy?... Stracił już dość dużo czasu, planując zglębę Crockera. Kilka długich, wlokących się bez końca miesięcy. Zastawiał na niego pułapki z cierpliwością myśliwego: jedną po drugiej, dzień po dniu. Nie szło mu łatwo. Crocker zawsze był czujny. Zbyt czujny! Jak dziki zwierz potrafił zwietrzyć grożące niebezpieczeństwo.

Tym razem jednak nieprzyjaciel wysnuł się tak misterną, że pinkerton nie podejrzewał niczego.

Absolutnie niczego!

W pokoju panowała cisza. Żadnych szelestów, postę-

kiwań czy jęków. Nad słuchujący niespokojnie zmarszczył czoło. Albo Crocker głęboko zasnął... albo arsenik zadziałał nadspodziewanie szybko i tak rozrzedził krew, że łała się z rany bez przerwy, do ostatniej kropli.

Serce zaczęło mu walić. Wnętrze dłoni pokryło się lepkiem potem. Rozejrzał się po korytarzu i upewniwszy się, że nikt go nie podpatruje, zastukał do drzwi.

Po latach służby w Agencji Pinkertona Crocker miał wyczulony słuch i zwinność górskiego kozła. Ciche stukanie powinno wywołać jakąś reakcję, jakiś odzew.

Głucha cisza.

Serce nieznanego zaczęło łomotać jeszcze bardziej; krew rozszalała się w jego ciele; dygotał z podniecenia. W mózgu kłębiły się najróżniejsze podejrzenia. Wyobrażenia podsuwała mu rozkoszne obrazy: Crocker szalejący z bólu... Nieprzytomny... Zapomniany przez wszystkich zimny trup.

Wyzbywszy się ze szczerem ostrożności, sięgnął do kieszeni i wyjął mosiężny klucz. Zdobył go kosztem niezbyt podniecającej randki z jedną z pokojówek. Zimny metal niemal go sparzył. Wsunął klucz do zamka i przekręcił. Potem ostrożnie uchylił drzwi.

Gdy po raz pierwszy zerknął do wnętrza, jego nadzieje wzrosły: skotłowane łóżko, pokrwawiona pościel. Poczłł niekłamane zadowolenie.

Otworzywszy drzwi szerzej, zobaczył stojący na komodzie talerz z rozgrzebanym jedzeniem, mokry ręcznik, butelkę whisky. Jednak następne spostrzeżenia sprawiły, że radość błyskawicznie przerodziła się w dziką furję.

Trzasnął drzwiami o ścianę i wpadł do pokoju. Był pusty. Pusty!

Miotał się w ciasnym pomieszczeniu, przeszukując gorączkowo wszystkie kąty, nie wierząc własnym

oczom. Nim jeszcze *skończył* oględziny, pojął, że Daniel Crocker ulotnił się.

Wściekłość aż go rozsadzała. Chwycił butelkę, uniósł nad głowę i chciał nią rąbnąć w przeciwległą ścianę, by choć w ten sposób wyładować bezsilny gniew. W ostatniej chwili pohamował się. Nikt nie może go tu zastać! Nie teraz. Jeszcze nie teraz! Dopiero po ostatecznej klęsce Crockera.

Opuścił rękę; powoli się uspokajał. Crocker umrze i tak. Sądząc po ilości krwi na pościeli, był już jedną nogą w grobie. Trzeba go tylko odszukać i dokończyć dzieła.

Mężczyzna wykręcił się na pięcie, opuścił pokój i zniknął równie niepostrzeżenie, jak się pojawił. Znajdą się tacy, co mu pomogą wytropić zwierzynę. A tymczasem...

Wykrzywił wargi w okrutnym uśmiechu. Głosy w jego mózgu przekrzykiwały się nawzajem, powtarzając w kółko to samo, niczym ograny refren:

Krwawisz, Crocker, co? Krwaw, krwaw i zdychaj!

7

Przyzwyczajona do wczesnego rozpoczynania pracowitych dni, Susan zbudziła się o świcie, mimo że wczoraj przyjechała bardzo późno. Podniecenie sprawiło, że spała niespokojnie i z przerwami. Budziła się raz po raz i zerknęła na czarny prostokąt okna jak dziecko nie mogące się doczekać pierwszej gwiazdki - zwiastuna Bożego Narodzenia.

Ponieważ Susan miała wkrótce złożyć śluby wieczyste, pozwolono jej opuścić na pewien czas Akademię Świętego Franciszka w celu uporządkowania wszelkich świeckich spraw i rozdania reszty swych doczesnych dóbr. W tym czasie zamierzała pomóc Essie w przygotowaniach do zjazdu byłych wychowanków Benton House. Spotkanie to miało się odbyć w pierwszym tygodniu lutego.

Nie chcąc tracić ani minuty ze swego pobytu w sierocińcu, Susan pospiesznie zasznurowała gorset, wskoczyła w dwie halki, narzuciła czarną wełnianą suknię, a na koniec owinęła głowę grubym szalem.

Przygotowano dla niej ten sam pokój, który niegdyś zajmowała. Essie starała się jak mogła umilić swym podopiecznym pobyt w Benton House. Na komódkach stały bukiety suszonych kwiatów, a leżąca na łóżku pościel ozdobiona była haftem.

Zamknawszy oczy, Susan gotowa była uwierzyć, że czas się cofnął, a ona sama jest znowu dzieckiem. Wystarczyło jednak zajrzeć do szuflad, by stwierdzić z całą pewnością, że sypialnia należy obecnie do dwóch całkiem obcych dziewcząt. Nie można - ot, tak! - wrócić do przeszłości.

Susan wymknęła się z pokoju, cichutko zamknęła za sobą drzwi i ruszyła na paluszkach dobrze znanym korytarzem. Schodząc tylnymi schodami, zauważyła że automatycznie omija stopnie, które mogłyby ją zdradzić głośnym skrzypieniem. Weszła do kuchni, gdzie Donovan rozniecał właśnie ogień w piecu, przygotowując go do całodziennej służby - od posiłku do posiłku.

- Ranny z ciebie ptaszek! Nawet kurczęta jeszcze śpią.

Susan wzruszyła ramionami i pochyliwszy się, cmoknęła Donovana na dzień dobry.

- Siła przyzwyczajenia! - Nie potrzebowała się zmuszać do pocałowania go w policzek, wypadło to całkiem naturalnie. Cóż za postęp! Jako dziecko wrzeszczała wniebogłosy, ilekroć Donovan wszedł do pokoju.

- Pani Essie jeszcze nie wstała?

- Karmi maluchy w pokoju dziecinnym.

- Czy miałyby mi za złe, gdybym zaczęła szykować śniadanie?

- Myślę, że byłaby zachwycona.

Nie minęło pół godziny, a zapach kawy, boczku i owsianki zwabił większość dzieci na dół. Przełykały śniadanie w pośpiechu i biegły na dwór wypełnić przydzielone im gospodarskie obowiązki przed rozpoczęciem lekcji.

- Lilly, czy mogłabyś zanieść tę tackę do gościnnego pokoju dla siostry Mary Margaret?

Nastolatka nieśmiało skinęła głową, chwyciła miedzianą tackę i skierowała się na tyły domu, niosąc herbatę, grzanki i masło z taką ostrożnością, jakby miała do czynienia z bezcenną porcelaną.

Susan była nieco zdziwiona tym, że siostra Mary Margaret jeszcze nie wstała. Zakonnica odznaczała się zawsze żelazną wytrzymałością. Nikt jej nigdy nie dorównał w pracowitości. No cóż, pewnie i zakonnica od czasu do czasu bywa zmęczona...

- Dzień dobry, Susan!

Susan aż podskoczyła, gdy tuż za nią rozległ się głos siostry Mary Margaret. Zakonnica była nieposzlakowanie schludna i wyraźnie ożywiona. Sądząc z tego, że tuliła już w ramionach jakiegoś brzdąca, czuła się w sierocińcu równie swobodnie, jak Susan.

- Myślałam, że siostra jeszcze śpi.

- Ależ skąd! Jakże mogłabym zmarnować najlepszą część dnia? - Połaskotała dziecko pod brodą, szepcząc mu pieszczotliwe głupstewka. Potem zwróciła się do Susan. - Zaznajomiłam się już trochę z dzieciarnią. To maleństwo obudziło mnie skoro świt, domagając się bajki.

- Sądziłam, że w pokoju gościnnym nikt nie będzie siostrze przeszkadzał.

- W pokoju gościnnym? Skądże! Przespałam się w ogólnej sypialni dla młodszych dziewcząt. Nalegałam, by pani Reed nie robiła sobie ze mną ceremonii, tym bardziej, że wkrótce przeniosę się do klasztoru. A poza tym mam wrażenie, że pokój gościnny jest zajęty.

Susan zmarszczyła czoło.

- Zajęty?...

- Przechodziłam obok i dałabym głowę, że dolatywało stamtąd chrapanie - zwierzyła się zakonnica.

- Essie z pewnością wspomniała o tym, że pokój jest wolny... - Słowa zamarły Susan na ustach. W mózgu zakiełkowało niejasne podejrzenie... Nie wiedziała, co o tym myśleć, ale coś tu było nie w porządku! Odwróciła się i spojrzała na korytarz prowadzący na tyły domu. Pokój gościnny znajdował się właśnie tam, za kuchnią. Trzecie drzwi.

Dziwne!... Najpierw osiem tuzinów ciastek ginie bez śladu...

Przeraźliwy wrzask zmaćił poranną ciszę; po nim dał się słyszeć wyraźny brzęk tłukącej się porcelany.

Daniel!

Nie wiedziała, skąd ta pewność, że to właśnie on jest przyczyną katastrofy, ale nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Co u licha?

Susan nie zwróciła uwagi na pełen zdumienia wykrzyknik siostry Mary Margaret. Uniosła spódnicę nad kostki i pognała korytarzem.

Ma się rozumieć, drzwi pokoju gościnnego były uchylone. Susan zatrzymała się w pędzie. Wokół przerażonej małej Lilly rozciągało się istne pobojowisko. U jej nóg leżała uszkodzona miedziana tacka, walały się skorupy imbryczka, filiżanki i spodka i coraz szerzej rozlewało się morze herbaty. Mina przerażonej dziewczynki była wprost komiczna: z rozdziewionymi ustami przypominała rybę.

W przeciwległym kącie pokoju leżał na łóżku Daniel, wsparty o wezgłowie, okryty prześcieradłem sięgającym mu ledwie do piersi. Uzbrojony był w przerażający rewolwer i sądząc z układu ręki trzymającej broń, gotów był do strzału.

- Lilly?... - Susan ostrożnie wsunęła się do środka i odezwała takim tonem, jakby uspokajała przerażonego dwu- lub trzylatka. - Lilly, może lepiej wrócisz do kuchni? Ja tu wszystko posprzątam, a potem przyłączymy się do was z panem Crockerem... to znaczy z Danielem.

Jeśli nawet dziewczynce wydało się dziwne, że Susan zna tego nieznajomego z imienia i z nazwiska i że ni stąd, ni zowąd przejęła kontrolę nad sytuacją, to nie dała tego po sobie poznać. Skinęła tylko głową i wybiegła z pokoju.

Susan poczekała, aż tupot dziecięcych nóg ucichnie we wnętrzu domu. Potem zamknęła drzwi i odwróciła się raptownie do Daniela.

- Co ty wyrabiasz?! Czyś zwariował do reszty?! - Ale cały gniew nagle z niej wyparował, gdy stanęła twarzą w twarz z przyjacielem z dzieciństwa. Da-

niel naprawdę tu był! Przyjechał za nią do Ashton!...

Po raz pierwszy od lat przyjrzała mu się uważnie w świetle dziennym. Odłożył już rewolwer i siedział z odrzuconą do tyłu, opartą o ścianę głową. Oczy miał zamknięte. Światło słoneczne wpadało przez drobne szybki okienne i ślizgało się po łuku szyi i spadku ramion Daniela. Cienka warstewka potu pokrywała jego skórę, uwydatniając ostry zarys obojczyków i wyraźną linię rozdzielającą bliźniacze płaszczyzny piersi. Dwa ciemne męskie sutki połyskiwały nad brzuchem, przypominającym twardą, drobno pofałdowaną tarę do prania. Pępek krył się w kosmykach płowozłotych włosów, które schodziły klinem w dół, coraz niżej i niżej...

Susan z upokarzającą jasnością uświadomiła sobie, że cała krew uciekła jej z twarzy. Odwróciła oczy od luźno udrapowanego wokół bioder Daniela płótna i od zgiętej, muskularnej nogi, która wysunęła się spod przykrycia.

Wiedziała jednak, że ignorując Daniela, nie zmusi go do tego, by się stąd wyniósł. Wypatrzyła jego ju ki i ubranie, rzucone niedbale na podłogę tuż obok fotela na biegunach, w którym Essie tak lubiła się kołysać. Chwyliła spodnie, koszulę w drobną kratkę i rzuciła je w stronę łóżka, nie celując dokładnie.

- Bądź łaskaw ubrać się, nim wtargnie tu reszta sierot! A potem może mi wyjaśnisz, po coś się tu zjawił?

Zapadło dłuższe milczenie. W końcu Daniel powiedział:

- Nie mogę.

Susan wzięła się pod boki i zmierzyła go wzrokiem, zapominając o swym postanowieniu. Kiedy spojrzenie jej padło na beczelnie nagie sutki, odwróciła oczy.

- *Musisz* mi to wyjaśnić! Co cię opętało...
- Nie mogę się ubrać.

Te słowa uciszyły ją kompletnie.

- Nie utrzymam się na nogach... Gdybym mógł, to... - Urwał w połowie zdania, próbował się opanować, wreszcie wybełkotał: - Zaraz zwymiotuję.

Jego zdławiony głos był dla Susan najlepszym dowodem, że Daniel nie kłamie. Po kilku latach pracy w szkole znała się dostatecznie dobrze na wszelkich kaszlach, kichaniach i wymiotach, by odróżnić prawdziwą chorobę od symulacji. Zdażyła sięgnąć po czysty fajansowy nocnik i podstawić go Danielowi pod brodę w tym samym momencie, gdy pochylił się nad krawędzią łóżka, wstrząsany torsjami.

Objęła jego głowę od tyłu, zanurzając palce w złotych kosmykach rosnących na karku. Zabawne: do tej pory nie miała pojęcia, że jego włosy są takie jedwabiste, takie... kuszące.

Danielem znów wstrząsnęły torsje; wszystkie mięśnie pleców i torsu prężyły się i falowały. Susan wiedziała, że powinna mu współczuć, ale mogła tylko wpatrywać się w niego jak zahipnotyzowana. Muskulatura Daniela opinała tak ciasno jego smukły szkielet, że widać było wyraźnie każde drgnienie kości i złączonego z nią mięśnia.

Daniel opadł na łóżko. Odstawiwszy nocnik na podłogę, Susan schwyciła przyjaciela za ramiona i pomogła mu usiąść prosto. W dotyku jego skóra była zupełnie niezwykła: gładka, sprężysta i wytrzymała, jakby ją wygarbowano. Nawet gdy Daniel odzyskał równowagę, Susan nie mogła się od niego oderwać. W końcu dotarło do niej, że od jego ciała bucha żar: można się było niemal oparzyć. Zatraskana przyłożyła mu rękę do czoła.

- Ależ ty jesteś rozpalony!

Daniel potrząsnął głową.

- To przejdzie. Już najwyższy czas. Za długo się to wlecze. Muszę czym prędzej wydobrzeć.

Zbyt późno Susan przypomniała sobie o plamie krwi, którą odkryła w swoim pokoju.

- Od jak dawna źle się czujesz?

Wzruszył ramionami, ale Susan nie dostrzegła w tym geście energii i witalności, które zawsze kojarzyły się jej z osobą Daniela.

- Siedem dni... Może osiem...

- Osiem dni?! - wybuchnęła. - Masz wysoką gorączkę przeszło tydzień i nie próbowałeś nic z tym zrobić?!

- Byłem u doktora. Mam w jukach lekarstwo. Ale jakoś... nie pomaga.

- Pewnie dlatego, że uganiaś się po całym świecie, bawisz się we włamywacza i doprowadzasz mnie do szału!

Ta uwaga wywołała na jego ustach cień uśmiechu.

Susan sięgnęła po dzbanek i miskę, stojące na komodzie w pobliżu łóżka; zeskrobała kryształki lodu, które uformowały się na wrębie i napełniła miskę wodą. Umoczyła w niej kawałek płótna i położyła go na czole Daniela.

- Niech to wszyscy diabli!... Ależ to zimne!... Co ty wyprawiasz?! Chcesz mnie zabić, czy co?!

- Nie. Choć właściwie powinnam po tym wszystkim, co przez ciebie wycierpiałam! - Otarła mu policzki i usta, zmoczyła jeszcze raz szmatkę i przeciągnęła nią po szyi Daniela. Choć wiedziała, że podobny zabieg przydałby się całemu rozpalonemu ciału, nie mogła się przemóc i zapuścić się niżej.

Schwyciła Daniela za nadgarstek i wetknęła mu

płótno do ręki, by mógł kontynuować to, co zaczęła. Potem wycofała się na stosunkowo bezpieczną pozycję koło okna.

- Więc co tu robisz, Danielu?

Choć najwyraźniej czuł się fatalnie, kąciki jego ust uniosły się w niewesołym uśmiechu.

- Przyjechałem na zjazd dawnych wychowanków.

- Odbędzie się dopiero za kilka tygodni!... Masz przecież pracę... W Agencji Pinkertona, jeśli się nie mylę?

Wzruszył ramionami.

- Jestem na urlopie.

- Nie możesz tu zostać!

Zerknął na nią spod powiek.

- A to czemu?

- Bo to... nieprzyzwoite.

- Co w tym nieprzyzwoitego? Zatrzymam się w domu, gdzie się wychowałem. W towarzystwie ponad dwóch tuzinów ludzi!

Skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała nań z groźną miną.

- Nie przybyłeś tu w uczciwych zamiarach! Miałeś w tym ukryty cel.

- Chciałem odwiedzić starych przyjaciół.

- Z listów od Essie wiem, że nie zaglądałeś tu od lat. Obecni wychowankowie sierocińca to dla ciebie obcy ludzie.

- Jeden powód więcej, by trochę tu pomieszkać.

- Mógłbyś przynajmniej nocować w hotelu.

- Może mnie na to nie stać?

- Nie próbuj mi zamydlić oczu, panie Crocker! Pół tuzina moich starych przyjaciół rozpisuje się na temat twojej kariery! Jestem doskonale poinformowana o twoich specjalnych zadaniach dla Agencji Pinkerto-

na i o związanych z tym premiach! Do tej pory tyle się dorobiłeś, żeś chyba bogatszy od Krezusa!

- Wydałem co do grosza.

- *Wszystko* przepuściłeś?! Na co?

Daniel milczał uparcie. Skrzywił się i zmiął w garści cienkie prześcieradło. Susan uświadomiła sobie, że wdała się w sprzeczkę z chorym człowiekiem. Z chorym i *rannym*, sądząc z bandaża, który mogła dostrzec, ilekroć zsuwało się przykrycie.

Zmusiła się do tego, by jeszcze raz dokładnie obejrzeć Daniela, od stóp do głów. Większa część jego postaci była na widoku, nie zauważyła jednak wyraźnych objawów jakiejś ciężkiej choroby.

Czując na sobie badawczy wzrok Susan, Daniel podciągnął wyżej okrywające go prześcieradło. Gdy pojawiła się na nim jaskrawoczerwona, stale powiększająca się plama, Susan aż jęknęła.

- Coś ty ze sobą zrobił?... - głos jej się trząśł z przerażenia.

Daniel westchnął.

- Lepiej już idź, Susan. Raz-dwa wrócę do formy. Muszę tylko trochę wypocząć.

- Wypoczniesz w grobie, jeśli to krwawienie potrwa dłużej!

Nie raczył jej odpowiedzieć.

Susan nie wiedziała, co począć. Danielowi trzeba było udzielić pomocy, i to jak najprędzej... Jeśli jednak Essie zobaczy go w tym stanie, nie będzie końca pytaniom! Kłopotliwym pytaniom. Ale Susan nie mogła osobiście zaopiekować się chorym. Był zbyt... zbyt... obnażony. Na samą myśl o jego nagości kolana się pod nią ugięły.

Jednak to był Daniel, *jej* Daniel! Ileż to razy opa-

trywał jej guzy czy zadrapania?... Koił wszystkie jej bóle, nie tylko *fizyczne*, ale i duchowe.

Jego bladość przesądziła sprawę. Susan pojęła, że jeśli natychmiast nie udzieli mu pomocy, Daniel straci przytomność i znacznie trudniej będzie zbić gorączkę.

Odsunawszy od siebie obawy, Susan otworzyła drzwi.

- Nie wpuszczaj nikogo, póki nie wrócę! - I nie czekając na odpowiedź, wymknęła się na korytarz. W połowie drogi spotkała Mary Margaret.

- Siostro!

Na krzyk Susan dziecko zaczęło się wrywać z objęć zakonnicy, ale ta zachowała zimną krew.

- Pomyślałam, że sprawdzę, co się tam stało.

- Nic wielkiego. Mamy gościa. Lilly spodziewała się zastać w tym pokoju siostrę, więc obecność pana Crockera... zaskoczyła ją. - Łagodnie, ale stanowczo odciągnęła zakonnice w stronę kuchni. - Obawiam się, że pan Crocker nie czuje się dobrze. W pokoju gościnnym ciągnie zimno od okna, więc dostał dreszczy. Chciałam mu przygotować coś gorącego do picia.

- Pomóc ci?

- Nie, nie! Zaparzenie herbaty zajmie mi tylko kilka minut!

Mary Margaret spojrzała na nią jakoś dziwnie. Nie po raz pierwszy uderzyła Susan niezwykłą, ponadczasową pięknosc zakonnicy.

- Bardzo dobrze. Powinam chyba odnieść tę młodą damę do dzieciennego pokoju. Ponieważ w klasztorze spodziewają się mnie dopiero jutro, pani Reed była tak dobra i zaproponowała, byśmy oboje z Maxem spędzili tu jeszcze jedną noc. - Śpiewnym głosem zwróciła się do dziecka: - Co powiesz na kapciu-kapciu?...

Skoro tylko siostra Mary Margaret oddaliła się, Su-

san zajrzała do składziku i sięgnęła po stojący na jednej z półek sfatygowany wiklinowy koszyk. Esther podczas wojny pielęgnowała rannych; jej zapas leków był znacznie bogatszy niż u większości kobiet. Susan z uczuciem ulgi znalazła w składziku mnóstwo maści, nalewek i innych medykamentów, które Essie gromadziła od lat.

Wróciwszy do pokoju Daniela, zamknęła za sobą drzwi. Chory nie zmienił pozycji. Leżał na łożku po-tężny, półnagi. Susan rozpostarła na komodzie ręcznik i umieściła na nim baterię flaszeczek i rolek bandaży.

- Dla kogo to wszystko? - spytał podejrzliwie Daniel.
- Dla ciebie.

8

Twarz Daniela wykrzywił grymas niezadowolenia. Susan przywlokła ze sobą w koszu tyle tego, że mogłyby zabrać się do operacji! Wcale nie uśmiechała mu się perspektywa leżenia na podłodze, podczas gdy ona będzie go dziabała rzeźnickim nożem!...

- Co, do diabła, masz zamiar robić?!
- Zamierzam cię leczyć.
- Sam już o to zadbałem!
- Jak widać, bez powodzenia.

Daniel opadł na poduszki.

- Nic mi nie jest! Wystarczy kilka godzin spokojnego snu.

- Śmiem wątpić.
- Odkąd to rządysz się jak szara gęś?!

Zamiast się obrazić, Susan uśmiechnęła się promiennie. Ta jej nowa pewność siebie była o wiele bardziej atrakcyjna niż poprzednia chorobliwa nieśmiałość i unikanie wszelkich zadrażeń. Ale to jeszcze nie powód, żeby tak się puszyła! - pomyślał Daniel.

- Nauczyłam się tego od zakonnicy. W razie potrzeby nieźle sobie radzą z uparciuchami. - Wyjąwszy z koszyka wszystkie rolki bandaża, przysiadła na brzegu łóżka.

Nawet przez spódnice czuła żar bijący od rozgędkowanego ciała Daniela, ale zdecydowanie odpuściła od siebie wszelkie myśli na ten temat. Miała ważne zadanie do wykonania. Nie pozwoli, by przeszkodziły jej w tym osobiste fobie!

- Obejrzyjmy sobie tę twoją ranę! - oznajmiła, wskazując plamę krwi, która znaczyła bandaż na zranionym boku.

Daniel podciągnął wyżej prześcieradło.

- Nie!

- Nie bądź dziecinny.

- Jestem tylko rozsądny. - Gdy uniosła pytająco brew, dodał: - Chyba to nie najlepszy pomysł, żebyś ty się do tego brała.

- A to czemu?! - Susan dobrze jednak wiedziała, o co mu chodzi. Czuła, jak rośnie między nimi napięcie. Niepokojące wspomnienia ich intymnego uścisku oplatały ją niczym pajęczyna, drażniąc wrażliwe nerwy. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i dotknąć Daniela, by zaspokoić grzeszną ciekawość, którą rozbudził w niej tamten pocałunek. Ustronny pokój był idealnym miejscem do takich eksperymentów. W pobliżu ani żywej duszy!... Mogłaby więc przez kilka kradzionych chwil folgować nie-

przystojnym zachciankom i nikt by się o tym nie dowiedział.

Daniel jęknął.

- Idź już, Susan. Zostaw mnie! - nalegał tak cicho, że ledwie słyszała jego słowa. W niskim, chrapliwym głosie pobrzmiwało wyraźne ostrzeżenie. Błyszczące, niebieskie oczy zamgliły się i pociemniały.

- Nie robię nic złego!

- Kogo chcesz przekonać - mnie czy siebie? - Widząc jej udręczone spojrzenie, Daniel zmitygował się i powiódł wskazującym palcem po jej nadgarstku. - Ależ nie! Nie robisz nic złego. Nie porazi cię grom, jeśli mnie dotkniesz.

Delikatna pieśczoła Daniela wstrząsnęła Susan. Poczowała, że coś ją do niego ciągnie, mimo iż jego męskość przerażała ją. Wyteżyła wszystkie siły i nie zareagowała żadnym gestem ani słowem na czuły dotyk. Jednak przez jej ciało przebiegło gwałtowne drżenie. Zaczęła dygotać. Już otwierała usta, by naprędce usprawiedliwić się brakiem ognia na kominku i lodowatym chłodem w pokoju. Pojęła jednak, że nie pomoże tu żadne kłamstwo. Daniel wiedział, co się z nią dzieje. *Wiedział!*

Musiał się domyślić, co wywołało u niej taką reakcję, bo dodał:

- Tamtej nocy dostrzegłaś we mnie coś nowego.

Nie mów o tym, Danielu! Pomiń to milczeniem. Udawajmy, że tego nigdy nie było... może wtedy się rozwieje?...

On jednak mówił dalej.

- Złękłaś się mnie.

Me. Z gardła Susan nie wydobył się żaden dźwięk, ale usta poruszyły się w niemym przeczeniu.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

Zacisnęła kurczowo leżące na kolanach ręce.

- Wiem. - Wstała i podszedłszy do okna, popatrzyła na styczniowy krajobraz. Śnieg piętrzył się w ściętych lodem zaspach, przesłaniając miękkie ciało ziemi. Jakże zimny... posępny... jałowy. Ona była taka sama - od wielu, wielu lat.

- Dawniej też cię dotykałem, całowałem...

- Nie tak!

- Nie zrobiłem nic wbrew twojej woli.

- Wiem, ale...

- Nie powinnaś się mnie bać! Przecież jestem tym samym Danielem, który zawsze się tobą opiekował.

- Nieprawda!

Zapadła bolesna cisza. Susan wiedziała, że nie obejdzie się bez wyjaśnień. Odezwała się więc, wydzierając sobie z gardła każde słowo:

- Nie jesteś już chłopcem.

- Wszyscy dorastamy, Susan.

Cóż mogła na to odpowiedzieć?... Że nie chciała, by dorósł?... Że sama pragnęła wrócić do bezpiecznej przystani ich wspólnego dzieciństwa?...

Chcąc skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory, wróciła do zgromadzonych na komodzie leków.

- A teraz popatrzmy, co ci dolega!

Ale Daniel nie dał się tak łatwo odciągnąć od tematu.

- Ty również dorosłaś, Susan.

Jak to możliwe, że tym prostym, logicznym stwierdzeniem zadał jej tyle bólu?...

- Czy wiesz, co mi staje przed oczyma, gdy na ciebie patrzę?

Potrząsnęła głową, nie mogąc wymówić słowa.

- Widzę małą dziewczynkę, która chodziła za mną jak cień. Miała warkoczyki rude jak marchewka, oczy zielone jak mech i mały piegowaty nosek, całkiem jak kartofelek! Ale teraz... - Ostre rysy złagodniały. - Czy ty masz pojęcie, jaka jesteś piękna?... - Po chwili dodał bardzo powoli: - Właśnie dlatego pojechałem za tobą do Ashton. Nie mogłem pozwolić, żeby wszystko między nami tak się skończyło. Musiałem pogonić za tobą i naprawić to, co się popsuło.

Jego wyznanie całkiem ją zaskoczyło. Zbiło z tropu. Ale najbardziej zdumiał ją komplement Daniela.

- Wcale nie jestem piękna! - upierała się. Pragnęła jednak, żeby to była prawda. I miała nadzieję, że mówił szczerze, że rzeczywiście przyjechał tu, bo trochę mu na niej zależało... Wkrótce miała się przekonać, że jej kobiecość wywarła na nim równie potężne wrażenie, jak na niej jego męska siła.

- Ależ jesteś, jesteś! - Daniel pochylił się ku niej, by podkreślić jeszcze swe słowa. - Może właśnie dlatego Bóg podszeptnął ci myśl o klasztorze?... Pewnie uważa, że żaden zwykły mężczyzna nie jest cię wart!

- Co za bzdura!

On jednak mówił dalej, z jeszcze większą żarliwością:

- Ale ty jesteś piękna i to nie tylko na zewnątrz. Jesteś równie wspaniała i dobra w środku... a tylko to się liczy.

- Mówisz o mnie jak o ciastku z kremem!

Daniel opadł na wezgłowie.

- Poddaję się! Nigdy mi nie uwierzysz. Rób, co chcesz.

- Doskonale! - Chcąc jak najprędzej rozproszyć posępny nastrój, Susan chwyciła za prześcieradło. - Pora na oględziny.

- Nie! Zawołaj Essie.

- Jeśli to zrobię, będziesz musiał odpowiadać na bardzo kłopotliwe pytania! - Ponieważ Daniel nie ustępował, wyjaśniła dokładniej: - Na przykład: „W jakich okolicznościach zostałeś ranny?” „Jak bez niczyjej wiedzy dostałeś się do domu?” A przede wszystkim: „Dlaczego wcale nie dbasz o siebie?!” Potem Essie zacznie marudzić, utyskiwać, zadręczać cię uwagami na temat twojej pracy... Wiesz, jak bardzo ma ci za złe, że narażasz się na takie ryzyko!... I w dodatku będą ją dręczyły wyrzuty sumienia, że nie czuwa przy tobie od rana do nocy, bo musi przygotować spotkanie byłych wychowanków!

- Więc zostaw tutaj to wszystko: sam opatrzę sobie ranę.

- Do diabła, Danielu! - krzyknęła zirytowana jego uporem. - Myślałby kto, że boisz się, iż mogłabym co zobaczyć?! - Ledwie to wyrzekła, omal nie zapadła się ze wstydu pod ziemię. Miała przecież na myśli zły stan rany, a nie... wszystko jedno, co!... Sądząc jednak z błysku w oczach Daniela, skojarzyło mu się to z czymś całkiem innym.

- Ależ, Susan! Nigdy nie przypuszczałem, że będziesz mnie podejrzewać o coś takiego! - W jego żartobliwym tonie słychać było jednak pewną rezerwę: wiedział, że stąpa po kruchym lodzie. Susan spostrzegła to i poczuła się tak podniesiona na duchu, że również pozwoliła sobie na żarcik.

- Gdyby tak było, obawiałbyś się całkiem bez potrzeby - szarżowała. - Już to wszystko oglądałam!

Daniel uniósł brwi.

Susan poczuła, że twarz ją piecze, lecz wyjaśniła:

- Razem z innymi dziewczynkami często bawiłam

się nad rzeką. Nieraz widywałyśmy ciebie i innych chłopców podczas kąpieli.

- Co ty mówisz?! Nie wolno nam było pływać bez spodenek!

Jej policzki płonęły żywym ogniem. Cud, że włosy się nie zajęły!...

- Nie wymagam, żebyś się... całkiem rozebrał. Możesz zostać w... kalesonach.

Wydało jej się, że i na jego policzkach dostrzeża ślad rumieńca, ale odpowiedział z nonszalancją:

- Nie mam ich na sobie.

- Och!... - Obrazy, które wdarły się do mózgu Susan, omal nie zbiły jej z nóg. Na myśl o tym, że Daniel leży w pościeli nagusieńki, jak go Pan Bóg stworzył, równocześnie oblał ją war i przeszył zimny dreszcz. Ogień i lód.

Daniel sięgnął po bandaż, które upuściła na łóżko.

- Pozwól, ja sam...

- Nie! Powiedziałam, że opatrzę ranę, i zrobię to! Tylko... odkryj się troszkę. - Ale on był już odkryty. Znacznie bardziej, niż wypadało.

- Susan...

- Nie ruszę się stąd, póki tego nie zrobisz. - Wyszunęła wojowniczo podbródek. - Albo będziesz posłuszny, albo wykrwawisz się na śmierć. Wybieraj! - Westchnął. - Mówię poważnie!

- A ja, psiakrew, nie mam co do tego wątpliwości - przyznał. Widać było, że nawet ta drobna sprzeczka zmęczyła go. - Doskonale. Rób, co chcesz. Możesz mnie nawet pokazywać za biletami. Ale skończ z tym cyrkiem jak najszybciej, żebym mógł wstać.

- O wstawaniu na razie nie ma mowy. Musisz się najpierw porządnie wyspać. Powiedziałam siostrze

Mary Margaret, że cię zawiąło i dostałeś dreszczy. Jak tylko cię opatrzę, powtórzę tę bajeczkę Essie. Nie musi się dowiedzieć o twojej głupocie... Choć podejrzewam, że i tak weźmie cię w obroty za to, żeś się tu wkradł jak złodziej! - Zmoczyła ręczniczek w zimnej wodzie i poleciła: - Ściągnij prześcieradło!

Przez kilka sekund, zanim się poruszył, zbierała siły przed tym, co ją czeka. Jednak jej wyobraźnia okazała się zbyt uboga, by przygotować ją na tę ewentualność. Jako dziecko była tak odseparowana od mężczyzn, że - nie licząc kąpiących się chłopców - widywała najwyżej jakieś odsłonięte męskie ramię.

W tej chwili los uraczył ją widokiem, jakiego nigdy nie spodziewała się ujrzeć. Sprężyste męskie ciało. Muskuły Daniela odznaczały się tak wyraźnie, jakby był rzeźbą z marmuru czy brązu.

Kiedy miała wrażenie, że dostanie hysterii, jeśli prześcieradło powędruje jeszcze niżej, Daniel przestał je zsuwać: ukazała się paskudna, długa rana w miejscu, gdzie talia przechodzi w biodra.

- Jak to się stało?... - wyszeptwała bez tchu.

- Strugałem coś kozikiem i ostrze się ześlizgnęło.

Usłyszawszy ten makabryczny żarcik, Susan pojęła, iż nie wyciągnie z Daniela prawdy. A krzyżujące się białawe blizny dowodziły niezbicie, że nieraz już oberwał.

Od widoku nagiego męskiego ciała i cieknącej z niego krwi Susan zrobiło się niedobrze. Przez głowę przelatywały jej dawne okropne wspomnienia. Odżyły zapomniane już zapachy, widoki, koszmary...

Powstrzymując ogarniające ją mdłości, podniosła się raptownie i podbiegła do komody. Zmoczyła jeszcze raz - całkiem bez potrzeby - wilgotny ręcznik. Zanurzając dłonie w lodowatej wodzie, łudziła się,

że udręka fizyczna pozwoli zapomnieć o duchowej.

- Lepiej wróć do kuchni.

- Nie, nie!... Nic mi nie jest. - Zmusiła się do promiennego uśmiechu. - Nie przypuszczałam, że będzie aż tak...

- Krwawiło?

- Właśnie.

Nie chodziło jednak tylko o krew. I oboje o tym wiedzieli.

Zdeterminowana podeszła znów do łóżka. Zaciśnięta zęby i skoncentrowała się wyłącznie na ranie. Usiłowała zapomnieć, kogo opatruje. Zapomnieć o wszystkim prócz czynności, którą powinna wykonać.

- Ktoś to już zszywał.

- Mówiłem ci, że byłem u lekarza.

- Ale się nie zasklepia. Kiedy cię zranili?

- Jakiś tydzień temu.

Dotknęła zaognionych brzegów rany. Daniel syknął, mięśnie jego brzucha napięły się. Susan poczuła, jak pod jej palcami drgają i prężą się muskuły.

Wzięła się mocno w garść i odwróciła znów w stronę komody.

- Wspomniałeś o jakimś lekarstwie?...

- Jest w jukach, ale niewiele już tego zostało.

- Postaram się wymknąć do miasta; poproszę aptekarza, by dał mi drugą porcję. A na razie zajmijmy się skórą wokół rany. Nie podoba mi się: jest zbyt zaogniona. Może się wywiązać infekcja.

Przyjrzał się jej bacznie.

- Wygląda na to, że nieźle się znasz na tych sprawach.

- Nauczyłam się od siostr nie tylko prowadzenia lekcji! - Wzięła do ręki jeden z przyniesionych w ko-

szu słoików i otworzyła go, ostrożnie manewrując drucikami przytrzymującymi ceramiczne wieczko. - Będzie szczypać.

- Byłem tego pewien! Nie znam lekarstwa, które by nie szczypało!

Podłożyła zwinięty ręcznik pod zraniony bok i ostrożnie oparła rękę powyżej rany. Ciało było twarde, ale elastyczne. Bez dalszych ostrzeżeń połała zaognione miejsce piekącą cieczą.

Daniel wydał jakiś nieartykułowany okrzyk i omal nie wyskoczył z łóżka. Jego ręce zacisnęły się kurczowo na pościeli.

- Coś... ty?...

- To terpentyna - wyjaśniła, bez trudu odgadując, o co mu chodzi.

- Terpentyna?! Do wszystkich diabłów, kobieto! Co ty wyrabiasz?!

- Próbuję cię wyleczyć.

- Chyba okaleczyć! Psiakrew! Dobrze wiedziałaś, że będzie bolało!

- Uprzedziłam cię.

- Wspomniałaś o *szczypaniu!* Nie o paleniu żywym ogniem!

Nie odważyła się powiedzieć mu, że to dopiero pierwszy etap kuracji. Szybko otworzyła inny, pękaty słoiczek i sypnęła kilka kryształków na bolące miejsce.

Z twarzy Daniela odpłynęła cała krew. Nie mógł zaczerpnąć tchu, zduszony ryk przeszedł w rżenie. Zacisnął powieki i cofnął się tak gwałtownie, że omal nie spadł z łóżka.

- To sól - poinformowała go z uśmiechem.

Otworzył jedno oko i spojrzął na nią z wyrzutem.

- Zrobiłaś to naumyślnie!

- To najlepszy sposób na oczyszczenie rany i zatamowanie krwotoku.

Opadł bezsilnie na materac.

- Ubawiłaś się, co?

- Skądże znowu?... - Na widok jego ogłupiałej miny kąciki ust Susan zadrgały. No... *może* troszkę. - Sięgnęła po szeroki, miękki bandaż i pomógłszy Danielowi usiąść, szybko omotała go nim w pasie. Potem związała końce na kokardkę, jak to zawsze robiła, opatrując dzieci w szkole, pozbierała medykamenty i wsadziła je do koszyka. - Nieco później wrócę z bulionem i filiżanką herbaty. A wieczorem wpadnę, żeby ci zrobić okład, który do reszty zlikwiduje infekcję.

- Co też do niego dodasz? Tłuczone szkło?

- Najwyżej garsteczkę. - Kiedy mruknął coś ze strachem, roześmiała się w głos. Daniel zdany na jej łaskę i niełaskę - cóż za odmiana! Zawsze był taki spokojny, chłodny, opanowany!... Ale dziś lodowy pancierz rezerwy nieco się wyszczerbił. - Prześpij się trochę - rzekła już całkiem łagodnie. Jak matka zwracająca się do dziecka lub kobieta szepcząca coś kochankowi.

Z oddaniem i czułością przykryła chorego kołdrą aż po brodę. Kiedy poprawiała fałdy na jego piersi, kostki jej palców natrafiły na łuk obojczyka. Było to coś gładkiego i twardego zarazem, jak stal pokryta aksamitem. Susan poczuła nagły przypływ pożądania, choć w dole brzucha czaił się dobrze znany, paniczny strach.

- Postaraj się zasnąć. - Odrywając oczy od niepokojącego widoku obnażonych męskich ramion, dotknęła rozgrzawkowanego czoła. I nie wiedzieć czemu, przesunęła ręką po policzku i brodzie Daniela.

Najmniejszym drgnieniem nie zareagował na jej dotyk. Leżał nieruchomy, spięty, czujny.

- Danielu, ja... - Ale nie dokończyła. Nie wiedziała nawet dobrze, co mu chce powiedzieć. Coraz bardziej była zaniepokojona z powodu wzbierających w niej uczuć; o pierwszeństwo walczyły ze sobą: strach, pożądanie, nieufność.

Daniel uniósł rękę i koniuszkami palców musnął jej policzek. Susan gwałtownie zaczerpnęła powietrza; starała się przemóc - nie wzdygnąć, nie cofnąć... Ośmielała się już sama dotykać, ale nadał bała się, gdy jej dotykano. Chciała mieć pewność, że to *ona* panuje nad sytuacją, że może się w każdej chwili wycofać, jeśli zajdzie potrzeba. Jednak pieśczoła Daniela była tak przelotna, tak czule gładził delikatną krzywiznę policzka... Serce jej się ścisnęło, gdy dostrzegła, że po tak niewielkim wysiłku on cały drży. W porównaniu z jej chłodną skórą jego palce dosłownie płonęły. Czuła na policzku szorstkość jego opuszków.

- Mała Susan... - szepnął. - Zmieniłaś się.

- Jestem taka sama jak dawniej! - upierała się, obawiając się, że odkrył w niej jakieś braki.

- Nie. Jesteś inna. Silniejsza.

- Nie tak, jak bym chciała - stwierdziła z żalem. Ale zaraz potem, jakby chcąc dowieść, że nie miała racji, pochyliła się nad Danielem powoli, z wahaniem; oczy miała szeroko otwarte.

Leciutko musnęła wargami jego usta - był to zaledwie cień dotyku. Mimo to krew zatętniła w jej uszach. Odskokzyła, chwyciła koszyk z lekarstwami i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Daniel wpatrywał się w zamknięte drzwi. Wzbierała w nim tęsknota. I pożądanie. Nie były to doznania wyłącznie fizyczne ani całkowicie duchowe. Jedno spletało się z drugim. Leżał tak w milczeniu i czuł,

że bariery ochronne, które wznosił wokół siebie z takim staraniem, zaczynają się chwiać i pękać.

Choć całe ciało miał obolałe, a umysł domagał się spoczynku, wykrzesał z siebie tyle energii, by wychylić się z łóżka i przyciągnąć do siebie juki.

Poruszał się z trudem, owładnięty znużeniem, które z każdym dniem coraz bardziej dawało mu się we znaki. Zaczął grzebać w jukach i wyciągnął skórzany futerał. Muskał go kciukiem, nie mogąc się zdecydować - otworzyć czy nie?... Ostatecznie otworzył i wy dobył sztywny prostokąt dagerotypu.

Trzy kobiety na fotografii ubrane były w identyczne, ciemne stroje przyszłych urszulanek odbywających nowicjat. Jednak Daniel bez trudu rozpoznał Susan Hurst. Nawet jako dziecko wyróżniała się swymi ognistorudymi włosami, ciemnozielonymi oczyma i delikatnymi rysami. Ale w odróżnieniu od pozostałych dwóch kobiet na fotografii, które prężyły się dumnie i uśmiechały tajemniczo, ze spokojem, Susan patrzyła w obiektyw bez uśmiechu, z wyrazem tęsknej prośby.

Kiedy Belle kilka lat temu przesłała Danielowi dagerotyp na adres Agencji Pinkertona, fotografia zrobiła na nim takie wrażenie, że aż się zdumiał. Nie spodziewał się, że jego mała dziewczynka tak szybko dorośnie!... Nie pozwolił jednak, by ta fascynacja nim owładnęła. Dobrze wiedział, że Susan warta jest kogoś lepszego niż on: twardziel; wilk-samotnik.

A jednak nie mógł wymazać tej fotografii z pamięci. Ciekaw był, czy włosy Susan nadal są rude jak surowa marchew, a skóra jasna jak maślanka?... Przede wszystkim jednak zastanawiał się, czy jakiś mężczyzna zdoła przezwyciężyć jej strach i wyzwolić ją z klatki, w której się sama zamknęła w obawie przed światem.

Ostrożnie zrobił głęboki wydech i zaszył się głębiej w poduszki. Wodził kciukiem po fotografii, po postaci smutnej dziewczyny z prawej strony. Roześmiał się gorzko i w przystępie samoudręczenia powiedział sam do siebie: *Nie, ona ma we włosach wszystkie barwy jesieni, skórę z kości słoniowej, a w oczach cienistą zieleń mchu...*

I nagle - ponad wszystko - zapragnął być tym mężczyzną, dzięki któremu z oczu Susan zniknie smutek, a zapłonie w nich namiętność.

9

- Panie Kutter, panie Kutter! Szefie! Mamy go!

- Co, u diabła, przyгнаło cię już z powrotem?! - Jedidiah Kutter odwrócił się raptownie od wiszącej na ścianie mapy, którą pilnie studiował. Spojrzał wilkiem na piegowatego rudzielca nazwiskiem Timmy Libbley, z irytacją ścisnął wargami cygaro i warknął: - Zdawało mi się, że wsadziłem was obu do pociągu, ciebie i Braxtona *Hilla*, i zapowiedziałem, żebyście nie ważyli się wracać bez dobrych wieści!

- Ale my już go mamy! Namierzaliśmy Daniela Crockera!

Kutterowi opadła szczęka. O mały włos nie wypluł cygara.

- Co ty wygadujesz, do stu diabłów?!

- Szczera prawdę, szefie! Pojechaliśmy do Ashton, jak pan kazał. No i tam go znaleźliśmy.

- Pojechał na swoją farmę?

- Nie, szefie. Jest w sierocińcu. W Benton House. Szykuje się tam spotkanie wszystkich dawnych wychowanków. Chyba Crocker zdecydował się wziąć udział w imprezie.

- Psiakrew! Jasna cholera! - Podekscytowany Kutter znów się odwrócił do mapy. - Wiesz, co z tego może wyjść, synu?!

- Nie, szefie.

- No to chodź i popatrz!

Zaskoczony niebywałą wylewnością zwierzchnika Timmy przysunął się bliżej.

- Musimy przewieźć „Bobasa” Floyda z Nevady do Salt Lake City. Tam sobie posiedzi pod kluczem, póki nasi ludzie nie zjawią się po niego i nie odstawią go do Cheyenne. Trzeba go będzie przetransportować stąd... (grubym paluchem Kutter wskazał węzeł kolejowy w Salt Lake City) dotąd... (dźgnął palcem w Ogden), a potem tak! - Trzymając cygaro w dwóch zniekształconych kłykciach, przejechał przez całą szerokość mapy do gwiazdki, oznaczającej Cheyenne. Walnął w nią pięścią i wydał okrzyk triumfu. - Ani chybi przyskrzynimy sukinsynów, mówię ci!

Timmy spoglądał w rozterce to na mapę, to na swego szefa. W którym momencie przeoczył jakiś ważny szczegół?! Nie miał pojęcia, o co Kutterowi chodzi.

- Jak to?...

- Popatrz no tutaj, synu! Tutaj! Ślepy jesteś, czy co?! - Mężczyzna postukał obgryzionym paznokciem w mapę. - Niczego nie widzisz?

Timmy pochylił się i zdołał dostrzec, że Jedidiah wskazuje mu Ashton. Malutki punkcik na mapie. Nie było o co robić tyle hałasu!

- Tory kolejowe! Popatrz na tory!

Timmy zmrużył oczy i dojrzał cieniutkie kreseczki, znaczące stałą trasę Wasatch Territorial. Cienka linia wiła się wąskim przesmykiem, rozdzielającym Terytoria Utah* i Wyoming, przebiegała przez niewielkie miasto Ashton i dalej wiodła wzdłuż nieregularnego łożyska rzeki. Wkrótce jednak dwie linie przecinały się: trasy Wasatch Territorial oraz Humboldt & Western.

- Przesiadka w Ashton?...

- No pewnie, że przesiadka w Ashton! - Szare oczy Kuttera zabłyśły. - Idealne miejsce na odbijanie! - zachichotał. - A przynajmniej Dooleyowie tak pomyślą!... Nie będą mieli pojęcia, że próbując odbić „Bobasa”, wpakują się w *naszą* zasadzkę! - Walnął w mapę. - Osaczymy całe to bractwo i wygnieciemy jak pluskwy! Ani się sukinsyny spostrzegą! - Uśmiechnął się szeroko i przygryzł cygaro. - Tylko trzeba znaleźć przynętę... I to taką, żeby się na nią złapała cała szajka Dooleyów, a nie trzy- cztery sztuki! Musimy im podesłać swojego człowieka. Kogoś, kto wmówi Dooleyom, co trzeba.

- Ale kogo?... - Timmy wyprostował się.

Kutter posłał mu niewinny uśmiech i czekając, aż chłopak się pokapuje, obserwował grę uczuć na jego wyszorowanej do glancu buźce. Zdziwienie... podejrzenie... olśnienie... konsternacja!

- Ależ, szefie!... Nie sądzę...

- Nie jesteś od sądenia. Masz robić, co ci mówię, i basta!

- Ale jak ja do nich trafię?...

- Tylko im nie przeszkadzaj, a sami do ciebie trafią. To zasada numer jeden, chłopcze: niech *oni* trafią do ciebie!

*Utah dopiero w 1896 r. zostało 45. stanem USA.

Timmy aż się skulił pod pełnym triumfu spojrzeniem szefa.

Kutter walnął go w plecy z siłą parowozu i oznajmił:

- Witamy na pokładzie ekspresu Pinkertona, synu! Wchodzisz do akcji.

10

Obecność Daniela w gościnnym pokoju pozostała tajemnicą nie dłużej niż dwadzieścia minut. Po tym czasie wytropiła go tam Esther Reeds. Daniel doszedł do wniosku, że Essie ma jakiś szósty zmysł albo inne nadprzyrodzone zdolności. Weszła sobie jakby nigdy nic, zbeształa go za to, że zakradł się jak złodziej, a potem uściskała wylewnie i uparła się obejrzeć ranę.

Susan, która czaiła się koło drzwi, wzruszyła tylko ramionami. Któż mógł wiedzieć, jakimi drogami nowiny docierały do Esther Reed? Kiedy jednemu z jej piskląt przytrafiało się coś złego, Essie od razu o tym wiedziała.

Od tej pory Daniel bywał sam tylko wtedy, gdy zamierzał się wysuszać; twardo obstawał przy tym minimum prywatności. Ilekroć ocknął się z niespokojnej drzemki, znajdował przy swym łóżku jakiegoś anioła stróża: albo Esther, albo którąś ze starszych dziewcząt. Essie i ćwiczące się w chrześcijańskim miłosierdziu sieroty zapisywały dokładnie, jak długo spał, ile razy odmówił wypicia bulionu, jak często wołał o nocnik. Było to w najwyższym stopniu żenujące!

Minęła pora kolacji, przyniesiono mu tackę z jedzeniem i zabrano z powrotem. Daniel wiedział, że dzieciaki szykują się już do spania. Nieco wcześniej z salonu dobiegły go jakieś pienia; miał odrobinę żalu do Esther że nie pozwoliła mu wstać i przyłączyć się do zebranych. Potem ktoś otworzył jedne i drugie drzwi tak że do Daniela docierała przynajmniej muzyka.

Później widać zasnął, a gdy ocknął się, wszędzie panowała cisza. Tylko od czasu do czasu doleciały skądś ciche kroki, jakiś szepc, skrzyknięcie czystuk.

Ponieważ Daniel przez cały dzień wylegiwał się łóżku teraz zupełnie nie chciało mu się spać i nudził się okropnie. Akurat wtedy, gdy miałby ochotę na pogawędkę, reszta mieszkańców sierocińca udała się na spoczynek!

Z przeciwległego końca korytarza doleciał szelest sukni Serce Daniela zabiło szybciej. Susan! Nie zjazała ani razu przez cały dzień. To musi być Susan!

Ale głowa, która ukazała się w drzwiach, należała do siostry Mary Margaret.

- Mogę wejść?

- Tak sobie chcesz. - Daniel nie zamierzał być opryskliwy ale niezwykle boleśnie odczuł rozczarowanie.

Zakonnica weszła do pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi.

- Tak ci służą ciastka? - spytała, znalazłszy się koło łóżka.

- Takie znów ciastka?

Mary Margaret cmoknęła z niezadowolenia i ukryła dłonie w szerokich rękawach habitu.

- Nigdy nie okłamuj zakonnic, Danielu! Zawsze wywęszysz prawdę.

Spojrzał na nią spode łba i pochyliwszy się, wyciąg-

nał spod łóżka kartonowe pudło. Uniósł pokrywę, wyjął dwa ciastka i schował swój skarb z powrotem.

- Chcesz jedno?

- Mam zostać współniczką zbrodni?

- Zapalisz jakąś świeczkę i po krzyku.

- Twoje informacje na temat zadośćuczynienia za grzechy nie są zbyt ścisłe. - Wzięła jednak ciastko. Po pierwszym kęsie uniosła kształtną brew. - Nic dziwnego, że nie miałaś ochoty na bulion!

- To dobre dla smarkaczy! - burknął Daniel.

- Ach, tak?... A ciastka wyłącznie dla dorosłych?

- Czego właściwie chcesz?

Mary Margaret zachichotała i skierowała się ku drzwiom.

- Przyszłam ci powiedzieć, że jutro przenosimy się z Maxem do klasztoru. - Od progu dorzuciła: - Masz trzy tygodnie.

- Susan nie wróci do Świętego Franciszka!

- To się jeszcze okaże. - W jej głosie brzmiała rezerwa, ale oczy błysnęły. - Powodzenia!

- Belle!

Drzwi się już prawie za nią zamknęły, ale Mary Margaret wetknęła znów głowę w szparę.

- Słucham?

- Coś mi się widzi, że nie wzięłabyś mi za złe, gdybym wybił Susan z głowy wieczyste śluby?

Odpowiedziała mu z całą powagą.

- Podczas wojny dzięki tobie ożyła we mnie nadzieja... A później pomogłeś mi zrozumieć, że o wartości człowieka nie decyduje jego pochodzenie. Nigdy nie traktowałeś mnie jak śmiecia, nigdy nie zakładałeś, że córka takiej matki musi koniecznie pójść w jej ślady.

- Uśmiechnęła się. - Dzięki tobie przekonałam się, że

sama jestem swoim najgorszym wrogiem i że grzeszne postępkę tylko zwiększają moją niedolę.

Daniel skrzywił się.

- O ile dobrze pamiętam, miałem swój udział w tych „grzesznych postępkach”.

- Nie przeczę. Nawet i teraz potrafiłbyś skusić świętą, by zapomniała o ślubach czystości. - Widząc, jak opadła mu szczęka, Mary Margaret zachichotała. - Nie obawiaj się, drogi chłopcze! Całkiem mi dobrze w klasztorze, a co do ciebie mam jak najlepsze nadzieje. Niezbadane są wyroki opatrności! Kto wie?... Może przez te kłopoty z Susan powrócisz na łono Kościoła?...

Siarczyście przekleństwo powinno było zgorszyć zakonnicę, ale tylko się roześmiała i zamknęła za sobą drzwi.

Na korytarzu natknęła się na Esther Reed, która właśnie wybierała się do chorego. Sądząc z tego, co niosła na tacy, oraz z błysku determinacji w jej szarych oczach, postanowiła doprowadzić Daniela Crockera do formy w błyskawicznym tempie.

Mary Margaret zastąpiła jej drogę z niejasną obawą, że posuwa się za daleko; czuła jednak przez skórę, że w tej szczupłej kobiecie znajdzie sojusznika.

- Chyba nie powinna się pani tak przemęczać.

Esther zmarszczyła brwi.

- Co proszę?...

Zakonnica rozejrzała się, czy nie ma nikogo w pobliżu, i mówiła dalej:

- Susan doskonale się zna na opatrywaniu ran.

- Ale...

- Ale praktyka zawsze się jej przyda. I mam wrażenie, że Daniel rad będzie z jej towarzystwa.

Mary Margaret dostrzegła od razu, że Esther nie jest głupia. Na jej twarzy zajaśniał błogi uśmiech - nie ulegało wątpliwości, jakie są jej prawdziwe uczucia.

- Nie chce chyba siostra powiedzieć, że...

- Właśnie.

- Daniel i Susan?...

- A jakże.

- Ale oni nie widzieli się od lat!

- Moim zdaniem to nic nie szkodzi, wręcz odwrotnie.

- No, nieee... - przeciągnęła Essie z niedowierzaniem. Jej wargi wygięły się w radosnym uśmiechu. Pochyliła się ku zakonnicy i szepnęła: - Naprawdę?...

- Tak mi się zdaje.

- I myśli siostra, że oni... mogliby?... - Zrobiła nieokreślony gest.

- Czas pokaże.

- Ale Susan chce koniecznie złożyć śluby wieczyste!

Siostra Mary Margaret włożyła do ust resztkę ciastka i zaczęła je żuć.

- Czyżby?...

Esther wyprostowała się, spojrzała na zamknięte drzwi pokoju Daniela, potem na zakonnice.

- Strasznie jestem zmęczona.

- Miała pani ciężki dzień.

- I jeszcze te przygotowania do zjazdu wychowanków!

- Nie powinna się pani tak przemęczać.

- Susan to dobra dziewczyna... Chyba zgodzi się mnie zastąpić.

- Bez wątpienia.

Obie niewiasty zachichotały z cicha i wróciły na paluszkach do kuchni.

Susan zastukała lekko do drzwi i weszła. Widać Daniel nie spodziewał się jej, bo natychmiast okrył kołdrą nagą pierś.

- Essie jest bardzo zajęta, więc poprosiła mnie o pomoc. Ale może ci przeszkadzam?

- Nie, nie! - Podciągnął się do pozycji siedzącej i spróbował poprawić poduszki. Odwrócił się i wzdygnął z bólu.

- Ja to zrobię - powstrzymała go spieszenie Susan. Postawiła tacę na komodzie, a następnie pochyliła się, by wyciągnąć poduszkę. Niechcący jej ręce natrafiły na szerokie plecy Daniela. To zetknięcie spowodowało, że żar rozlał się jej po żyłach. Zachłannie przebiegła wzrokiem po gładkich płaszczyznach, przedzielonych bruzdą kręgosłupa. Jeśli spojrzeć pod odpowiednim kątem, to widać nagą skórę aż do...

Susan przemocą skierowała myśli na mniej zdradliwe tory, wyładowała energię, trzepiąc poduszki, po czym umieściła je na poprzednim miejscu.

Daniel opadł na przygotowane wezgłowie z westchnieniem ulgi.

- Dzięki!

- Lepiej się czujesz?

- Tak. Mówiłem ci, że jak się prześpię, wszystko będzie dobrze.

Susan jakoś nie mogła w to uwierzyć, ale nie za protestowała.

- No i co tym razem wymyśliła Essie na moje utraipienie? Rzadki kleik czy owsiankę na gęsto?

- Prawdę mówiąc, życzy sobie, żebyś się ogolił i przystrzygł włosy.

- A to po co?!

- Twierdzi, że wyglądasz jak opryszek.

- Bo nim jestem.
- Możesz sobie nim być, ale Essie nie chce, żeby

to się rzucało w oczy!

Daniel uśmiechnął się i powiodł palcem po ramieniu Susan.

- Nabierasz wprawy.
- Susan aż podskoczyła, tak ją zdumiała ta przelot-

na pieszczota.

- W czym?... - spytała bez tchu.

- W przekomarzaniu się. W żartach. Pamiętam jeszcze czasy, gdy odpowiadałaś wyłącznie monosylabami „Tak” albo „nie”. Ale pewnie ty już tego nie pamiętasz?

~ Nie.

Słyszając tę odpowiedź, Daniel roześmiał się. Śmiech był wymuszony, brzmiał nieco zgrzytliwie; z początku sprawiał mu wyraźną trudność, potem poszło już lepiej

Susan była zachwycona. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy słyszała śmiejącego się Daniela. Sądząc z jego zdumionej miny, on także sobie tego nie przypominał. Powrót do Benton House wyszedł im obojgu na dobre. W tutejszej swobodnej, niewymuszonej atmosferze przypomnieli sobie dawne dobre czasy, gdy łudzili się, że to nic truanego być dorosłym.

Susan napełniła miskę gorącą wodą przyniesioną z kuchni, a następnie wręczyła Danielowi ręcznik i brzytwę.

- Może zaczniesz od golenia.

- Nie.
Co to znaczy „nie”
- Co to znaczy „nie”?

Daniel wyciągnął ręce. Mimo całodziennego wypoczynku nadal się trzęsły. Takie ogromne ręce! Długie, szerokie, stwardniałe... A jednak bywały delikatne w razie potrzeby... Albo w przystępie czułości

- Gdybym spróbował się ogolić, pewnie poderżnąłbym sobie gardło. Powiedz Essie, że zabiorę się do tego jutro. Albo pojutrze.

- Może ja mogłabym cię wyręczyć?...

Odczekał sekundę, zanim odpowiedział:

- Mogłabyś. - Jego głos, niższy teraz o oktawę, dotarł do najgłębszych zakamarków jej duszy.

Susan unikała spojrzenia jego szaroniebieskich oczu. Bezmyślnie bawiła się przedmiotami leżącymi na tacy.

- Czemu tak mi się przyglądasz? - spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Ciągle myślę o twoich włosach.

Odruchowo dotknęła grubego wełnianego szala, którym miała owiniętą głowę.

- O moich włosach?...

- Od lat nie oglądałem cię z rozpuszczonymi włosami.

- Nie wolno mi ich odsłaniać.

- Czemu?

- Bo włosy mogą stać się źródłem pychy i próżności.

- Twoje włosy są bardzo piękne. Gęste, bujne, falujące... Masz pełne prawo być z nich dumna.

- Przestań!

- Co mam przestać?

- Przestań mówić w ten sposób! - Schwyciła stojącą na tacy miseczkę i z niezwykłym zapałem zaczęła ubijać mydlaną pianę.

- Zetną ci włosy, Susan.

Ubijaj! Nie myśl, tylko ubijaj!

- Jeśli złożysz śluby, zetną ci włosy do gołej skóry.

Nie zdradzi się przed Danielem, jak ją ta uwaga zabolala! Może włosy nie były dla niej źródłem pychy

i próżności, ale zawsze to *jej* włosy! Susan przeczuwała, że bez nich poczuje się dziwnie naga.

- Nie będzie z nimi wówczas kłopotu - powiedziała, usiłując przekonać Daniela i samą siebie.

Chwytał ją za łokieć.

- To byłaby zbrodnia!

- Jeśli już mowa o zbrodni, to zajmijmy się twoją zbójcecką gębą. I siedź cicho, kiedy cię będę goliła!

Chcąc za wszelką cenę powstrzymać go od dalszego gadania, pokryła mu policzki i brodę mydlaną pianą, aplikując jej znacznie więcej niż trzeba.

Daniel spróbował się odezwać i tylko nałykał się mydła. Zaczął pluć i przeklinać, a potem zacisnął usta, odchylił głowę do tyłu i zadowolił się obserwowaniem rumieńców Susan, dobrze widocznych w świetle lampy. Lubił się z nią przekomarzać tak, że stawała w pałaszach. Miło było uprzytomnić sobie, że istnieją jeszcze na tym zepsutym świecie wysepki niewinności. Zło nie zdołało wykorzenić do cna tego, co piękne. Jeszcze nie!

Susan starannie naostrzyła brzytwę i przyjrzała się jej pod światło.

- Chyba dość ostra, jak myślisz? - Wypróbowała na opuszku; skaleczywszy się do krwi, pisnęła i wsadziła poszkodowany palec do ust, by zlizać czerwone kropelki. Ciało Daniela zareagowało błyskawicznie. Nie był to wcale odruch obrzydzenia; targnął nim odwieczny, prymitywny popęd. Dostrzegł koniuszek różowego kobiecego języka, otwarte, wilgotne wargi...

Susan zauważyła, że Daniel się w nią wpatruje, i wyjęła palec z ust.

- O co chodzi?

Zbudziło się w nim nagłe podejrzenie.

- Masz jakieś doświadczenie w tej materii?

- W kaleczeniu palców?

- W goleniu.

- Ostatnich czternaście lat spędziłam w żeńskim klasztorze... więc jak ci się zdaje?

- Cholera! - Daniel wyrwał jej brzytwę z ręki. - Trzymaj się z dala od ostrych narzędzi, zrozumiano?! - huknął. - Mam już jedną ranę ciętą i zupełnie mi to wystarczy!

Susan uśmiechnęła się od ucha do ucha. Beztroski uśmiech całkiem przeistoczył jej smutną twarz: stała się nieprawdopodobnie piękna. Żadna kobieta nie ma prawa aż tak jaśnieć pięknnością!... Zwłaszcza gdy jest opatulona od stóp do głów w szorstką, czarną wełnę.

- Potrzy masz mi lusterko - polecił opryskliwie.

- Tak jest, szefie!

Wzięła z tacy lusterko do golenia Donovana i przysiadła na brzegu łóżka. Daniel próbował się odsunąć, ale usiadła głębiej na materacu, tak że ich uda się zetknęły.

- Zaczynaj! Chcę się temu przyjrzeć!

Daniel wiedział, że nie oderwie od niego wzroku; będzie śledzić każdy jego ruch tymi zielonymi oczyskami. Zadrzał jeszcze mocniej - i to wcale nie z osłabienia!

- Wyżej! Podnieś lusterko do góry!

Póki jeszcze jako tako panował nad swoim ciałem, zabrał się do zeszkrobывania z brody czterodniowego zarostu. Spozrzegł z ogromną ulgą, że bliskość Susan mniej go rozprasza, niż się tego obawiał. Trzymała lusterko tak, że nie widział w nim jej oczu, wodzących za brzytwą

Przekonał się jednak, że jego optymizm był przedwczesny.

- Czy to cię boli?

Zaciął się w podbródek i wzdrygnął.

- Co mnie ma boleć?

- Golenie. Strasznie chrzęści! Słyszę wyraźnie, jak brzytwa kosi szczecinę!

Chwycił ręcznik wiszący mu na szyi i przytknął do ranki na brodzie.

- Nie, wcale nie boli.

- Ale się skaleczyłeś!

- To głupstwo, słowo daję! - Odrzucił ręcznik i zabrał się znów do golenia.

- Jak często to robisz?

- Co takiego?... - Czemu za każdym razem miał sprośne skojarzenia?!

- Golisz się.

Wręczył Susan brzytwę, by ją opłukała w ciepłej wodzie. Gdy wróciła na łóżko, zabrała ze sobą miskę. Umieściła ją między kolanami, skutkiem czego ich biodra jeszcze ściślej przylegały do siebie. W tej chwili Susan była tak dziecinnie uradowana jego towarzystwem, że zapomniała o wszelkich obawach. Daniel czuł jednak, że znów ogarnęłoby ją przerażenie, gdyby ośmielił się ją tknąć.

- No więc... jak często to robisz?

Z trudem przypomniał sobie, o co go pytała.

- Jeśli moja praca nie wymaga, żebym wyglądał...

- Odrażająco? - odpowiedziała.

- Odrażająco?...

- Właśnie: odrażająco - potwierdziła.

- No więc, jeśli nie muszę wyglądać... odrażająco, to golę się co rano. A niekiedy i wieczorem.

- Dlaczego wieczorem?

Już chciał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował i wrócił do golenia. Jak mógł wyjaśnić Susan, że goli się wówczas, gdy nie chce podrapać zarostem powabnej damulki?...

- Czasem włosy rosną szybciej. W słoneczne dni.

- **OL.**

Daniel jakimś cudem uniknął dalszych obrażeń. Pod koniec był tak spięty, że ręce dosłownie mu dygotały.

Gdy tylko padł pod ostrzem ostatni włossek, Susan odebrała przyjacielowi brzytwę.

- Resztą ja się zajmę!

Wzięła z tacy drugi ręcznik, zanurzyła w ciepłej wodzie i spłukała mu z twarzy mydlaną pianę.

- Ojej, Danielu! Wyglądasz całkiem przystojnie, jak się ogolisz!

Imiała słuszość. Niektóre męskie twarze bez zarostu tracą cały wyraz. Inni zapuszczają wąsy i długie baki, by ukryć cofnięty podbródek lub zbyt wąskie wargi. Ale owal twarzy Daniela był mocno zarysowany, broda kwadratowa, z dołkiem pośrodku.

- Teraz trzeba coś zrobić z twoimi włosami! - Susan zanurzyła palce w płowozłotych kędziorach sięgających mu za łopatki. Ku jej wielkiemu zdumieniu włosy załśniły w jej dłoni jak promyki słońca. Były ciepłe, jedwabiste i czyściutkie. Aż szkoda ścinać!...

Ta myśl nieco ją zaniepokoiła, ale naprawdę żałowała, że musi przystrzyc długie włosy Daniela. Choć nigdy nie aprobowała niechlujnego wyglądu, ta fryzura „a la dzikus” fascynowała ją. Długie złote pukle miały w sobie jakiś pogański urok. Jakby z Daniela spadła powłoka cywilizacji i wyjrzał spod niej człowiek pierwotny.

- Susan?

- Co?... - Uświadomiwszy sobie, że gapi się na niego, odchrząknęła nerwowo i raptownie wstała. Woda zzymanej przez nią miski chlapnęła na podłogę, ale

ona prawie tego nie zauważyła. Co się z nią dzieje?... Skąd te nieprzystojne myśli?!

Ale jak mogła ich uniknąć, gdy ściany pokoju здаwały się zwierzać wokół niej i Daniela?... Wspomnienia ukradkowych spojrzeń, pieszczot, pocałunków wisały w powietrzu jak dym kadzidła.

- Może to odłożymy na później?

- Nie! Najlepiej uporać się z tym od razu. - Susan rozglądała się po pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy. Dopiero po chwili znów zobaczyła wszystko wyraźnie.

- Byłoby lepiej, gdybyś na czymś usiadł... Inaczej będziesz miał w łóżku pełno włosów! - Z tymi słowami wymaszerowała do kuchni.

Tam natknęła się na krzesło z wysokim oparciem, przypominającym drabinkę. Zaciśnęła palce na najwyższym „szczeblu”, odzyskała panowanie nad sobą i wróciła ze zdobyczą do pokoju.

- Mam coś w sam raz! - oznajmiła z ożywieniem.

Daniel nie zainteresował się specjalnie przyniesionym krzesłem. Obserwował Susan z miną kota polującego na kanarka, co ją ogromnie peszyło.

- Wcale nie chcesz zostać zakonnica.

Z irytacją huknęła krzesłem o podłogę.

- Nie życzę sobie podobnych uwag! A teraz siadaj tu, bo przez całą noc będziesz wyskubywał kłaki z pościeli!

Pomrukując coś, zwiesił nogi z łóżka.

- Odwróć się.

Susan zbladła. Całkiem o tym zapomniała!... Nie miał na sobie kalesonów.

Odwróciła się tak raptownie, aż spódnica zawirowała. Dotarł do niej szelest pościeli i człapanie bosych stóp.

- No, już! Jestem gotów.

Ku jej nieopisaney uldze Daniel owinał się kilkakrotnie prześcieradłem, a jego końce trzymał mocno pod pachami. Mimo to widać było wyraźnie płaskie, podobne do miedziaków sutki.

Daniel nie był jedyną osobą w tym pokoju, którą nękały dreszcze. Biorąc z tacy nożyce krawieckie i kolejny ręcznik, Susan dumiała, jak też zdoła przeżyć następnych kilka minut?...

Podeszła do przyjaciela od tyłu i wręczyła mu nożyce.

- Możesz potrzywać?

Kiedy wziął je do ręki, owinęła mu szyję ręcznikiem. Czuła przez płótno sprężystą skórę i mięśnie.

- Tuszę, że w stryżeniu masz więcej wprawy.

- O, tak! - Nie zdradziła jednak, że strzygła wyłącznie zakonnice. Nie potrzeba wielkich umiejętności, by przyciąć włosy jak najkrócej przy skórze. - Pospiesz się, żebyś nie zmarzł! - mruknęła. Choć na kominku płonął już ogień, ciągnęło od okna i od podłogi.

Daniel nie odpowiedział. W otaczającym ich powietrzu czuło się nie tylko przeciągi. W niewielkim pokoju nastrój stawał się coraz bardziej intymny. Susan czuła, że z ciał ich obojga emanuje równie silne napięcie. Ale czemu tak prozaiczna czynność jak stryżenie wywoływała te zmysłowe fluidy?!

Wzięła do ręki nożyce i zaczęła ścinać bujne, złote włosy. Co też się stało z jej siłą woli?... Pobożnością?... Kiedy się zgodziła zastąpić Essie, nie przypuszczała, że czeka ją taka ciężka próba!

Spieszyła się jak mogła, starając się wykonywać wszystkie czynności mechanicznie. Strzygła, cieniowała i wyrównywała. Przez cały czas udawała, że nie

zauważa żaru bijącego od ciała, miękkości włosów, połysku skóry Daniela. Nie pozwalała swym oczom zapuszczać się niżej, przywierać do atletycznej klatki piersiowej. I wołała się nie zastanawiać, czemu przyjaciel ma wyraźne kłopoty z oddychaniem.

Wreszcie włosy zostały przycięte i uczesane jak należy.

- Skończone? - Daniel poruszył się. Ręcznik na jego szyi drgnął, przywarł na sekundę do ciała i spadł na podłogę.

Schylił się, by go podnieść, ale Susan powiedziała:

- Daj spokój, ja to zrobię! - I odruchowo wyciągnęła rękę, by go powstrzymać. Dotknęła nagiego męskiego ciała między szyją a ramieniem.

Zbladła, lecz nie odrywała dłoni od złotawej skóry. Nie była w stanie się poruszyć. Po prostu skamieniała.

- Susan?... - W szepcie Daniela było pytanie. I obietnica.

Poruszyła się. Pogładziła wypukłość mięśnia, idącego od szyi do obojczyka. Jak niewidoma poznawała dotykiem coś niewyobrażalnego. Jej tętno rozszalało się. Serce obijało się o żebra, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Daniel nie zareagował na pieszczotę najmniejszym ruchem; słyszała jednak jego urwany oddech i nierówny puls.

Stawała się coraz śmielsza. Rozstawiła szeroko palce i sięgnęła niżej, aż dotknęła kciukiem sutka.

Daniel odrzucił głowę do tyłu. Oczy miał zamknięte - z rozkoszy czy z bólu?... Tego Susan nie wiedziała.

Musnęła palcami raz i drugi wrażliwą brodawkę. Ogarnęło ją dziwne znużenie, cała się zmieniła w dotyk. Mogła już tylko *czuć*...

Od dawna niczego nie czuła... Od tak dawna...

Przerażające wspomnienia wynurzyły się na powierzchnię.

Mamusiu!

Susan, uciekaj! Słyszysz?! Najszybciej jak potrafisz! Uciekaj!

Daniel otworzył oczy. Były pełne odwiecznego męskiego pożądania. Paliły ją, budziły w niej uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewała. Równocześnie jednak poczuła straszny ból. Przeszył jej ciało jak błyskawica, zdarł stare blizny, otworzył zadawnione rany.

- Nie! - Krzyk buchnął z jej ust jak krew. Odskoczyła w popłochu.

- Susan?...

Daniel próbował ją zatrzymać. Szamotała się jak dzikie zwierzę. Wspomnienia stały się jeszcze żywsze, rozdarły zasłonę błogosławionej niepamięci, którą odgradzała się od nich od lat. Jej grzechy wyszły na jaw. Cały świat mógł się przekonać, jak strasznie zawiniła.

Wyrwała się z jękiem i podbiegła do wyjścia. Daniel jednak dogonił ją, zamknął z trzaskiem drzwi, nim zdążyła ich dopaść.

- Uspokój się! Przestań tak się zadreczczać!

Próbowała się oswobodzić, ale przygwoździł ją do drzwi. Groźnie napierał na nią całym ciałem.

- Uspokój się!... - Mówił przez zaciśnięte zęby, gdyż ból w boku znów się nasilił. Nie zwracał jednak na to uwagi. Chwytał Susan za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie. - W tym, co czujesz, nie ma nic złego. To nie jest grzech!

Na jej twarzy malowała się męka. Z rzęs zwisały ogromne łzy jak brylanty... Nie pozwoli im spaść! Poniżyłaby się jeszcze bardziej.

- Przez ciebie myślę o tym, co niewłaściwe! Przez ciebie marzę o tym, co nieosiągalne!...

- Dlaczego nieosiągalne?

Odparła ze smutkiem:

- Nikt nie zechce takiej jak ja.

Otwierał już usta, by gwałtownie zaprzeczyć, lecz Susan mówiła dalej cichym, martwym głosem:

- Straciłam część siebie. Umarła i nigdy już nie ożyje... choć czasem czuję, jak boli. - Broda zaczęła jej drżeć. - Urojony ból, jak w odciętej nodze. Jej już nie ma, nie ma!...

Odepchnęła go. Nie gestem ani słowem. Niezłomnością przeświadczenia o własnym kalectwie. Osłoniwszy się dumą jak tarczą, zmusiła Daniela, by ustąpił jej z drogi. Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zniknęła w mroku. Cień kobiety wtopił się w cień nocy.

11

Susan schroniła się w mroku swojego - a przecież nie swojego! - pokoju. Gdy zamknęła za sobą drzwi i popatrzyła na dobrze znane meble: łóżko, fotel na biegunach, komodę, nocny stolik... odniosła wrażenie, że coś się zmieniło. To *w niej* zaszła zmiana! Nie była już tą samą dziewczynką, która opuściła przed laty Benton House, by rozpocząć naukę w Akademii Świętego Franciszka.

Nie była również tą kobietą, która wyjechała stamtąd zaledwie kilka dni temu.

Ręce jej powędrowały do rzędu czarnych kościa-

nych guziczków zdobiących przód sukni - od szyi do pasa. Rozpinała jeden po drugim, przeciągając małe krążki przez dziurki.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zapragnęła poczuć na ciele miły dotyk jedwabiu czy tafty. Niekiedy miała wrażenie, że się udusi w tej czarnej wełnianej sukni, którą nosiła dzień w dzień. Lepiła się paskudnie do spoconego ciała w lecie i drapała w zimie.

Poczuła się nagle spętana, osaczona. Zdarła z siebie suknię i rzuciła ją niedbale na podłogę. Nabrała w płuca ostrego, zimowego powietrza - może dzięki temu uwolni się od niemiłego uczucia, że ściany zwierają się wokół niej?...

Szybko ściągnęła z siebie resztę ubrania i stała na zimnie naga i drżąca. Chcąc poczuć się jak najswobodniej, wybrała bardzo skromną nocną koszulę z cienkiego płótna; była na nią o wiele za duża, ale dzięki temu luźna i powiewna.

Nie bawiąc się w zapinanie guzików u koszuli, zerwała z głowy gruby czarny szal. *Wolna!* Tak bardzo chciała czuć się wolna!

Ręce jej drżały, gdy szarpała mocno splecione warkocze, upięte na karku w ciasną ósemkę. Dźwięk spadających na podłogę spinek do włosów ostrzegał ją - niczym głos sumienia - przed grzechem próżności. Ale Susan było wszystko jedno! W gorączkowym pośpiechu rozplatała jeden po drugim grube, ogniste warkocze, aż wreszcie zwichrzone włosy okryły grubym płaszczem jej ramiona i plecy.

- Susan?...

Jej imię zabrzmiało w ciszy ledwie dosłyszalnym szepcetem. Odwróciła się i w księżycowym blasku, który sączył się przez okno, ujrzała stojącą na progu samotną postać.

Chwyciła za dekolt nie zapiętej pod szyją koszuli i skamieniała.

Daniel wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Pozbył się prześcieradła i włożył minimum ubrania. Spodnie były zapięte, ale koszula rozchełstana, a nogi bose.

Susan nie mogła wydobyć z siebie głosu ani wykonać najmniejszego ruchu. Stała jak posąg w pełnym napięcia milczeniu, gdy Daniel zbliżał się do niej. Jego oczy przylgnęły najpierw do jej twarzy; było w nich tyle nieukrywanego pożądania, że Susan nie mogła wprost w to uwierzyć. Potem powędrowały niżej, sunęły po fałdach koszuli, którą przyciskała do piersi. I wreszcie spoczęły na zwichrzonych złotorudych włosach opadających falami na jej ramiona.

- Twoje włosy... - Zabrzmiało to prawie jak modlitwa. - Jakie ty masz włosy!...

Jak przyciągany niewidzialną siłą podchodził coraz bliżej, aż wreszcie stanęli niemal pierś w pierś. Wielkie, stwardniałe ręce wyciągnęły się ku niej nieśmiało. Dotknął ostrożnie niesforenego kosmyka i już go nie wypuścił; zaczął delikatnie przesuwając ognisty lok między kciukiem i palcem wskazującym.

- Twoje włosy... - szepnął znów, raczej do siebie niż do Susan. Ujął jej głowę w obie ręce i przechylił tak, że widziała zachwyt w jego oczach, którymi wprost pożerał faliste pasma rozplecionych warkoczy.

Magiczny urok tej chwili spowodował, że ciało Susan ogarnęło dziwne drżenie. Daniel zachwycał się nią... Uważał ją za kogoś wyjątkowego... Sprawiał, że czuła się...

Normalna.

Ręce Daniela zsunęły się niżej, delikatnie rozchy-

liły dekolt jej koszuli. Męski sutek dotknął leciutko jej mostka.

Oboje zamarli. Susan utkwiała wzrok w klatce piersiowej Daniela. Ozłoczone blaskiem ognia muskuły wydawały się jeszcze potężniejsze. Gładką powierzchnię skóry przecinały tu i ówdzie krechy dawnych blizn, świadczące o niebezpiecznym życiu, jakie wiódł po opuszczeniu sierocińca.

Rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w Daniela. Męskie ciało budziło w niej lęk... Wydawało się dziwnie twarde i kanciaste w porównaniu z jej delikatnie zaokrąglonym, miękkim... Mężczyźni byli tacy...

Susan zacisnęła powieki, starając się odgradzić od obrazów przeszłości, które wdzierały się do mózgu, budziły w niej przerażenie, grozę...

Mamusiu! Wołałaś mnie?

Susan! Wracaj do piwnicy!

Ani kroku, mała! Bo dźgnę twoją mamę nożem!

Susan! Uciekaj!

- Popatrz na mnie!

Chrapliwy męski szept wydarł Susan z otchłani przeszłości. Rzęsy zadrgały, powieki uniosły się, zielone oczy spotkały się z niebieskimi. Daniel rozplótł łagodnie jej palce, które wczepiły się w jego ciało. Susan ogarnął wstyd, gdy pojęła, że uraziła go boleśnie w zraniony bok.

Ze zdławionym jękiem próbowała wyrwać się i uciec z pokoju. Daniel przewidział to jednak i mimo bólu objął ją w talii i mocno przytrzymał. Tuląc ją w ramionach, czuł, jak bardzo jest kruchutka, i łowił uchem bezładne dźwięki wydobywające się z jej ust.

Susan miotała się jak szalona. Nie chce jej puścić!... Nie chce jej puścić!... Świat wirował wokół niej, rze-

czywistość zlewała się z dźwiękami i obrazami z przeszłości w jakąś potworną groteskę... Wydawało się jej, że to nie Daniel ją trzyma, ale obcy, rozwścieczony mężczyzna.

- Susan! Susan!... Opanuj się!

Czuła, jak nią potrząsa. Coraz wyraźniej widziała przed sobą twarz Daniela. Już się nie wrywała, drżała tylko z zimna przejmującego do szpiku kości.

Z jej zaciśniętego gardła wydobył się zdławiony, żałosny jęk.

- Puść mnie!... Proszę, puść...

Oczy Daniela pociemniały, straciły swą głębię. Wiadać w nich teraz było tylko odbicie jej bólu. Połóżnił uścisk, ale nadal trzymał ją przy sobie.

Kiedy spostrzegł, że już się nie wrywa, zajął się guziczkami jej nocnej koszuli. Niezgrabnie wsuwał drobne krążki w starannie obdziergane dziurki.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził. Przecież wiesz.

Susan jednak miała na ten temat odmienne zdanie. Każdy ruch Daniela niepokoił ją: sprawiał, że traciła wiarę w siebie i w swoje plany na przyszłość. Czy on wie, że z jego powodu cała to płonie, to zamienia się w lód?... Że budzi w niej zarówno radosny niepokój, jak trwogę?... Choć ciało Susan pragnęło słodkiego rozgrzania, jakie niosły mu pieszczoty Daniela, jej umysł nie mógł się wyzwolić z piekła minionych koszmarów.

Zapinając ostatni guziczek, końce palców Daniela musnęły dołek u nasady jej szyi. Z tego miejsca zaczęło promieniować ciepło, ogarniając całe jej ciało, przepełniając niepojętą radością.

Męski kciuk zakreślił czarodziejski krąg, potem przesunął się po policzku Susan, musnął jej brodę i spoczął na dolnej wardze. Daniel pochylił się ku niej.

- Ten jeden, jedyny raz... - szepnął.

Zaprotestowała cichutko, ale nie zwrócił na to uwagi. Pieścił jej wargi palcem... ustami... językiem.

Odpychała go, waliła pięściami... a równocześnie jej nogi same uczyniły krok w jego kierunku. Pragnęła, by tulił ją do siebie, by koił ból jej serca. I chciała, by ją puścił, zostawił ją w spokoju! Ta dwoistość uczuć powodowała nieznośny zamęt w jej myślach. Bała się tej burzy miotającej jej duszą. Ale jeszcze bardziej myśli, że Daniel może odejść.

Kiedy pocałunek dobiegł końca, Susan ledwie mogła się utrzymać na nogach. Zmagające się ze sobą uczucia rosły w niej, potężniały, przytłaczały ją. W pokoju aż gęsto było od wspomnień - mrocznych, chorobliwych wspomnień. Przerażające obrazy kłębiły się w powietrzu. Rozlegały się dawno przebrzmiałe krzyki. Huczał odległy grom.

- Nie! - Ręka Susan wystrzeliła bezwiednym, obronnym gestem. Płacz uwiązał jej w gardle, nie dając ujścia wściekłości i bólowi.

Daniel pochwycił atakującą go rękę, powstrzymał ją.

- Nie jestem żadnym z tych dezertarów, Susan! Nigdy bym nie skrzywdził ani ciebie, ani twojej rodziny!

Nie kryła swego niedowierzania. Czytał je wyraźnie z jej twarzy. Znał ją przecież tak dobrze!

- Jesteś pinkertonem! - Nie odpowiedział. W jej głosie dźwięczało potępienie. - Zabijałeś ludzi!

Jego usta były zaciśnięte, serce zalała mu gorzycz.

- Tak.

- Tamci dezertarzy zabili moją matkę! I mego ojca.

- Tak.

- Więc czym się od nich różnisz, Danielu?

Oskarżenie zawisło w ponurej ciszy pokoju. Susan

poczuła głęboką pogardę do samej siebie. Straszliwe wyrzuty sumienia. Co też ona zrobiła?! Jak mogła powiedzieć coś tak straszego?... Chciała cofnąć te słowa, lecz było już za późno. Uświadomiła sobie, jak głęboko zraniła Daniela, i ogarnął ją przeraźliwy wstyd. Choć wyraz jego twarzy się nie zmienił, Susan wiedziała, że bardzo go to zabolowało.

- Niczym. - Odsunął się od niej.

- Nie, Danielu, ja... - Próbowała go zatrzymać, ale gdy schwyciła go za koszulę, słowa zamarły jej na ustach. Kostki jej palców otarły się o nagą skórę.

Ich oczy zwały się ze sobą. Daniel wpatrywał się w nią z zapartym tchem.

Choć to zbliżenie wzbudziło w Susan niepokój, nie cofnęła się. Z trudem rozprostowała palce i położyła dłoń na piersi Daniela. Mijały długie, pełne napięcia minuty... Usiłowała skoncentrować się na chwili obecnej, nie na przeszłości. Nie myśleć o bandzie bezimiennych morderców, którzy sprawili, że cały jej świat się roztrzaskał, ale na Danielu.

Ciasna obręcz wokół jej płuc rozluźniła się.

Zrobiło się cieplej.

- Nie - szepnęła znowu. - Ty nie jesteś taki jak oni! Prawda?... - Ostatnie pytanie zadała raczej sobie niż jemu. Z drzeniem podeszła do niego tak blisko, że jej nocna koszula ocierała się o jego uda. Zarzuciła mu rękę na szyję i uściskała go. - Przepraszam!... - Przywarła do niego, jej palce wczepiły się w materiał jej koszuli. - Przepraszam, przepraszam...

- Ciiicho. - Było to westchnienie... pytanie... błogosławieństwo. Daniel przytulił ją tak mocno, że stali się jednym ciałem, jednym duchem...

I jednym sercem.

- Tak mi strasznie przykro... - Zaciśnięta powieki, starając się pokonać przejmujący żal.

Wyczuła wahanie Daniela. Wtulił usta w jej włosy.

- Powiedz mi, Susan! Powiedz, co się wtedy stało.

- Nie! - potrząsnęła głową.

- Proszę cię...

Susan dygotała w jego ramionach. Nigdy i nikomu nie wyjawiała całej prawdy. Nie mogła!... Ani teraz - ani nigdy. Jeszcze jako dziecko zmusiła upiory, by skryły się w najgłębszych zakamarkach jej mózgu. Z każdym rokiem przytłaczał ich grobową kryptę większy stos kamieni. Ilekroć upiory usiłowały się stamtąd wyrwać, zapędzała je tam przemocą. Nie mogła ich wypuścić! Gnieździły się w jej mózgu nie bez przyczyny: przypominały jej o tym, co uczyniła.

Nigdy nie uzyska przebaczenia.

Nigdy nie dostąpi odpuszczenia.

Nigdy nie zazna cudu zmartwychwstania.

- Pomóż mi, Danielu! - Susan nie była pewna, czy wymówiła te słowa na głos, ale serce jej powtarzało je raz po raz, bez końca. - Nie wiem, co robić!... Nie wiem co... - Broda zaczęła jej się trząść. Zaczepnęła gwałtownie powietrza, chcąc zrzucić z piersi dławiącą obręcz. - ... co mam począć?...

- Cicho już, cicho... - Daniel tulił do siebie dygoczącą postać. - Uspokój się...

Jego ramiona mogły stać się schronieniem, którego Susan tak potrzebowała... Ale nie mogła przecież uwolnić kryjących się w jej mózgu upiorów!...

Mamusiu... mamusiu... mamusiu...

- To boli, Danielu! Bardzo boli...

- Ciiiiicho...

- Ja wcale nie chcę być taka!...

- Wiem, Susan. Wiem.

Daniel gładził ją po włosach, uspokajał, łagodził ból, który wżarł się w jej serce głębiej, niż przypuszczała. Zanurzył twarz w jej miedzianych lokach i kołysał ją rytmicznie, jak dziecko.

Nagle rozpłakała się w jego objęciach. Łzy kapały na pierś Daniela, moczyły żywą, twardą, ciepłą poduszkę, na której Susan oparła policzek. Wstrząsał nią niepohamowany płacz, nie było już mowy o godności i rezerwie.

Ale nie miało to już znaczenia.

Daniel ją rozumiał.

12

Barryville, Terytorium Wyoming

15 stycznia

Timmy Libbley czuł się jak ostatni dureń. Wytoczył się z baru „Pod Kroplą Rosy”, cuchnąc whisky, potem i gryzącym dymem z cygar. W ciągu ostatnich trzech dni nieustannie popychano go, obrzucano przekleństwami albo lekceważono.

Wdychał głęboko rześkie powietrze przedświt, starając się opędzić od prześladowającego go smrodu. Ale głównym źródłem tego smrodu był on sam... Cóż człowiek może poczuć w takiej sytuacji?!

Mimo zmęczenia zaczął biec truchtem, a potem puścił się pędem na obrzeża miasta. Powiedziano mu, że ma spotkać się z Kutterem na terenie opuszczonej

farmy znajdującej się za szkołą. Timmy wiedział, że Kutter obdarłby go ze skóry, gdyby się nie stawił; umyślnie wybrał określną trasę i kluczył uliczkami, by zmylić każdego, kto by go dostrzegł i próbował śledzić. W końcu, obejrzawszy się po raz ostatni przez ramię, wtoczył się do rozwalającego się budynku i zatrzasnął za sobą drzwi.

- No i co?

Wcale go nie zdziwiło, że szef już na niego czekał.

- Granta Dooleya tam nie było. - Timmy zaczął zdzierać z siebie przebranie. Był przekonany, że Kutter ściągnął te łachy z jakiegoś truposza, poczekawszy przedtem, aż dobrze podgniją.

- Co to ma znaczyć „nie było“?!

Timmy miał wrażenie, że już to gdzieś słyszał. Nie zwracał sobie głowy rozpinaniem guzików, tylko ściągnął koszulę przez głowę i zaczął rozpinąć spodnie.

- Po prostu nie było go tam. Nie było go, psiakrew!
- Odrzucił portki i mimo że było zimno jak w lodowni, zabrał się do bielizny. - Tkwiałem w tej spelunie całymi dniami, a on ani razu nie zajrzał!

- Widywano go tam w początku tygodnia.

- Ale teraz go nie ma, i już!

- Gdzie on się zawieruszył, do cholery?!

- W Ashton - poinformował go Timmy i skierował się do kąta, gdzie stało wiadro świeżej wody.

Kutter uniósł brwi ze zdumienia.

- *W Ashton?!*

Timmy podniósł wiadro z podłogi, chwycił wiszącą mu nad głową ścierkę i odwrócił się do szefa z szerokim uśmiechem.

- Przed godziną uciałem sobie rozmówkę z jednym z tych mniej ważnych Dooleyów. Niby to wygada-

łem się przed nim o transporcie z przesiadką i o tym, że będą przewozić przez miasto nieliczy ładunek dynamitu. Słowo w słowo, jak mi pan kazał, szefie. No i potem Nate Dooley przedstawił mnie kilku krewniakom. „Pod Kroplą Rosy” aż się roi od różnych Dooleyów. Planowali, że za dzień czy dwa dołączą do Grama i Marvina i zwieją do Meksyku.

- Co ty powiesz?! Jasny gwint!

- Chyba im wybiłem z głowy ten pospieszny wyjazd. Wspomniałem, że Crocker wybiera się do Ashton, bo właśnie on będzie miał oko na Floyda w trakcie podróży. Wypsnęło mi się też, że tydzień wcześniej pinkertony będą tachać przez miasto skrzynię dynamitu. Kiedy wychodziłem z „Kropli Rosy”, Dooleyom aż piana leciała z pyska! Postawią pod broń całą rodzinę! - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Miał pan świętą rację, szefie! Na dynamit złapałoby się tylko kilka płotek. Ale kiedy trafia im się okazja ustrzelić pinkertona, wszyscy polecą jak w dym do Ashton! Dam głowę, że pod koniec tygodnia cały klan Dooleyów będzie się bawił w chowanego w tych górkach wokół miasta!

Kutter wydał okrzyk triumfu.

- Mamy ich! Rany julek, cała cholerna rodzinka złapała się na przynętę!

Timmy poczekał, aż Kutter przypomni sobie o nim, i wtedy rzekł:

- Ciekawe, skąd Grant i Marvin już wiedzą, że Crocker jest w Ashton? Przecież to *ja* miałem im to nadać!

- „Bobas” Floyd od lat ma Crockera na oku. Takie tam prywatne porachunki. Mam wrażenie, że reszta Dooleyów przypomniła sobie, co Floyd im opowiadał na jego temat. I jak go nie dopadli w Cheyenne, poszukali pod innym adresem. - Aż klasnął w ręce z ucie-

chy. - Nie warto sobie tym głowy zaprzątać, chłopcze! Kto sypnął, to sypnął. Grunt, że wiedzą! - Już wyciągnął rękę, by poklepać Timmy'ego po buźce, gdy stanął jak wryty. - Pfuj! Śmierdzi od ciebie jak z chlewa!

Timmy rzucił mu mordercze spojrzenie.

Kutter tylko się roześmiał. Zatykając nos przed smrodem, wyrwał Libbieyowi wiadro z ręki i wylał mu na głowę całą jego lodowatą zawartość.

Zaskoczony Timmy ryknął z oburzenia, co Kuttera jeszcze bardziej rozbawiło.

- Wyszoruj się porządnie, chłopcze! Musimy złapać pociąg... i kilka sztuk Dooleyów!

13

Przez kilka następnych mroźnych, zimowych dni Susan była zbyt zajęta, by wracać myślami do nocy, kiedy Daniel zjawił się w jej sypialni. O ile jednak we dnie mogła odegnać od siebie te wspomnienia, to w ciemności swego pokoju, przed zaśnięciem, często bezwiednie rozmyślała o żarze bijącym od jego ciała, o zapachu mydlanej piany oraz budzących się w niej nieokreślonych tęsknotach, które były jak powiew wiosny po długiej, ciężkiej zimie.

Poczucie winy rosło w niej z każdym dniem, aż w końcu stało się brzemieniem nie do zniesienia. Młoda, niezamężna kobieta nie powinna przyjmować w swojej sypialni mężczyzny... zwłaszcza że on był w niekompletnym stroju, ona zaś o krok od złożenia ślubów wieczystych.

Śluby wieczyste...

Dlaczego ta perspektywa wydawała jej się obecnie taka ponura?... Dlaczego nie była w stanie zdławić własnych pragnień, które stawały się coraz silniejsze?... Miała nadzieję, że krótki pobyt poza klasztorem pomoże jej w podjęciu decyzji. Ale w jej myślach zapanował o wiele większy zamęt...

- Ślicznie wyglądasz, Susan!

Daniel!

Gwałtowne bicie serca uprzytomniło jej, że nie przebywali ze sobą sam na sam od tego wieczora, gdy opatrywała mu ranę. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Chciała już zaproponować, że wcale nie jest śliczna - czuła się przecież w swym czarnym stroju jak stara wrona! - zamiast tego powiedziała jednak:

- Dziękuję za komplement!... Jadę do miasta. Przy okazji postaram się o drugą porcję twojego lekarstwa!

Daniel skrzywił się na wzmiankę o lekarstwie. Susan nadal była na niego zła o to, że mniej więcej przed tygodniem przestał zażywać lek przeciwbólowy i nikomu nawet o tym nie wspomniał!... Prędzej już mogła zrozumieć, że nie chciał denerwować Esther ani sprawić jej przykrości, jawnie odrzucając sporządzone przez nią maści i proszki... Przyłapała go na tym, że wpycha wszystkie na dno komody, i wydobyła z niego wyznanie, że nie stosuje się również do zaleceń doktora. Daniel pożalił się wówczas, że lekarstwo mu szkodzi. Susan stwierdziła stanowczo, że to niemożliwe. Wetknęła teraz buteleczkę z lekiem do swego woreczka. Postanowiła, że sama dopilnuje, by zapas został uzupełniony. A potem zmusi Daniela do zażywania lekarstwa, choćby miała mu je wpychać siłą do gardła!...

Musiała jednak przyznać, że stan zdrowia Daniela

wyraźnie się poprawił, choć nie zażywał przepisanego leku. Co prawda często się łąpał za bolący bok, zwłaszcza jeśli zbyt szybko zerwał się z miejsca, a przy każdym gwałtownym ruchu na jego twarzy pojawiał się grymas bólu, ale w gruncie rzeczy wrócił już prawie do formy. Zdaniem Essie, jego rana bardzo ładnie się zasklepiła. Pewnie zostanie mu po niej blizna, ale miał ich już tyle, że jedna więcej nie stanowiła problemu.

- Muszę już iść - odezwała się po chwili, gdy Daniel ciągle milczał.

- Zaczekaj! Mam dla ciebie mały prezent - mruknął. Kiedy się uśmiechnął, ujrzała znów dawnego Daniela - chłopca, który przynosił jej różne drobiazgi ze sklepu, ilekroć dostał parę groszy za pracę w stajni. Ileż to razy wybiegała mu naprzeciw, spragniona tylko jego towarzystwa - i otrzymywała to miętowy batonik, to znów ślazowe pastylki...

- Jaki?... - spytała bez tchu.

Ręka Daniela znalazła się nagle między nimi; rozchylił zaciśnięte palce.

Susan westchnęła z zachwytem, ujrzawszy na jego dłoni delikatny złoty medalion.

- Jakie to piękne, Danielu!... Ale nie mogę przyjąć tak kosztownego podarku!

- Weź! - Nie był to rozkaz, lecz gorąca prośba, która uniemożliwiła wszelkie dalsze protesty. - Chcę, żebyś to miała. To medalion mojej siostry.

W mrocznym korytarzu twarz Daniela była prawie niewidoczna, ale Susan wyczuła, że ta pamiątka ma dla niego wielkie znaczenie.

- Nie przyszło mi nawet do głowy, że masz siostrę!

- Myślałaś, że wyklułem się samotnie z jajka?

- Ależ skąd, ja...

Położył jej medalion na dłoni. Było w tym geście tyle czułości, że Susan zrozumiała, iż Daniel bardzo kochał siostrę.

- Annie zmarła przed moim przybyciem do sierocińca. - Po raz pierwszy Susan dowiedziała się czegoś o życiu Daniela, zanim trafił do Benton House. - A medalion należał właściwie do naszej matki... Kiedy Annie się urodziła, mama zawiesiła go jej na szyjce... na szczęście. - Ujął dłoń Susan i zacisnął jej palce wokół medalionu. Gdy znów się odezwał, w jego głosie brzmiała jakaś pożegnalna nuta. - Pomyślałem, że teraz ty powinnaś go mieć.

Susan patrzyła na ich złączone dłonie. Ręce Daniela były takie wielkie, ciemne, szorstkie...

- Czy jestem podobna do Annie? - Podniosła głowę i zdążyła dostrzec cień uśmiechu na jego wargach.

- Prawdę mówiąc, nie. - Urwał, jakby chciał cofnąć się w przeszłość. - Ale była słodka... tak samo jak ty. Weź to! - poprosił znowu i ruszył w stronę schodów.

- Danielu!...

Zatrzymał się i unióśł brew w niemym pytaniu.

- Może sam mi go włożysz na szyję? - spytała cicho.

Z pewnym wahaniem ponownie podszedł do niej. Susan podała mu medalion i odwróciła się plecami. Była boleśnie świadoma bliskości Daniela.

Medalion spoczął na dopasowanym staniku sukni; złoto błysnęło na atramentowej czerni. Dotyk palców Daniela był przelotny, mimo to, aż jej mrowie przeszło po skórze na karku.

- No i jak się prezentuje? - spytała, odwracając się do przyjaciela i unosząc podbródek.

- Jakby był stworzony dla ciebie - odparł lekkim tonem.

- Wobec tego nigdy się z nim nie rozstanę. - Przesunęła lekko palcem po wygrawerowanym wzorku. - Zawsze go będę nosiła, choćby nie wiem co!

Daniel wydawał się uradowany i odrobinę zażenowany jej oświadczeniem. Znów skierował się w stronę schodów.

- A więc do zobaczenia po twoim powrocie!

Dopiero gdy odszedł, Susan coś sobie uprzytomniła: po złożeniu ślubów będzie musiała wyrzec się wszelkich dóbr doczesnych - nawet złotego medalionu, który należał kiedyś do dziecka o imieniu Annie.

Susan trzepnęła wałacha lejcami po zadzie i sanie skręciły na ścieżkę między sosnami; tędy można było dojechać do miasta dwa razy szybciej niż główną drogą.

Na prośbę Esther Susan udała się do Asthon po sprawunki; chodziło o rzeczy niezbędne do przygotowania zbliżającej się uroczystości. Zabrała również ze sobą buteleczkę z białym proszkiem, by uzupełnić jego zapas w aptece.

Sanie pomknęły po wygładzonym przez wichry górskim zboczku ku znajdującej się u podnóża dolinie. Susan przebyła już ponad połowę drogi, gdy zorientowała się, że nie jest sama. Na wznoszącej się ponad nią grani ujrzała czterech jeźdźców: ich sylwetki były wyraźnie widoczne na tle ciemnozielonych drzew. Susan raz tylko rzuciła na nie okiem i pognała konia.

- Hej, paniusiu! - Jeden z mężczyzn odłączył się od grupy i ruszył pędem ku niej.

Palce Susan zacisnęły się na lejcach. Wałach, wyczuwając jej niepokój, uskoczył w bok, rzucając łbem. Sanie zachwiały się, omal nie wjechały w zaspę, ale pomknęły dalej.

Susan poczuła w brzuchu dobrze jej znane ściskanie. Próbowwała opanować strach, tłumaczyła sobie, że pędzący ku niej mężczyzna jest jednym z jej dawnych znajomych. Kiedy jednak podjechał bliżej, zorientowała się od razu, że popełniła omyłkę. Był to ktoś całkiem obcy.

Jeździec wychylił się z siodła, chwycił za uzdę konia Susan i zatrzymał sanie. Dziewczyna instynktownie cofnęła się na oparcie. Z niepokojem spoglądała to na niechlujną odzież napastnika i jego długie, matowe włosy, to na trzech pozostałych jeźdźców na szczycie góry. W ciągu ostatnich kilku lat Susan nabrała nieco pewności siebie, ale to spotkanie z jakimś zakazanym typem, w dodatku na zupełnym odludziu, zatrwożyło ją.

Mężczyzna wyprostował się, ale nie puszczał uzdy konia Susan. Ją samą obrzucił chłodnym spojrzeniem, z początku baczny, potem raczej lekceważącym.

- Może pani coś dla mnie zrobić?

Susan pokonała ogarniającą ją panikę i spojrzała bardzo wymownie na rękę nieznanego, zaciśniętą na uździe jej konia.

Obcy zlekceważył ten milczący rozkaz i uśmiechnął się, ukazując szerniałe i połamane zęby. Błada skóra była poorana śladami ospy, rysy wyostrome.

- Pani tutejsza, co? - Mimo uśmiechu twarz jego była surowa, nieodgadniona.

Susan zmusiła się do tego, by spojrzeć mu w oczy. Wyrażały pewne zainteresowanie, ale kryło się w nich coś jeszcze. Coś, co zawisło jak czarna chmura w mroźnym powietrzu. Susan na wszelki wypadek ujęła rękajeść bicia ukrytego w fałdach spódnicy.

Ponieważ mu nie odpowiedziała, nieznanomy mówił dalej:

- Wybraliśmy się z koleżkami w daleką drogę i chyba zabłądziliśmy.

Tętno u nasady szyi Susan znów się rozszalało, ale udało jej się zachować pozorny spokój. Byle tylko nie stracić głowy!...

- Powie nam pani, jak dojechać do Ashton? - zakończył nieznajomy.

Ruchem głowy wskazała mu oblodzoną grań, na której czekali jego towarzysze.

- Tamtędy, między drzewami, na zachód - wyjaśniła niskim, pełnym napięcia głosem. - Zaraz za strumieniem traficie na drogę.

Mężczyzna wyprostował się w siodle z pewnym trudem, jakby go stawy bolały. Równie powolnie puścił jej wałacha i przyłożył palec do kapelusza. Znów obrzucił Susan wzrokiem.

- Piękne dzięki. - Już miał popędzić konia, gdy nagle się zawahał. - Słyszałem, że w mieście są chłopaki od Pinkertona. Nie wie pani, jak na nich trafić? - Jego oczy były całkiem bez wyrazu. - Miałbym dla nich robótkę.

Susan jeszcze mocniej ścisnęła rękojęść bicia.

- To jakaś pomyłka - oświadczyła stanowczo. Nie wiedziała czemu, ale nie mogła tym typom zdradzić miejsca pobytu Daniela! - W Ashton nie ma żadnych pinkertonów. Może już przedzej...

- No to dziękuję za pomoc!

Nieznajomy zawrócił konia i pogalopował przez śnieg ku swym towarzyszom czekającym na zboczu. Niebawem ich czarne sylwetki znikły wśród drzew.

Susan wzdrygnęła się i rozluźniła palce, zaciśnięte kurczowo na rączce bicia. Nie zważając na ostry wiatr, zatrzymała się u podnóża góry na dobrych kilka minut; chciała mieć pewność, że jeźdźcy są już daleko.

2 góry, zza zasłony sosen, wsparty na łąku siodła Grant Dooley obserwował, jak sanie mkną po zamrzniętym śniegu.

Jego brat Marvin przyglądał mu się bacznie z zagadkowym wyrazem twarzy. Nawet w głębokim cieniu spłaszczony profil Marvina nie prezentował się ciekawie. Jego czaszka była zdeformowana od urodzenia, jakby ktoś wgniół nasadę nosa do wnętrza głowy.

- Myślisz, że to ta dziewczyna Crockera, którą zamelinował w jakimś klasztorze w Kolorado?

- A ty myślisz, że w tej okolicy roi się od mniszek? To musi być ona!

- No to co robimy?

- Kiedy pinkertony będą tędy przewozić Floyda?

- W następną niedzielę.

- No to mamy przeszło tydzień. - Grant uśmiechnął się drapieźnie; jego ospowate policzki zmarszczyły się i pofałdowały. Łaknął krwi Crockera, a nie udało mu się go zadźgać. Tym razem powiedzie mu się z pewnością - i dopilnuje, żeby bydlak nieźle się przedtem pomęczył! Od trzech lat Crocker szedł za nimi trop w trop, jak pies myśliwski. Nie miał zamiaru się odzepić, póki ostatni Dooley nie trafi do grobu albo do pierdła. Ale Grant już mu w tym przeszkodzi!...

- Zabiję tego drania, bracie! - Oczy Marvina błysnęły nienawiścią. Miał własne porachunki z pinkertonem, odkąd ten dopadł ich obu z Grantem i wpakował do kicia.

- Po co ten pośpiech? - Grant nie odrywał oczu od znikających sań. - Na to zawsze będzie czas. Niech się przedtem ścierwo pomęczy!

- Niby jak?

- Może pofigłujemy sobie z tą jego dziewczuszką?...

Ten sukinsyn to kawał twardziela, ale Floyd połapał się, jak go można rąbnąć! Zakradł się kiedyś do pokoju tego bydlaka i wyniuchał w jukach fotografię jakiejś zakonnicy. Jeśli to ta, to Crocker pójdzie w rozsypkę.

Na twarzy Marvinina odmalował się głęboki niesmak. Miał na pieńku z Crockerem od lat. Od kiedy zakatrupił mu jednego z kuzynów podczas strzelaniny w Cheyenne. Grant chciał pobawić się z pinkertonem jak kot z myszą, ale Marvin wolał poderżnąć bydlakowi gardło bez ceregieli. Po cholere to odkładać?! Jak mu się tylko trafi okazja, zaraz to załatwi. Choćby miał zadrzeć z Grantem!

Susan nie natrafiła w Ashton na żaden ślad czterech jeźdźców. W mieście w środku dnia panował straszny tłok. Pełno tu było wozów, bryczek i piezszych. W nocy spadł śnieg; mróz szczypał w policzki, a szerokie ulice jaśniały bielą.

Susan zostawiła sanie w stajni i wyjąwszy z woreczka przygotowaną przez Essie listę sprawunków, zaczęła wędrówkę po sklepach. Najpierw wstąpiła do apteki.

Mały mosiężny dzwoneczek zabręczał nad drzwiami, gdy weszła do środka. Nie była w aptecce pana Gibby'ego od lat; znajomy zapach płynu na porost włosów i spirytusu sprawił, że zbudziły się w niej wspomnienia dzieciństwa. Rozejrzała się po wnętrzu, podziwiając wystawione na pokaz słoje i butle pełne mieniących się barwami płynów. Któż by przypuszczał, że toniki, pomady i perfumy mogą wyglądać tak malowniczo?... Słońce wpadało przez wielkie okno wystawowe, a kolorowe płyny błyszcząły i migotały jak szkiełka w kalejdoskopie... albo w witrażu.

- Dzień dobry, panie Gibby!

Okraglutki jegomość, który układał towary za ladą, odwrócił się do niej. Spojrzał na Susan ze zdziwieniem i nagle rozpromienił się. Jego pulchne policzki poczerwieniały jak piwonie.

- Susan?... Susan! - Brzuch zatrząsał mu się od radosnego śmiechu; wyglądał jak święty Mikołaj. - Naprawdę przyjechałaś tu aż z Kolorado na spotkanie w Benton House?! - Klasnął w dłonie z uciechy i potoczył się ku Susan, by uściskać ją z całej siły, aż żebra zatrzeszczały. Potem cofnął się o krok i obejrzał dziewczynę od stóp do głów. - Ależ z ciebie ślicznotka!

Susan ani rusz nie mogła w to uwierzyć, jako że była w czerni od stóp do głów: buciki, suknia, pełeryna i szal. Cóż, pan Gibby zawsze prawil damom komplementy.

- Mam tu lekarstwo Daniela Crockera... Pamięta pan Daniela, prawda?

- Oczywiście.

- Doktor w Cheyenne przepisał mu środek przeciwbólowy... Czy mógłby mi pan przygotować drugą porcję?

- A masz receptę?

- Nie. Daniel gdzieś ją zgubił. Czy się bez tego nie obejdzie?...

- Zobaczymy, co się da zrobić. Jestem pewien, że zdołam określić skład. - Podbródki pana Gibby'ego trzęsły się z podniecenia. Pochylając się ku Susan, szepnął: - On nadal działa w Agencji Pinkertona?...

- Chyba ma teraz... urlop. Został ranny podczas ostatniej akcji.

- Co ty mówisz?! Ranny?...

- Ktoś go dźgnął nożem w bok.

- Oooo!... - Pan Gibby sapnął z wrażenia i wziął

do rąk flaszczykę. Spojrzał spod dość rzadkich brwi.
- Etykieta zniszczona, ale chyba zdołam odcyfrować, co trzeba. Założę się, że to zwykła morfina w proszku. Wróć za godzinę, będzie już gotowa.

- Serdeczne dzięki, panie Gibby!

Resztę czasu Susan spędziła na załatwianiu zakupów dla Esther. Na dziesięciu sklepikarzy dziesięciu rozpoznało ją od pierwszego wejrzenia, co ją niezmiernie zdumiało! Wszyscy zachwycali się, jaka jest teraz pogodna i pełna życia. W dzieciństwie zawsze mówiono o niej: „ta naburmuszona sierotka z Benton House”. Widać teraz uznali, że jest mniej naburmuszona.

Kiedy wyszła z ostatniego sklepu (odebrała u modystki czepek wykonany dla Essie na specjalne zamówienie), poczuła, że ktoś ją ciągnie za spódnice.

- Panna Hurst? Czy to paniusia?

Był to mały, najwyżej pięcio- lub sześciolatek Murzynek, ze słodką czarną buzią, kędzierzawym łebkiem i okrągłymi oczkami, w których błyszczało podniecenie.

- Tak, to ja.

- Tak sobie myślałem! On mi powiedział, jak mam paniusią poznać. - Chłopczyk podał Susan buteleczkę, którą zostawiła przed godziną u pana Gibby'ego.

- To dla paniusi. Dał mi centa, żebym to pani oddał, no to oddaję.

Susan wzięła od niego flaszczykę i sięgnęła do kieszeni.

- A tu masz drugiego centa, boś się dobrze spisał.

Oczy chłopca zrobiły się wielkie jak spodeczki.

- Dziękuję paniusi!

- Nie przepuść wszystkiego od razu!

- Nie, nie, paniusi!

Chłopczyk pomknął drewnianym chodnikiem w stronę najbliższego sklepu. Susan była przekonana, że brzęcząca moneta wkrótce zamieni się na ciasteczki, nawet gdyby malec okazał się honorowy i dokonał zakupu w *dwóch* sklepach.

Wsunęła buteleczkę do torebki i nagle zmarszczyła brwi. Przecież nie zapłaciła za lekarstwo z góry! Czemu aptekarz odesłał je za darmo?...

Ponieważ nie chciała nadużywać dobroci pana Gibby'ego, pospieszyła do apteki. Kiedy jednak ujęła za klamkę, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz.

- Panie Gibby! - Osłaniając oczy ręką, zajrzała do wnętrza. W aptece było pusto... a na przerwę obiadową o wiele za wcześnie! - Panie Gibby! - zawołała jeszcze raz.

Nikt się nie odezwał, choć wisząca na drzwiach tabliczka oznajmiała, że apteka jest czynna.

Susan wzruszyła ramionami i cofnęła się o krok. Widać pan Gibby został nagle wezwany w jakiejś ważnej sprawie. Postąpiła jeszcze chwilę, dla pewności poruszyła znów klamkę, wreszcie westchnęła i skierowała się w stronę stajni.

Wróci tu pod koniec tygodnia i zapłaci panu Gibby'emu ile trzeba. A teraz jak najprędzej do domu! Daniel powinien zażyć lekarstwo.

14

Za każdym razem, gdy stukała do drzwi, dzwoneczek drżał i rozlegało się delikatne dźwięczenie. Mężczyzna przyczajony wewnątrz apteki cierpliwie cze-

kał, pewny, że dziewczyna wkrótce odejdzie. Doznawał sprzecznych uczuć: kusiło go, by wyrzeć i ubawić się jej zmieszaniem, a równocześnie wiedział, że nie powinien jej się pokazywać. Dopiero potem, gdy jego plan zostanie zrealizowany.

Kiedy wykończy Crockera.

Obcasy zastukały po drewnianym chodniku. Odeszła! Z tyłu rozległy się pochlipywania starego poczciwiny.

- Cicho tam! - Mężczyzna odwrócił się i popatrzył z pogodnym, pełnym satysfakcji uśmiechem na aptekarza, owiązanego sznurkiem jak baleron, leżącego na podłodze z nosem rozpląszczonym na zmurszałych deskach.

- Nie trzeba było się wtrącać! - szepnęła, pochylając się nad Gibbym. Chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie. - Wścibstwo nigdy nie popłaca! Powinieneś być przygotować to, co tam było napisane, i nie zadawać żadnych pytań!

Aptekarz znów zapłakał. Wywracał oczami jak spłoszony koń. Ale mężczyzna, który pochylał się nad nim, nie znał litości. Pan Gibby zadarł z niewłaściwą osobą.

- Sprawdziłeś, co tam naprawdę było?

Pan Gibby gwałtownie potrząsał głową, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki. Zatkano mu usta chustką i omotano dolną część twarzy sznurkiem, żeby nie mógł wypluć knebla.

- No, no, panie Gibby! Kłamstwo nic nie pomoże.

Nieznajomy wziął do ręki słoiczek, w którym aptekarz przygotował drugą porcję lekarstwa dla Daniela Crockera. Nalepka na nieco większym pojemniku oznajmiała to samo, co uszkodzona etykieta na fla-

szezce Crockera, ale proszek był inny: żółty, nie biały.

Obcy schował słoiczek do kieszeni.

- Ostrożność nie zawadzi! - szepnął. Potem wyjął pudełko, którego zawartość wsypał do flaszeczki, spoczywającej teraz bezpiecznie na dnie torebki Susan Hurst.

- Tym razem Crocker *na pewno* zdechnie! - Uśmiechnął się. - Miałem doskonały pomysł, nieprawdaż? Kilka tygodni temu ranili go. Wezwał doktora, a ten zapisał środek przeciwbólowy. Nim lekarstwo dotarło do Crockera, wymieniłem zawartość buteleczki. Zamiast morfiny dostał porządną porcję trutki na szczury, wymieszanej z miątkim cukrem. W sam raz tyle arszeniku, żeby wykrwawił się na śmierć.

Przerażony Gibby zadrżał. Nieznajomy popatrzył na niego z pogardą, potem odepchnął leżącego i wyprostował się.

- Popełniłem jednak fatalny błąd. Zanadto zaufałem truciznie. Tym razem będę ostrożniejszy. - Gładząc się po brodzie, dumął nad czymś z wyraźną przyjemnością. - Znalazłem sobie pomocników, którzy mi świącie wierzą. Mniej więcej za tydzień wszyscy uderzą na Crockera i na resztę pinkertonów. Tym razem Crocker dostanie słabszą dawkę, żeby nie nabrał podejrzeń. Arszenik go nie wykończy, ale całkowicie osłabi. Kiedy się spotkamy następnym razem, dobiję go sam.

Pan Gibby zamknął oczy, spod powiek spływały łzy bezsilności. Nieznajomy prychnął pogardliwie i kopnął aptekarza w zębra.

- Nie trzeba było się wtrącać! - powtórzył. W nieoczekiwanym napadzie furii chwycił stojącą koło drzwi miotłę i zaczął nią zrzucać ustawione na półkach słoje i butelki. Powietrze napełniło się ostrym zapachem spirytusu i lekarstw, wonią perfum...

- Lepiej ci będzie u Bozi, panie Gibby! Za to Daniel Crocker trafi prosto do piekła! - Nieznajomy przytknął płonąca zapałkę do kartonowego pudełka, które nadal trzymał w ręku. Widoczny na nim kolorowy obrazek, przedstawiający zdechłego szczura leżącego na boku, pobudził mężczyznę do śmiechu. - Pomyśleć tylko! Wkrótce trucizna znów zacznie w nim krążyć!... Tyle że słabsza, bo zmniejszyłem dawkę o połowę. W środku tygodnia Crockera paskudnie rozboli brzuch. A w przyszłą niedzielę ledwie się będzie trzymał na nogach. Wtedy do niego strzelę: prościutko między oczy!... Ależ miałem świetny pomysł! Grunt to bystry, błyskotliwy umysł.

Upuścił płonące pudełko na podłogę i przeszedł z zaplecza do frontowego pomieszczenia. Znalazłszy się tam, przystanął, by obciągnąć kamizelkę i przygłodzić ręką włosy. Potem sięgnął pod zasłonkę na drzwiach wejściowych i odwrócił wiszącą na niej tabliczkę. Wyszedł na ulicę, zamykając za sobą drzwi.

Znalazłszy się na chodniku, popatrzył jeszcze na budynek apteki. Gdzieś w głębi płonął coraz mocniej ogień. Tabliczka na drzwiach ciągle się kołysała, jakby poruszana niewidzialną ręką. Mężczyzna roześmiał się, odczytując widoczny na niej napis: „Szانونni Klienci wybaczą: nie mogę im dłużej służyć. Gibby”.

15

Daniela obudziły stłumione dziecięce chichoty. Nie całkiem jeszcze oprzytomniał; zmarszczył czoło, potem zamrugał oczami. Prawie cały poprzedni dzień spędził w stajni, pomagając Donovanowi wyprowadzić stamtąd konie, żeby dzieciaki mogły spać na stryszku podczas zjazdu dawnych wychowanków. Wysiłek fizyczny bardzo zmęczył Daniela. Sądząc z oślepiającego blasku, który wpadał przez siatkowe firanki, Esther pozwoliła mu spać do południa.

Znów rozległy się chichoty, jeszcze wyraźniejsze. Coś w tych wesołych odgłosach przywołało na usta Daniela nostalgiczny uśmiezek. Jak miły był kontakt nagiego ciała ze świeżo wypraną pościelą i dobiegający z wnętrza domu zapach gorącego jeszcze chleba i kawy!... Ziewnął, przewrócił się na wznak i wyprężył ramiona nad głową.

Znowu ten śmiech!

Daniel zeszytniał. Poczłł dreszcz niepokoju: miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Nieznacznie rozejrzał się dokoła, ale w pokoju nie było nikogo. Prawie całą przestrzeń zajmowały meble: łóżko, komoda, nocny stolik.

Doszedłszy do wniosku, że coś mu się przywidziało, Daniel zakopał się głębiej w pościeli. Od jakże dawna nie zażywał rozkoszy długiego wylegiwania się w łóżku! Pośni sobie jeszcze chwilkę.

Znów usłyszał stłumiony chichot. I poczuł raz jeszcze, że jest obserwowany.

Od zbyt. dawna nauczył się polegać na swym instynkcie, by teraz po raz drugi zlekceważyć ostrzeżenie. Przez cieniutką szparkę między powiekami rozejrzał się znów po pokoju, tym razem dokładniej. Żelazne łóżko, różowo-zielona tapeta w kwiatki, wykrochmalone siatkowe firanki, stara dębowa komoda, zwykłe lustro w srebrnej ramce...

Lustro!

Znów się rozległ piskliwy śmiech.

Udając śpiącego, Daniel spod przymkniętych powiek patrzył na lustro. Wisiało krzywo. Na ścianie tuż za nim była spora dziurka.

Gdy na jego oczach lustro przesunęło się na dawne miejsce przy akompaniamencie cichych okrzyków i pisków, Crocker zrozumiał, że przyłapał podglądacza na gorącym uczynku.

Omiał nie gwizdnąć! Wygramolił się z łóżka, owinał biodra kołdrą i wybiegł na korytarz. Zamierzał przyłapać winowajcę - lub winowajców - w sąsiadującej z jego pokojem sypialni chłopców. Zrobił jednak tylko kilka kroków, gdy drzwi po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się i wyszła z nich Susan.

Zaskoczona para wpadła na siebie z impetem. Daniel wyciągnął rękę, by podtrzymać Susan, ale wówczas kołdra zaczęła się niepokojąco osuwać... Chwyił ją gorączkowo, by zapobiec katastrofie. Ten gwałtowny ruch uświadomił Susan, że jej przyjaciel jest kompletnie nagi.

Zrobiła wielkie oczy, a Daniel poczuł, że spiekł raka.

- Przepraszam... Nie chciałem... To znaczy... nie miałem pojęcia...

- Widzę. - Pogrzebała w torebce i wyjęła butelkę z lekarstwem. - Wystarałam się o drugą porcję.

Skrzywił się.

- Mówiłem ci, że wcale tego nie potrzebuję!

- Ale weź!

Chwycił flaszeczkę, wpadł do swego pokoju i trzasnął drzwiami.

Susan gapiła się w osłupieniu na zamknięte drzwi. Zamroczyło ją nie tyle zderzenie z Danielem, co jego zaskakujący rumieniec.

Drzwi sypialni chłopców uchyliły się z piskiem. Susan uniosła w zdumieniu brew, dostrzegłszy w nich głowę dziewczynki wyglądającej na korytarz. Ujrzawszy Susan, dziecko pośpiesznie zamknęło drzwi.

Czując, że smarkacze coś knują, Susan postanowiła stawić im czoła.

- Co tu się dzieje, na litość boską?! - spytała, wchodząc do pokoju. Odpowiedziały jej podejrzanie niewinne spojrzenia sześciorga sierot różnej tuszy, wzrostu i płci, które siedziały jak trusie na najdalszym łóżku.

- Nic - odparło jedno z dzieci z anielskim uśmiechem.

Wiedząc, że nie wydobędzie z nich prawdy (przynajmniej na razie), Susan mówiła dalej:

- Pani Essie kazała wam to powtórzyć: wkładać buty, kapelusze, płaszcze - i jazda do szkoły! A zaraz po ostatnim dzwonku macie być z powrotem, robota czeka!

Mamrocząc i utyskując pod nosem, dzieci niechętnie wyszły na korytarz. Susan skrzyżowała ręce na piersi i odprowadziła malców do drzwi. Udało jej się pochwycić nagłący szept jednego z chłopców:

- No już, płacić! Zerknięcie za centa.

Zerknięcie za centa?

Odwróciła się i rozejrzała po pokoju. Jakież to stworzenie uwieczniono w pudełku i wystawiano na pokaz jako specjalną atrakcję?... O ile mogła stwierdzić, w sypialni nie znajdowało się nic, co warto by było obejrzyć za centa.

Miała już wyjść, gdy dostrzegła pogniecioną pościel i przekrzywiony obrazek na ścianie. Automatycznie wygładziła kołdrę. Miała już wyprostować ramkę, gdy dostrzegła otwór wielkości ćwierćdolarówki. Na ścianie w gościnnym pokoju wisiało coś, co zakrywało dziurę z tamtej strony. Susan zmarszczyła czoło i pociągnęła za obrazek. Ku swemu zdumieniu przekonała się, że po szarpnięciu ramką w dół przeszkoda po drugiej stronie znika.

Ale chytra sztuczka! Te diablęta podglądały wszystkich gości od... od Bóg wie kiedy!

Susan zbyła wzruszeniem ramion szczenięce grzeszki. A jednak pokusa, by choć raz samej popatrzeć, wkradła się jej do mózgu i bezczelnie ją napaściowała jak rozpieszczony kot. Susan wiedziała, że nie powinna tego robić. Wiedziała, jakie to niewłaściwe. Ale nie mogła się oprzeć.

Mimo że sypialnia chłopców była pusta, obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest sama. Potem przytknęła oko do dziury w ścianie.

Matko Boska!... Wszyscy święci!... Leżał tam, jak go Pan Bóg stworzył!... Szerokie ramiona, smukłe biodra, sprężyste pośladki, muskularne uda...

Susan zbladła i odskoczyła. Ale obraz Daniela - wysokiego, atletycznie zbudowanego, imponującego w swojej nagości - utrwalił się w jej mózgu. Z dziwnym fatalizmem pojęła, że *musi* popatrzeć jeszcze raz.

Znów zerknęła przez dziurę. Tym razem ujrzała nie nagie męskie ciało, ale stalowoniebieskie oko patrzące wprost na nią.

Pisnęła ze zdumienia, z trzaskiem opuściła obraz na miejsce, podkasła spódnicę i wybiegła z pokoju.

Niski, triumfalny śmiech gonił ją aż do kuchni.

Ubrawszy się, Daniel wyjął lekarstwo, sypnął przepisaną ilość proszku do kubka z wodą, wypił jeden łyk, skrzywił się i zmierzył okiem gorzkie paskudztwo.

Nie czuł się aż tak chory, by pić to świństwo. W dodatku, psiakrew, to lekarstwo maściło mu w głowie i strasznie go osłabiało. Doszedłszy do wniosku, że woli cierpieć ból, niż znosić skutki tej kuracji, ukrył buteleczkę w jukach. Nie zaszkodzi mieć coś takiego pod ręką, gdyby znowu od kogoś oberwał.

Przez cały dzień raz po raz wzywano go do pomocy. Przygotowania do zjazdu były w pełnym toku. Najpierw wraz z Donovanem znosił z poddasza zapasowe łóżka, które tam przechowywano. Potem uprzątnął część mebli z salonu, żeby było dość miejsca na tańce. Następnie we dwóch zaciągnęli te niepotrzebne graty do stajni i wwindowali na stryżek.

Daniel pracował przez całe popołudnie, pokrzepiając się niebiańskimi zapachami dolatującymi z kuchni. Es-sie zajęta była pieczeniem, a Susan krzątała się po całym domu, doglądając wszelkich prac i pomagając dzieciom zdobić drzwi i okna gałązkami sośniny, czerwonymi kokardkami, pękami suszonych kwiatów. Unikała jakiegokolwiek kontaktu z Danielem. Uśmiechał się od ucha do ucha, przypominając sobie powód tej rezerwy. Napatrzywszy się nań do syta, była pewnie zbyt zażenowana, by stanąć z nim twarzą w twarz.

Trochę po drugiej przygalopował do sierocińca jeździec, który chciał się koniecznie zobaczyć z Esther Reed.

- W aptece pana Gibby'ego wybuchł pożar, a on sam strasznie się poparzył! - wyjaśniał Essie młody człowiek. - Doktor Patterson pojechał do Fullertonów, nie wróci przed zmrokiem. Liczymy na pani pomoc.

Esther podczas wojny opatrywała niezliczonych rannych. Przywykła do tego, że w nagłych wypadkach wzywano ją do miasta. Szybko spakowała wszystko, co mogło się przydać, i wsiadła na konia, którego Daniel dla niej osiodłał.

- Musicie sami przygotować kolację. Postaram się wrócić jak najszybciej. Susan, dopilnuj, żeby Donovan i chłopcy zrobili wszystko, co mieli na dziś wyznaczone.

Susan skinęła głową, pochwyciła spojrzenie Daniela i zarumieniła się. Uniósłszy spódnicę, wbiegła do domu.

O piątej mężczyźni i chłopcy posilili się zimnym mięsem i wielkimi pajdami kukurydzianego chleba, z dodatkiem różnych smakowitych kąsków, które Susan podsuwała im ze słowami: - Spróbuj, czy nie za mało melasy... Zobacz, czy dość pikantne.

Po obiedzie Daniel zauważył, że kilku starszych chłopców zniknęło w tajemniczy sposób. Uniósł brew i spojrzał na Donovana. Ten szepnął mu:

- Bierz dywan i do zobaczenia w stajni, na stryszku!

Ciekaw, co się tam dzieje, Daniel chwycił zwinięty chodnik i udał się na strych. Był zawalony meblami. Ani śladu Donovana i chłopców.

- Pssst! Tutaj!

Jeden z podrostków wyrwał zza barykady. Daniel odłożył dywan i ruszył w tamtym kierunku. Znalazł-

szy się po drugiej stronie, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Donovan i trzej najstarsi chłopcy rozpierali się na materacach. Na ściereczce pomiędzy nimi leżały dwa bochenki chleba, torba rodzyneków, kupka orzechów włoskich i pół tuzina wielkich, kwaskowych ciagutek domowej roboty.

- Najwyższy czas odpocząć od tych wszystkich babskich fanaberii - oświadczył Donovan z łobuzerskim uśmiechem. - Siadaj, Danielu, i tasuj karty.

Zdążyli rozegrać tylko parę robrów, gdy usłyszeli jakiś ruch na dole. Donovan przytknął palec do ust, nakazując wszystkim milczenie.

- Wiem, że tam jesteście!

Jeden z chłopców skrzywił się i rzucił karty.

- Pani Essie wyraźnie powiedziała, co macie zrobić do jej powrotu.

Mężczyźni popatrzyli po sobie z namysłem.

- Cała piątka!

- Psiakrew! - mruknął Donovan.

- Niebawem się ściemni, potrzeba nam więcej sosnowych gałęzi i drewna na opał. I ktoś powinien zabrać się do sprzątanía stajni, bo przecież tu mamy zorganizować gry i zabawy.

- Wchodzę w te sosnowe gałęzie - rzucił wyzywająco jeden z chłopców, chowając pokazną wygraną. Dwaj kumple poszli za jego przykładem.

- Chwileczkę!... - Donovan cisnął karty i chwycił kapelus. Odwracając się do Daniela, oświadczył: - Coś mi wygląda na to, że ty się zajmiesz stajnią.

-Ja?!

Donovan uśmiechnął się szeroko.

- Ten sprząta, kto przegrywa. - Schował swoją wy-

graną, pozostawiając Danielowi kilka nędznych rodzynków i jedną czy dwie ciagutki.

- Danielu!... - Cichy szept Susan brzmiał jak subtelne zaproszenie - i to bynajmniej nie do sprzątanía stajni! - Danielu, znajdę kogoś, kto się tym zajmie. Rana z pewnością ci dokucza. Zawołam jednego z chłopców...

- Już schodzę. - Wetknął do kieszeni „żetony” domowej roboty i zszedł po drabinie. Kiedy się odwrócił do Susan, poczerwieniała jak dojrzały pomidor. Zaczęła cofać się w stronę drzwi.

- Powinieneś wypoczywać... Może będzie lepiej...

- Nie jestem aż tak chory.

- Weź najpierw lekarstwo.

- Później.

- Danielu...

- Później.

Postępował za nią, ona się cofała i w końcu przyparła ją do ściany w pierwszym boksie. Gdy próbowała przemknąć się obok niego, złapał ją za łokieć. Ten przelotny dotyk wywołał rój wspomnień u każdego z nich.

- Unikasz mnie.

Zauważył, że Susan boi się na niego spojrzeć.

- Wcale nie, ja...

- Właśnie że unikasz. I to nie od dziś. Od dawna prawie się do mnie nie odzywasz. - Ujął ją za drugie ramię i odwrócił twarzą ku sobie. - Dlaczego?

Podniosła rękę do włosów w dobrze mu znanym geście; nie znalazła jednak żadnego kosmyczka, który mogłaby poprawić. Bezlitośnie odgarnęła przeciw wszystkie włosy do tyłu i schowała pod czarnym szalem.

- Byłam zajęta.

- Nie aż tak.

Cofnęła się o krok.

- Muszę już iść... przebrać się. Włożyć roboczy fartuch.
Puścił ją z żalem.

- W porządku. Jeśli wolisz chować głowę w piasek,
żeby nie widzieć, co się z nami dzieje...

Odwróciła się raptownie, pełna oburzenia.

- Wcale nie chowam głowy w piasek!

Wezbrał w nim gniew.

- No więc jak to określisz? Do diabła, Susan! Ja
też się głupio czuję w tej sytuacji. Ale coś się z nami
dzieje, i już!

- Nie!

- Tak! - Objął jej głowę dłońmi. Nie był to czuły
gest. - Dobrze wiem, że i ty to czujesz.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Niech to wszyscy diabli, Susan! Namiętność to
nie grzech!

- Owszem, grzech - dla kogoś, kto złożył śluby
czystości.

- Ty jeszcze ich nie złożyłaś.

- Ale złożę.

Na tę stanowczą odpowiedź furia błysnęła w oczach
Daniela.

- Czemu się tak przy tym upierasz?! Jesteś głucha
na głos rozsądku! Nie chcesz nawet słyszeć o innym
rozwiązaniu!

Zorientował się, że ugodził ją w bolące miejsce. Su-
san wyrwała mu się. Poczzerwieniała tak mocno...
z pewnością dręczyło ją poczucie winy. Dostrzegł też
znane mu już objawy paniki.

- Muszę złożyć te śluby, Danielu! *Muszę!*

- Dlaczego?... Jakież to winy chcesz odpokutować?
Czy mogłaś popełnić coś tak strasznego, żebyś mu-
siała to okupić całym życiem?!

Próbowała umknąć, ale chwycił ją w tali i przyciągnął do siebie. Uniemożliwiając jej ucieczkę, przytulił ją mocno i odchyliwszy jej głowę do tyłu, spadł ustami na jej usta.

Stała przez chwilę bez ruchu, w kompletnej ciszy. Potem odwzajemniła pocałunek.

Daniel czuł narastające w łędźwiach pożądanie. Susan nie uświadamiała sobie, jak bardzo jej niewinność i bezbronność roznamiętniały go - choć rozsądek nakazywał ostrożność. Kiedy jej palce zacisnęły się na jego ramionach, a ich piersi przylgnęły do siebie, przestał myśleć. Potrafił już tylko czuć.

Unióśł ją do góry tak, że nie dotykała stopami ziemi, cofnął się wraz z nią do boksu, przycisnął z całej siły biodra do jej bioder. Próbował wtargnąć językiem do wnętrza jej ust.

Kiedy uparcie zaciskała zęby, odsunął się lekko.

- Proszę cię, Susan. Pozwól mi skosztować, jaka jesteś słodka.

Z jej gardła wydobył się zdławiony jęk, ale spełniła jego prośbę. Całował ją zachłannie, rozkoszując się jej smakiem i dotykiem.

Susan zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego z całej siły.

Ręce Daniela sunęły po jej plecach, wzdłuż jej kręgosłupa. Uczył się na pamięć jej smukłych kształtów. Rozkoszował się świeżym zapachem jej skóry. I nagle, gdy łudził się już, że przełamał mur broniący dostępu do jej serca i zmysłów, Susan zeszywniała - tak nieoczekiwanie, tak całkowicie, że pojął, iż przeciągnął strunę.

W ułamku sekundy przeobraziła się w przerażone zwierzę, zaczęła się wrywać, próbowała kopnąć go w pachwinę.

- Do diabła... Susan, przestań!

Jej szkliste zielone oczy pociemniały tak, że stały się prawie czarne. Daniel spostrzegł, że tym razem oprócz trwogi i paniki dręczy ją straszliwe poczucie winy.

Cholera!... Przez całe życie wszyscy Susan chronili i osłaniali, a on nawet mianował się jej głównym obrońcą. Miał nadzieję, że sama wydobędzie się ze swego więzienia... Ale tak się nie stało. Zasyłała się jeszcze głębiej w swój bezpieczny kokon.

Daniel przegarnął palcami włosy. Męczyły go te nieustanne ucieczki Susan - nie tylko od niego, ale od rzeczywistości. Choćby teraz: drżała na całym ciele i patrzyła na niego z takim przerażeniem, jakby zmienił się w potwora. Przecież ją tylko pocałował, do diabła!

Przecież nie urodziła się taka. Była namiętna z natury. Powinna zakosztować wszelkich rozkoszy i uroków tego świata. Nie znajdzie szczęścia w klasztorze - odcięta od życia, od miłości.

Daniel zbliżył się o krok i wymierzył w Susan oskarżycielsko palec.

- Jeśli złożysz śluby, okłamiesz i Boga, i siebie! - ostrzegł ją. - Przecież ty pragniesz czegoś więcej! Możesz się do tego nie przyznawać, ale pragniesz *więcej!*

Spojrzała na niego wrogo i nic nie odpowiedziała. Cóż mogła mu odpowiedzieć?... Najwyżej przyznać rację.

Tym razem Daniel pierwszy odwrócił się i odszedł.

Jak on śmiał! Jak *on śmiał!*

Susan pomaszerowała do stajni z zamiarem odnalezienia Daniela i nawymyślenia mu ile wlezie. Zrobiła jednak zaledwie kilka kroków i zatrzymała się.

Cóż mogła mu powiedzieć?... Przecież miał rację! Rzeczywiście pragnęła czegoś więcej.

Przytłoczyło ją poczucie winy. Jak mogła dopuścić do tego, by jej pobożność osłabła?... Jak mogła zlekceważyć nakazy boże i słuchać rad człowieka... Daniela?

Wątpliwości walczyły w niej z poczuciem obowiązku, co w konsekwencji prowadziło do samooskarżeń. Pobiegła na tyły stajni i osiodłała jedną z kłaczy. Nie tracąc czasu na dopasowanie strzemion, skoczyła na koński grzbiet i pognała po śniegu, omijając wydeptane szlaki i zapuszczając się w tonącą w puchu śnieżnym dolinę i pomiędzy kępy wysokich sosen.

Daniel stał w kuchni przy oknie; wyglądał przez nie, czekając, aż wreszcie Susan odszuka go i wyzna, że odzyskała rozum. Przecież nie skoczyła mu do oczu w przystępie gniewu!... Nie wróciła jednak do niego. W chwili gdy ujrzał, jak opuszcza galopem stajnię, pojął, że jeszcze raz przeliczył się w swoich rachubach.

Psiakrew! Kiedy się wreszcie nauczy, że ta kobieta

jest nieobliczalna?! Czy nie lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi?...

Wrócił do swojej sypialni, zabrał strzelbę i kurtkę z cielęcej skóry. Potem przypomniawszy sobie, że Susan wyjechała w samym swetrze, wpadł do jej pokoju i chwycił obszerną czarną pelerynę zwisającą z poręczy fotela na biegunach. Klnąc pod nosem, ruszył w pościg za Susan. Miał nadzieję, że nie zapuściła się tak daleko ani nie pędziła w takim tempie, żeby musiał jej szukać całe popołudnie.

Susan nie wiedziała sama, dokąd jedzie, póki nie dotarła do celu. Jej wierzchowiec drżał i sapał, gdy ściągnęła cugle i zatrzymała się przed wysokim kamiennym murem, otaczającym klasztor pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego.

Wróciła w kościelne mury, w których zawsze czuła się swojsko i bezpiecznie. Nie liczył się zresztą sam budynek, tylko ludzie w jego wnętrzu. Siostry zakonne zaakceptowały Susan mimo jej braków i zawsze troszczyły się o jej dobro.

Zsunęła się z siodła i uniósłszy spódnicę, by nie unurzały się w wysokim śniegu, potykając się i ślizgając, brnęła w stronę głównej furty. Pociągnęła za sznur od dzwonka, by wezwać którąś z sióstr.

Szelest habitu dotarł do uszu Susan o wiele wcześniej, nim owinięta płaszczem postać ukazała się na oblodzonym dziedzińcu wewnętrznym, by odpowiedzieć na jej wezwanie.

- Kto tam?

- Muszę się zobaczyć z siostrą Mary Margaret. -
Dopiero wypowiedziawszy te słowa, uświadomiła sobie, że w tym zakonie obowiązywała bardzo ścisła re-

guła. Poza niezbyt częstymi kontaktami z urszulankami siostry od Najświętszego Serca wyjątkowo rzadko stykały się z osobami z zewnątrz.

Może strój nowicjuszki, a może jej zrozpaczona twarz przemogły jednak wątpliwości furtianki. Skłoniła głowę i wpuściła dziewczynę do środka.

Żelazna furta zaprotestowała przeraźliwym skrzypnięciem; był to najlepszy dowód, że tylko nielicznym pozwalano tu wejść, z tych zaś większość nigdy już stąd nie wychodziła. Susan wpatrywała się w dygoczącą metalową płytę, która znieruchomiała dopiero wówczas, gdy znów ją zamknięto. Powtarzała sobie, że tu jest jej miejsce. *Obowiązek* jej nakazuje pozostać w klasztorze. Nie może pozwolić, by Daniel słodką pokusą zawrócił ją z raz obranej drogi. Czuła jednak nieznośny ucisk w sercu; miała ochotę rzucić się na zabezpieczoną szpikulcami furtę i trząść nią tak długo, aż się otworzy i pozwoli jej wydostać się na zewnątrz, na zalane słońcem śnieżne pole.

Słodko uśmiechnięta siostra czekała, by poprowadzić gościa dalej. Susan pospieszyła za nią przez klasztorny dziedziniec. Nie zamieniły ze sobą ani słowa. Mniszka wprowadziła ją przez łukowato sklepione wejście do klasztorного budynku z piaskowca. Minęły podwójne masywne drzwi. Wreszcie ich przemoczone buty zaszurały po kamiennej posadzce korytarza.

Nastrój klasztornej powagi spowodował, że zupełnie odruchowo Susan zwolniła kroku. Wyprostowała się i przyjęła pełną godności postawę, która tak ją zachwyciła u zakonnic w Akademii Świętego Franciszka. Skrzyżowała ramiona i ukryła dłonie w szerokich rękawach.

Tak, jej miejsce było właśnie tu!

... Czy rzeczywiście?...

Nie wiedziała, co ma powiedzieć siostrze Mary Margaret, kiedy się z nią zobaczy. Nie wiedziała, po co tu przyszła. Wyznać swe grzechy?... Zapewnić o swym niezmiennym postanowieniu?... Szukać ucieczki?...

Poczucie winy stawało się coraz silniejsze, coraz bardziej gorzkie. Nie powinna była tu przyjeżdżać, nie pojednawszy się przedtem z Bogiem i nie odzyskawszy wewnętrznego spokoju. Była pewna, że kłujące się w niej wątpliwości rozproszą się, gdy tylko Daniel znów zniknie z jej życia, a ona wróci do Akademii Świętego Franciszka. „Jeśli tam wrócisz!” odezwał się w niej jakiś szyderyczy głosik.

- Jesteśmy na miejscu. - Słowa zakonnicy brzmiały ledwie dosłyszalnie. - Proszę tu poczekać. Zawiadomię siostrę Mary Margaret o pani przybyciu.

Przewodniczka zniknęła za ciężkimi dębowymi drzwiami, pozostawiając Susan na korytarzu. Poczuli się jak niegrzeczne dziecko, które coś przeskrobało i zostało wezwane przed oblicze dyrektora... Przecież nie zrobiła nic złego, prawda?...

Ależ zrobiła. Zrobiła! Pofolgowała swej grzesznej słabości. Znalazła rozkosz w ramionach mężczyzny. Przywiązała się tak bardzo do Daniela, że nie mogła sobie wyobrazić nawet jednego dnia bez niego... A cóż dopiero całych lat za murami klasztoru!

Serce jej bilo na alarm. Chciała uciec stąd, nabrać w płuca jak najwięcej powietrza... Ukryć swój wstyd w najciemniejszym zakątku klasztoru.

- Siostra Mary Margaret prosi.

Susan drgnęła. Nawet nie dostrzegła, że malutka zakonnica powróciła.

- Dziękuję, siostró.

Z wahaniem weszła do skromnej izdebki z drewna i kamienia. Nie było w niej nic prócz twardego łóżka i krucyfiksu. Już zapomniała, jak puste bywają cele zakonnice.

Drzwi zamknęły się za nią. Stała nie wiedząc, co robić: siostra Mary Margaret klęczała na podłodze i modliła się. Widocznie wyczuła jednak jej obecność, bo przeżegnała się i podniosła z klęcezek.

Na twarzy zakonnicy pojawił się serdeczny uśmiech.

- Domyśliłam się, że to ty, kiedy mi oznajmiono, że mam gościa. - W oczach jej błysnęło rozbawienie. - Daniel z pewnością nie zameldowałby się oficjalnie przy furcie!

- Daniel?... - O ile Susan mogła sobie przypomnieć, siostra Mary Margaret i Daniel spotkali się tylko raz, w dniu ukończenia przez nią klasztornej szkoły. Zauważyła wówczas, że tych dwoje od razu poczuło się swobodnie w swoim towarzystwie. Nigdy jednak nie przypuszczała, że po tylu latach zakonnica pamięta jeszcze jej przyjaciela.

- Nieważne. Powiedz mi, co cię tu sprowadza. Do zjazdu dawnych wychowanków jeszcze dwa tygodnie, prawda?

Susan skinęła głową.

- Tak. Wszystkie przygotowania idą całkiem dobrze. Znosi się na wielką uroczystość. Pomagałam przy dekorowaniu stajni, gdzie będą organizowane gry i zabawy dla dzieci. I przy pieczeniu różnych smaczków i... - Urwała w środku zdania. Przecież nie przyjechała tu na takie pogawędki! Nie wiedziała jednak, co mówić ani co robić, zwłaszcza że siostra Mary Margaret zawsze umiała wyczuć najmniejszą nieszczerłość.

Jakże więc mogła szukać u niej potwierdzenia swego zakonnego powołania, jeśli sama nie była już pewna, czy pragnie takiego losu?...

Siostra Mary Margaret przysiadła na skraju łóżka i wskazała jej miejsce obok siebie.

- Powiedz mi, co cię tak dręczy.

Susan opadła na siennik, znów się zerwała i podbiegła do okna. Zapatrzyła się na dziedziniec i grę niebiesko-czarnych cieni na kamiennych ścianach i śniegu. W klasztorze wszystkie barwy były jakby przytłumione: okalający go wysoki mur nie dopuszczał wiele słońca. A jednak ileż tu było spokoju, jaka cisza.

Ale jak długo wytrzymałaby w tej klatce?...

W klatce?! A więc pobyt w klasztorze był dla niej więzieniem?... Jeśli tak, to widać wcale nie chciała służyć Bogu, tylko ukryć się przed światem! Właśnie to wytknął jej Daniel.

Przecież *musi* zostać w klasztorze! Przez całe życie wiedziała, że ma służyć Bogu. Ciężył na niej dług, który domagał się spłacenia. Była pogodzona z losem.

Póki Daniel nie wtargnął znów w jej życie.

- O cóż więc chodzi, Susan?

- Ja tylko... - Potarła oszronioną szybę. Widziała, że siostra Mary Margaret bacznie ją obserwuje, ale nadal nie miała pojęcia, od czego zacząć.

- Opowiedz mi o wszystkim. To ci powinno ulżyć.

Gdy nadal milczała, zakonnica westchnęła i dała jej znak, by podeszła do łóżka. Susan posłuchała i uklękła na twardym kamieniu.

- Umie przekonywać, co?

- Kto taki?

- Daniel. - Mary Margaret uniosła brodę Susan, by widzieć jej twarz. - No, powiedz mi, moja droga: cóż

on takiego uczynił, że jesteś aż tak zmieszana, nie-
szczęśliwa... i pełna życia?

- Pełna życia?... - szepnęła Susan.

Pełna życia.

Objawienie spłynęło na Susan bez niezwykłych efektów, jak ryk trąb Sądu Ostatecznego czy płonący krzew Mojżesza. Coś, co tkwiło dotąd w jej wnętrzu, nagle rozsypało się w proch i rozwiało w powietrzu. Poczucie winy zaczęło uciekać z niej jak piasek z klepsydry. Poczwała się dziwnie lekka i słaba. Spojrzawszy na siostrę Mary Margaret, Susan odniosła wrażenie, że zdjęto jej z oczu gęstą zasłonę. Nagle uświadomiła sobie w pełni piękność tej kobiety, wdzięczną grę światła i cieni w izdebce, brylantowe błyski słońca na szybach.

Od iluż lat wmawiała sobie, że czuje prawdziwe powołanie?... Teraz patrząc na to z dystansem, widziała, że wszystko było kłamstwem. Nie pełniła służby w klasztorze w imię miłości, radując się nią. Była jak dziecko, wykonujące opieszale niemiłe zadania. Zapomniała, że w życiu prócz bólu istnieje także radość.

Nie była stworzona do klasztoru. Nie była!

Mary Margaret dotknęła zimnej skóry Susan.

- Nie wrócisz razem ze mną do Świętego Franciszka.

Już otworzyła usta, by zaprotestować, ale pojęła, że kłamstwo nie zda się na nic.

- Nie wrócę. - Powiedziawszy to, od razu poczuła się lepiej. Pragnęła zwierzyć się ze wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ale jakże tu mówić zakonnicy o ciepłe czyjegoś ciała, o wilgotnych pocałunkach, o silnych męskich ramionach?... Jak mogła wytłumaczyć jej, że chce opuścić klasztor, by zażywać cielesnych rozkoszy?...

- Wspaniały z niego mężczyzna - podpowiedziała

siostra Mary Margaret, gdy Susan nadal milczała.

- Tak.

- I czujesz się przy nim...

- Cudownie! - Gdy to słowo wyrwało się z jej ust, nie była już w stanie powstrzymać swego entuzjazmu.

- Jemu na mnie zależy, siostrzo, naprawdę mu na mnie zależy! Dał mi tyle szczęścia! Kiedy jestem z nim, nie myślę o niczym, tylko się cieszę, że mam go przy sobie! Kiedy odchodzi, marzę o tym, by znów go zobaczyć! A gdy mnie całuje... - Urwała. Rozmawia przecież z *zakonnica!*... Ale siostra Mary Margaret uśmiechem zachęciła ją do dalszych zwierzeń. - Kiedy mnie całuje, czuję się tak, jakbym mogła pokonać cały świat!...

- Bo możesz.

- Nie! - Ogarnęła ją panika; straszne wspomnienia zaczęły znów odżywać w jej pamięci. - Nie, nie mogę!... - Objęła ramionami kolana zakonnicy i ukryła twarz w fałdach jej habitu. Cała radość obróciła się w popiół. - Nie mogę opuścić klasztoru, nie mogę!... Bóg by mnie skarał, gdybym to zrobiła!

Wierzchowiec Daniela galopował przez dolinę; bez trudu odnalazł wydeptany w śniegu trakt, wiodący od wrót sierocińca. Górskie zbocza otaczały jeźdźca zewsząd; w absolutnej ciszy zimowego dnia nawet posapywanie konia wydawało się dysonansem.

Co u licha strzeliło Susan do głowy, by zniknąć gdzieś w głuszy - i to bez uprzedzenia?! Powinna była przynajmniej wspomnieć komuś - *jemu!* - dokąd się wybiera!

Kiedy jednak Wódz zwolnił biegu, przemierzając śliskie, oblodzone koryto strumienia, Daniel uświadomił sobie, że Susan wcale nie miała obowiązku

opowiadać mu się, tym bardziej, że to jego porywczosć popchnęła ją do tego kroku.

Czemuż nie potrafił opanować swych zwierzęcych instynktów?! Czemuż nie okazał więcej wyrozumiałości, więcej dyplomacji?... Więcej współczucia?

Nie był godny takiej dziewczyny jak ona. Już dawno temu pożegnał się z nadzieją zdobycia kobiety tej miary co Susan. Obracał się w świecie morderców i desperatów. Występował co prawda w imieniu prawa, ale lepiej nie myśleć o tym, jak bardzo upodobał się do tych, których ścigał.

Gdy koń z trudem wspiął się po stromej skarpie, Daniela przeszył nagle ostry dreszcz: niebezpieczeństwo! Tak pograżył się w myślach, że nie zwracał uwagi na otoczenie. Żadna kobieta nie zdołała zabić w nim instynktu samozachowawczego!... Do dziś.

Gdy wyjechał na polankę i zauważył, że zbliża się do niego jakiś jeździec, uświadomił sobie w pełni własne szaleństwo. Wkrótce ukazali się dwaj inni: z lewej i z prawej. Osaczali go i nie miał najmniejszych wątpliwości: postanowili go zatrzymać.

Strach chwycił go za gardło. Jeśli tak łatwo natrafili na niego, z pewnością dostrzegli także Susan. Połapali się bez trudu, że Daniel jedzie za nią.

Gniew rozżarzył się w nim do białości. Gwałtownie zawrócił konia, chcąc zmylić trop i odciągnąć tych ludzi od Susan. Z przerażeniem spostrzegł z tyłu jeszcze pół tuzina konnych.

Strzelba sama wskoczyła mu do ręki. Pochylił się nisko nad końskim karkiem, przeklinając się w duchu za to, że wystarczyło zaledwie kilka dni spędzonych w towarzystwie kobiety, by kompletnie zapomniał o ostrożności.

- Crocker! - Zabrzmiało to jak świst bicza. Krąg napastników zatrzymał się w odległości co najmniej pięćdziesięciu jardów - wystarczająco daleko, by opatulone w zimową odzież postacie pozostały dlań anonimowe, ale też wystarczająco blisko, by on był dla nich łatwym celem.

Z wprawą, nabytą w ciągu lat podobnych przygód, Daniel namierzył przywódcę bandy i podniósł broń.

- Daniel, do cholery! Nie poznajesz swoich?!

Zgrzytliwy głos i charakterystyczny ruch jeźdźca, który uchylił się w bok i przylgnął do szyi swego konia, by usunąć się z linii strzału, zdołały przeniknąć przez gęstą mgłę do mózgu Crockera. Nie pociągnął za spust. Napięcie osłabło w nim równie szybko, jak się pojawiło.

- Braxton, skurczybyku! Czemu się, do cholery, na mnie czaisz ze swoimi ludźmi, jak banda rzezimieszków?!

Widząc, że Daniel zniżył broń, pinkerton wyprostował się, zsunął kapelusz na tył głowy i otarł pot z czoła.

- Ja się *czaję*? Stado bawołów mogłoby cię gonić, a ty byś tego nie zauważył! - Braxton skinął na pozostałych i wszyscy podjechali bliżej.

Daniel patrzył na tego bezzębnego, chudego facecika niemal z przyjemnością. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nieraz pracował z Braxtonem Hillem i większością towarzyszących mu mężczyzn. Łączyła ich niezwykle więź, może nawet silniejsza od przyjaźni, ale pozwalająca zachować zimną krew w chwili, gdy któryś z nich ginął w akcji.

Braxton parsknął śmiechem.

- Widziałem dzierlatkę, za którą goniłeś, Danielu!

Dobrze wiesz, że nie mówię o ptaszkach!... Nie dziwię się, że ci padło na mózg.

Danielowi cisnęło się już na usta ostrzegawcze: „Wara od mojego!”, ale pinkerton jeszcze nie skończył.

- Mam dla ciebie wiadomość od Kuttera. Chce się z tobą zobaczyć. I to już.

- Kutter? - Crocker zmarszczył brwi i popatrzył jeszcze raz na otaczających go mężczyzn. Same asy z sześciu zachodnich okręgów! - Co tu jest grane, u diabła?!

Mężczyźni popatrzyli po sobie z zakłopotaniem, ale żaden nie rwał się do odpowiedzi.

- Kutter czeka za rozgałęzieniem torów koło Munster, w tej szopie, z której korzystaliśmy w zeszłym roku - ciągnął Braxton, tak jakby Daniel w ogóle się nie odezwał. - Chętnie cię tam odstawimy.

Daniel spojrzął na nich spode łba.

- Jestem na urlopie!

Braxton zastanowił się, przerzucił językiem prymkę pod drugi policzek i splunął na ziemię.

- Może jesteś, a może nie jesteś - mruknął tajemniczo. - Zgłoś się do starego jak najszybciej. Już mi się przejadły jego gderania i jęki. - Nachylił się do Crockera i szepnął poufnie: - I szkoda mi czasu na uganianie się po sierocińcach, więc zostawmy twoje uboczne działania... na boku.

Rad z tego, że tak mu się zręcznie powiedziało, pinkerton zasalutował dwoma palcami.

- W porządku, chłopaki, już nas tu nie ma! Zostało jeszcze to i owo do zrobienia przed zachodem słońca!

Zastęp pinkertonów ruszył kłusem. Pozostały po nich tylko ślady na śniegu i uczucie dziwnego niepokoj.

Znów zimowa cisza otoczyła Daniela. Myślał o latach harówki, o znoju wiecznej tułaczki. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że nie tylko Susan zaczęła wydobywać się ze swej skorupy. Tak skoncentrował się na *jej* uczuciach, *jej* lękach, że nie zauważył, iż dziewczyna przedarła się przez *jego* bariery ochronne.

Strzelba wysunęła się ze zdrętwiałych palców i wyładowała w bocznym futerale. To nie styczniowy mróz pozbawił go mocy, tylko niesamowity, przytłaczający strach. Nie zdając sobie z tego sprawy, popełnił karygodny błąd: pozwolił sobie na uczucia osobiste!...

Wpatrując się zmrużonymi oczyma w gasnące blaski słońca na śniegu, Daniel usiłował zwalczyć ogarniającą go panikę. Jego uczucia do Susan stały się zbyt silne, zbyt gwałtowne; ze strachem myślał o konsekwencjach. Przecież nie mogli się ze sobą związać. Pragnął, rzecz jasna, by Susan należała do niego... ale nie jak cacko, które można trzymać gdzieś w ukryciu i zaglądać do niego wówczas, gdy przyjdzie na to ochota. Przypominała raczej kwiat, wymagający nieustannej, troskliwej opieki. Zasługiwała na prawdziwy dom i oddanego męża.

Gwałtowne pragnienie, by dać jej ten dom, zostać jej mężem, poraziło Daniela jak nagły cios w brzuch. Przez sekundę chciał rzucić dla Susan wszystko, przejść do cywila, zacząć normalne życie. Mógłby się z nią ożenić, zamieszkaliby w domu za Przełęczą Trapera, pracowałby za dwoje... Mieliby kurczęta, mleczne krowy, kaczki... Nosiłby jej wodę, ona by mu gotowała...

Ale były to tylko złudne marzenia. Wątpił, by mogły się kiedyś ziścić. Od zbyt dawna był związany z Agencją Pinkertona, by tak łatwo się z tego wyplątać. Wcale zresztą nie wiadomo, czy taka bezbarw-

na egzystencja odpowiadałaby mu?... A Susan nie wytrzymałaby życia w jego bezlitosnym świecie. Zmariałaby jak stokrotka na mrozie.

Ogarnęło go dojmujące poczucie winy. Ich ukradkowe pieśczoły uderzyły mu do głowy jak mocne wino... I cóż uczynił najlepszego?! Na co skazał i ją, i siebie?... Rozbudził w Susan zmysły, zniszczył jej naiwną wiarę w to, że gdy wstąpi do klasztoru, skończą się wszystkie jej problemy. Nie pomyślał nawet o przyszłości. Dotychczasowe życie wycisnęło na nim zbyt mocne piętno, by mógł całkiem z nim zerwać. A w jego świecie nie było miejsca dla kobiety równie niewinnej.

Susan nie była stworzona do samotnego życia. Z czasem znajdzie sobie innego mężczyznę... Tylko jak on, Daniel, zdoła to przeżyć?...

Trącił konia piętami i ruszył równie szybko, jak przedtem. Może lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi?... Jeśli Susan wstąpi do klasztoru, będzie dla niego na zawsze stracona...

Ale też nikt inny jej nie dostanie!

Siostra Mary Margaret gładziła Susan po głowie, chcąc ją uspokoić. Ona jednak prawie tego nie czuła. Borykała się z płataniną uczuć, zatraciła się w ich gąszczu.

- Nie mogę opuścić klasztoru, siostro!

- Czy nie sądzisz, że Bóg zdecydował już o twoim losie? - Zakonnica uniosła palcem brodę Susan, zmuszając ją do podniesienia głowy. - Prawdziwe powołanie zdarza się bardzo rzadko. Właśnie dlatego ustanowiono nowicjat, by dziewczęta takie jak ty mogły poznać, co naprawdę kryje się w ich sercach. Nie złożyłaś jeszcze ostatecznych ślubów. To żadna

hańba odejść z klasztoru, jeśli Bóg ma wobec ciebie inne plany.

Siostra Mary Margaret uśmiechała się do niej... Nie wiedzieć czemu, ten uśmiech przywołał niejasne wspomnienie innej pięknej kobiety. Przed oczyma Susan zawirowały sceny z przeszłości.

Mamusiu!...

Uciekaj, Susan!

Widać rozpłakała się, bo dłonie siostry Mary Margaret objęły jej policzki, a kciuki delikatnie ocierały płynące po nich łzy.

- Zapomnij o tym, Susan. Bóg wcale nie żąda od ciebie, byś przez całe życie pokutowała za tragedię z przeszłości. Zapomnij!

Te słowa przejęły Susan do głębi. Istotnie, traktowała swą służbę w Akademii Świętego Franciszka jako karę, którą dobrowolnie sobie wymierzała. I za co?... Za coś, co wydarzyło się we wczesnym dzieciństwie?... Za straszny wypadek?...

- Nie żałuję, że mogłam służyć razem z siostrami.

- Nie żałuj więc i tego, że je opuszczasz, gdy przyszedł na to czas. - Zakonnica wyciągnęła ręce i przygarnęła dziewczynę do siebie, obejmując ją ramionami pachnącymi wełną i mydłem, różą i leśnymi ziołami. Susan usiłowała powstrzymać łzy, ale wymykały się spod rzęs, zostawiając srebrzysty ślad na policzkach.

- Co ja teraz pocznę? - Zdołała wykrztusić przez zaciśnięte gardło. - Nie ma przecież dla mnie miejsca w normalnym świecie!

Siostra Mary Margaret znów uniosła jej twarz ku górze.

- Ależ jest! Czy tego nie pojmujesz?... To Bóg wyznaczył ci inne zadanie, z dala od klasztornych murów.

To On wytyczył ci drogę. Musisz tylko zdobyć się na odwagę i zrobić pierwszy krok. - Ujęła zimne ręce Susan. - Czy wiesz, że kiedy przybyłaś do Akademii Świętego Franciszka, ja akurat zaczynałam mój nowicjat?

Susan potrząsnęła głową.

- Przedtem byłam uczennicą w Akademii... i doprowadzałam biedne siostry do szaleństwa!... Matka wysłała mnie na klasztorną pensję dopiero wówczas, gdy skończyłam czternaście lat, więc byłam o wiele starsza od innych dziewcząt. Byłam też dzika, zbuntowana i pełna urazy do całego świata. Uważałam Akademię Świętego Franciszka za najgorszą, zabita deskami dziurę, w której muszę zostać, dopóki matka nie przypomni sobie o mnie i nie zabierze mnie z powrotem. Walczyłam dosłownie z każdym!... Uciekałam nawet przez mur i znikałam na całe dni w mieście. - Uśmiechnęła się gorzko. - W ciągu tych zwariowanych lat złamałam chyba wszystkie boskie przykazania!...

Susan nie mogła sobie wyobrazić, by siostra Mary Margaret skrzywdziła choćby muchę, a co dopiero złamała któreś z przykazań!... Zrobiła wielkie oczy ze zdumienia.

- A potem zjawił się u mnie pewien przyjaciel. Uciekł od swoich opiekunów i potrzebował schronienia. Miałam wówczas dwadzieścia lat. Czułam się sponiewierana i zbrukana, ale koniecznie chciałam udowodnić mu, jaka jestem doświadczona, pozbawiona przesądów... Chciałam go pewnie zaszokować.

- I zaszokowała go siostra?

- Jeśli nawet tak było, to nigdy tego nie okazał. - Oczy Mary Margaret zasnuły się mgiełką wspomnień. - Nie krytykował mnie, nie czynił mi nigdy wyrzutów... Czułam jednak, że rozczarował się co do

mnie. Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu ten młody chłopiec uznał, że potrzebuję pomocy. Zaczął przypominać mi dawno zapomniane prawdy: że posiadam nadal godność osobistą, że istnieją na tym świecie ludzie, którym na mnie zależy, że nie jestem z góry skazana na życie, które budzi we mnie wstręt. Wkrótce potem uświadomiłam sobie, że całe moje postępowanie było żałosnym wyścigiem: wyrzec się Boga, zanim On wyrzeknie się mnie!... I to, że rozpaczliwie pragnęłam wstąpić do zakonu.

Uspokajając dziewczynę łagodnym spojrzeniem, siostra Mary Margaret zaczęła rozplątywać gruby, czarny szal, omotany wokół głowy Susan.

- A potem mój przyjaciel przywiózł mi niezwykle cenny dar.

Susan spojrzała na nią pytająco, jakby przeczuwała, co zakonnica zaraz powie.

- Małą dziewczynkę o bystrych oczach, piegowała, z rudymi warkoczami.

- Daniel! - szepnęła Susan. - A więc znaliście się od dawna!... Dlaczego siostra nigdy mi o tym nie wspomniała?...

- Bo on sobie tego nie życzył. Nie chciał, żebyś wiedziała, że czuwa nad tobą jakiś tam anioł stróż. Sądził, że będziesz bardziej zadowolona ze swych sukcesów, jeśli osiągniesz je samodzielnie, a nie dzięki czyjejś łasce. - Zakonnica dotknęła jej policzka. - Wiesz, w gruncie rzeczy nie różnimy się tak bardzo od siebie. W początkach nowicjatu ogarnęła mnie rozterka duchowa podobna do tej, którą ty właśnie przeżywasz. Popełniłam tyle strasznych, niewybaczalnych występków!... Zadręczałam się, czy jestem godna bożej dobroci, czy zasługuję na Jego wyrozumiałość... - Zamilkła

na chwilę, po czym mówiła dalej: - Wkrótce uświadomiłam sobie, że Bóg gotów jest mi wszystko darować... że to ja sama nie mogę sobie wybaczyć. Trwało to dość długo i wymagało specjalnych duchowych ćwiczeń, ale w dniu, w którym złożyłam wieczyste śluby i przywdziałam ten habit, zaznałam nareszcie doskonałego wyzwolenia. Miałam pewność, że dokonałam właściwego wyboru, zgodnego z wolą bożą.

Czarny szal osunął się z głowy Susan. Siostra Mary Margaret zaczęła wyciągać spinki z jej gęstych włosów, upiętych w węzeł na karku.

- Sądzę jednak, że te same śluby nie byłyby dla ciebie wyzwoleniem, ale więzieniem.

Susan nie mogła pojąć, jakim cudem siostra Mary Margaret tak dobrze ją rozumie.

- Opuszczając klasztor, nie wyrzekasz się Boga, Susan. Sądzę, że ta droga była ci przeznaczona od samego początku. - Uwalniała jeden po drugim - spinaka po spince - ciężkie miedziane loki, aż wreszcie wszystkie opadły swobodnie i rozsypały się po ramionach dziewczyny. - Bóg, zwalniając cię od twych dawnych przyrzeczeń, uleczy nie jedno serce, lecz dwa. - W przelotnym uśmiechu Mary Margaret odbiło się szczęście istoty pełnej wewnętrznego spokoju. - No i co? Czy tak nie będzie lepiej?

Susan chwyciła zakonnicę za przeguby i ucałowała jej dłoń.

- Dziękuję, siostrzo!

- Co za brednie! Nie udzieliłam ci przecież rozgrzeszenia... nie było z czego! Pomogłam ci tylko odnaleźć właściwą drogę - tę, po której powinnaś była kroczyć od początku... A jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, czemu to robiłam, to powiedzmy, że z przyjaźni.

- Do Daniela?

- Nie, Susan. Do ciebie.

Znacznie później, po wizycie w siodłami, gdzie pożegnała się z Maxem i otarła jego gorzkie łzy, Susan wyszła przez skrzypiącą klasztorną furtę i stanęła w pełnym słońcu. Wciągnęła głęboko w płuca mroźne powietrze. Potem odwróciła się, chcąc jak najprędzej dosiąść konia i wrócić do domu.

Zrobiła zaledwie dwa kroki, gdy ujrzała Daniela... a on ją.

Jego spojrzenie pobiegło natychmiast ku miedzianym lokom, spływającym swobodnie na jej ramiona. Powoli, jakby nie wierząc własnym oczom, Daniel zsiadł z konia i podszedł do niej. Śnieg skrzypiał pod jego butami.

- Czemu, u diabła, uciekłaś bez słowa?!

Roześmiała się, słysząc ten gderliwy ton. Crocker był zaskoczony; płonęła dziecięcym entuzjazmem. Uniosła twarz ku słońcu, poddając się pieszczocie złotych promieni. Potem z radosnym piskiem wyciągnęła ramiona i zawirowała na palcach po śniegu. Gdy zatrzymała się wreszcie bez tchu, rzuciła Danielowi szeroki uśmiech. Promieniała nadzieją i radością jak panna młoda.

- Nie wrócę już do Akademii Świętego Franciszka. Pożegnałam się z klasztorem.

Crocker od tygodni usiłował skłonić ją do tego. Teraz, gdy Susan podjęła w końcu decyzję, ogarnęły go nagle wątpliwości.

- Siostra Mary Margaret...

- Wie o wszystkim. - Susan nie zdradziła Danielowi, czego dowiedziała się od zakonnicy na jego temat: jak czuwał nad nią nawet z daleka.

Daniel milczał. Wiedział, że powinien szaleć z radości. Zanosić modły dziękczynne pod niebiosa. Nie czuł jednak wcale triumfu, zwłaszcza gdy Susan tak wpatrywała się weń wielkimi, zielonymi oczyma. W ich głębi błyszczała radość z podjętej decyzji. Daniel wiedział jednak, że niebawem dawny, dobrze znany strach przyćmi ów blask. Susan wpadnie znów w panikę... Wystarczy, by ją tknął.

Gdyby miał łagodny charakter, gdyby wiedział, co i jak należy mówić, w jaki sposób z nią postępować, sprawy ułożyłyby się może inaczej. Stał się jednak zbyt cyniczny, twardy, zgorzkniały. Nie chciał zatruwać radości Susan swymi posępными nastrojami.

Ale nie był w stanie wyrzec się jej.

Peleryna, którą trzymał w ręku, trzepotała na wietrze, gdy zarzucił ją na plecy dziewczyny. Kiedy zapięta metalową haftkę pod kołnierzem, wydobyl na wierzch jej włosy.

Najcieńszy jedwab nie był równie delikatny! I nawet teraz, na mrozie, Daniel czuł zapach zroszonych deszczem leśnych kwiatów.

Susan upajała się dotykiem jego rąk; przymknęła oczy, radując się bliskością Daniela. Nie czuła już dawnych wyrzutów sumienia. Jego pieszczoty były czymś cudownym i całkowicie naturalnym. Odchyliła głowę do tyłu; poczuł bijące od niej ciepło, dłonie miał pełne ognistych loków.

Wiedział, że powinien natychmiast uciec przed pokusą. Wiedział, że nie jest godny Susan, że zasługuje ona na kogoś lepszego niż on. Nie mógł jednak się oprzeć. Jego ręce błądziły po jej plecach; wreszcie przyciągnął ją z całej siły do siebie. Pocałował ją namiętnie, wtargnął językiem do wilgotnego, aksamitne-

go wnętrza jej ust. Potem odsunął się, nie chcąc przerazić dziewczyny gwałtownością swego požądania.

- Wracajmy. - Jeśli nawet Susan zauważyła, iż nie dodał „do domu”, nie dała tego po sobie poznać. Oboje wiedzieli, że nie istnieje takie miejsce, które mogłaby nazwać domem. Nie był nim ani sierociniec, ani klasztor. Rozstała się z kamiennymi murami, bezpiecznym schronieniem, światem swego dzieciństwa, podobnie jak z czarnym wełnianym szalem.

17

Susan zastukała do otwartych drzwi pokoju Daniela i zatrzymała się na progu. Od ich uścisku pod klasztornym murem minął cały dzień. Od razu dostrzegła zmiany w pokoju. Poprzednio Daniel panoszył się tu jak we własnej sypialni; teraz był tu jedynie gościem. Ubranie zostało ciasno zwinięte i wetknięte w juki. Kurtka, futerał na broń, wyposażenie siodła leżały porządnie ułożone koło drzwi. Nawet łóżko zostało posłane z wojskową precyzją; złożone pod idealnym kątem prześcieradło i przykrycie bez jednej zmarszczki jakoś nie pasowały do otoczenia. Bezosobowy ład wydawał się odbiciem nastroju Daniela. Nie wiedzieć czemu w przeciągu kilku godzin odsunął się od niej. Był teraz obcym, zamkniętym w sobie agentem Pinkertona.

Crocker przysunął fotel na biegunach do okna, by skorzystać z ostatnich różowawych promieni słońca wpadających przez firankę. Na podłodze obok niego

leżał rozłożony na części peacemaker. Właśnie skończył czyszczenie strzelby. Susan przypatrywała się, jak przeciera tłustą szmatą lufę winchestera i odstawia broń pod ścianę, a potem sięga po części rewolweru rozsypane u jego stóp.

- Wybierasz się na wojnę? - zażartowała.

- Może - odparł bez uśmiechu.

Susan weszła do środka i po chwili zastanowienia zamknęła za sobą drzwi. Po raz pierwszy od dziesięciu lat nie miała na sobie czarnego stroju nowicjuszeki. Choć nadal czuła się nieswojo z odkrytą głową i w świeckim ubraniu, pożyczyła od Esther jedną z jej szarych domowych sukien; jednak Daniel nawet okiem na nią nie rzucił; równie dobrze mogła włożyć na siebie wór pokutny.

- Nie zszedłeś na kolację.

- Nie chciało mi się jeść.

- Esther się martwiła.

Wzruszył ramionami.

- Pojechała znów do miasta. Stan pana Gibby'ego wyraźnie się pogorszył i doktorowi Pattersonowi zależy na pomocy Esther. Donovan odwiózł ją saniami.

Daniel skinął głową na znak, że słyszy, ale w dalszym ciągu milczał.

- Przyniosłam ci kolację na tacy. - Postawiła ją na komodzie. - Kurczę i knedle. To, co lubisz najbardziej.

- Dzięki.

- Czy coś się stało?

- Nie. Czemu pytasz?

- Jesteś jakiś... daleki. - Przez cały dzień był milczący i zamknięty w sobie. Susan zastanawiała się, czy to z jej powodu... Od momentu gdy wrócili do sierocińca i oznajmili Reedom, że postanowiła nie wracać

do klasztoru, Daniel trzymał się wyraźnie na dystans. - Martwisz się, co ludzie powiedzą na to, że odeszłam z klasztoru? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodała: - Nie chcę, żebyś czuł się zobowiązany do opieki nade mną, ponieważ nie wracam do Akademii Świętego Franciszka. Doskonale dam sobie radę. Spytałam Esther i Donovana, czy mogę tu zostać, póki nie znajdę posady w jakiejś innej szkole. Nie wydawali się specjalnie zmartwieni.

- Z pewnością są zachwyceni. Brakowało im ciebie.

- Być może... ale przybyła im jeszcze jedna gęba do wyżywienia. - Urażało to dumę Susan; nie miała jednak w tej chwili innego wyjścia.

Crocker zaczął składać z trzaskiem rewolwer. Susan tymczasem wzięła z tacy rolkę miękkiego bandaża i słoik z maścią.

- Essie poleciła mi obejrzeć twoją ranę i zmienić opatrunek.

Te słowa przyciągnęły uwagę Daniela. Spojrzał na Susan. Tym razem nie protestował. Odłożył broń i wstał.

- Doskonale. Pewnie chcesz, żebym zdjął koszulę?

Susan miała dziwne wrażenie, że to nie rana, lecz *ona* zostanie poddana dokładnym oględzinom.

- To by mi ułatwiło zadanie.

- Chętnie bym ci pomógł, ale... - Pokazał upaćkane smarem ręce.

- Ach, tak... - Na policzkach dziewczyny ukazały się ciemnoróżowe plamy, podjęła jednak rzucone jej wyzwanie.

Wyciągnęła rękę w stronę guzików koszuli. Rozpięła jeden po drugim; poły koszuli rozchyłały się coraz szerzej.

Od wielu dni nie widywała Daniela w niekomplet-

nym stroju. Zapomniała, że wystarczy jedno spojrzenie na jego nagą pierś, a już wali jej serce i drży na całym ciele. Daniel był pięknym mężczyzną. Silnym, zgrabnym, muskularnym.

- I co teraz? - spytał, gdy przód koszuli był rozpięty. Obserwował Susan z natężeniem. Nie przypuszczał, że przyjmie wyzwanie. Sądził, że się spłoszy, jak to się już zdarzyło wiele razy.

- Chyba byłoby mi znacznie łatwiej, gdybyś całym zdmąknął koszulę.

Z zażenowania poczerwieniała jeszcze bardziej. Ubóstwiała jej rumieńce! Jej oczy błyszczały jak klejnoty. Wargi były rozchylone i niewinnie kusicielskie. Ale...

Cofnął się za bariery ochronne, które wznosił na nowo, gdy Susan oznajmiła, że nie wraca do klasztoru. Wykorzystanie tej sytuacji byłoby nieuczciwe. Była teraz taka bezbronna, taka zagubiona... Nie miała pojęcia, co jej przyniesie los. Crocker pewien był tylko jednego: że jej nie zdobędzie.

Siląc się na obojętność, Susan podeszła do niego od tyłu i chwyciła za kołnierz koszuli.

- Pomogę ci, skoro masz takie brudne ręce. - Jednak obojętność i poczucie wyższości opuściły ją, gdy tylko kostki jej palców otarły się o skórę Daniela. Natychmiast przeniknął ją dreszcz.

Ponieważ starała się nie dotykać Daniela, ściągnięcie koszuli z barków zajęło dobrych kilka sekund. Widziała, jak jego mięśnie prężą się pod pieszczotliwym muśnięciem osuwającego się materiału; ten widok zafascynował ją. Ale zadanie wkrótce zostało wykonane: koszula opadła wokół bioder Crockera, tylko ręce tkwiły mu nadal w rękawach.

Obchodząc go znów dokoła, wypaliła:

- Jesteś w doskonałej formie, Danielu.

Nie odpowiedział, ale poznała po jego spojrzeniu, że nie pozostał obojętny na pochwałę.

Pochyliła się, by zdjąć bandaż, którym owinięty był w pasie. Stwierdziła, że zbyt pochopnie uznała, iż rozbieganie dobiegło końca. Część opatrunku kryła się pod paskiem spodni.

- Może być... - zaczęła i natychmiast urwała. Zebrawszy wszystkie siły, sięgnęła do górnego guzika spodni. Odwaga całkiem ją opuściła, lecz przemogła swój strach.

Daniel chciał ją powstrzymać, ale ręce miał skutecznie unieruchomione.

Zdławiła w zarodku wszelkie jego protesty, gdy spoglądając mu prosto w twarz, oświadczyła:

- Przestań, Danielu! Nie powstrzymuj mnie. Muszę to zrobić. Muszę się przekonać, czy jestem w stanie to zrobić. - W jej głosie pobrzmiwała nuta desperacji.

Choć nadal stał wyprostowany sztywno jak drut, Susan poczuła, że się nieco odprężył.

Po odpięciu guzika i zdjęciu bandaża, którym Daniel był owinięty w pasie, Susan miała wrażenie, że podjęła się zadania ponad siły. Ręce trzęsły się jej bez opamiętania, a kolana ugiwały.

Przekonała się, że rana Daniela całkiem ładnie się goi. Skóra zrastała się, ślady infekcji zniknęły niemal całkowicie. Tylko ciemnoczerwony brzeżek rany i rząd czarnych szwów świadczyły o tym, że powrót do zdrowia nie był łatwy.

- Wygląda lepiej. O wiele lepiej!

Crocker chciał coś powiedzieć, ale nie zwróciła na to uwagi i zaczęła smarować chore miejsce jedną z maści Esther. Palce Susan bezwiednie przemieniły

ten zabieg w pieśczołę - czułe, pełne miłości głaska-
nie.

Daniel jęknął. Ręce zacisnęły mu się w pięści. Za-
czął szamotać się z rękawami.

- Susan, przestań!...

Jego ramiona wyrwały się z pęt i objęły gwałtownie
plecy dziewczyny. Wielkie, umazane smarem dłonie
sunęły po jej łopatkach. Usta Daniela spadły na jej
wargi, natychmiast jego język wtargnął do ich wnętrza.

Susan przyznała w duchu, że właśnie na to czeka-
ła, odkąd wynurzyła się z murów klasztornych.
Chciała się upewnić, że pieśczoła Daniela sprawi jej
radość, nie powodując jak dawniej wyrzutów sumie-
nia. Pragnęła upajać się nowymi doznaniem, nie oba-
wiając się, że wystawia na szwank nieśmiertelną du-
szę. Emocje, których doświadczała przed podjęciem
ostatecznej decyzji, były niczym w porównaniu z za-
rem i uniesieniem, jakie ogarnęło ją teraz. Nie czuła
już wstydu, tylko nagły przypływ rozkoszy.

- Próbowałem... - Daniel oderwał usta od jej ust
i obsypywał teraz pocałunkami szyję Susan. Aż się
zdumiała, jak wrażliwa jest ta część jej ciała na zmy-
słowe doznania. - Próbowałem trzymać się od ciebie
z dala. Wiem, że potrzeba ci czasu, by przystosować
się do nowych warunków... Wiem, że ktoś taki jak ja
w twoim życiu spowodowałby tylko niepotrzebne
komplikacje... Ale nie potrafię nad tym zapanować!...
Nie mogę odejść od ciebie... już nigdy.

Susan przytuliła się do niego, przywarła do jego go-
rącej, szerokiej piersi jak ktoś, kto umierał dotąd z tę-
sknoty za tym.

- Pragnę cię... - szepnął jej do ucha.

- Wiem.

- Ale nie chcę cię przestraszyć.

Trwoga czaiła się na obrzeżach świadomości Susan, sztychując z niej, dręcząc ją..

- Nie przestraszysz mnie.

Daniel głąskał ją po włosach, potem odchylił jej głowę do tyłu.

- A jednak to całkiem możliwe. Pewnie ogarnie cię lęk... Proszę, zaufaj mi na tyle, żebym mógł ci pomóc.

- O czym ty mówisz, Danielu?

Drżał na skraju przepaści, między zagrożeniem a bezpieczeństwem, między całkowitym oddaniem a samotnością.

- Pragnę cię.

Gładził plecy dziewczyny, przyciągnął mocno jej biodra do swoich. Stała bez ruchu, bojąc się zbliżyć, ale też nie chcąc odsunąć się od niego.

Jak cudownie było trzymać Susan w ramionach!... Daniel nie pojmował, jak mógł nawet myśleć o rozłączeniu?...

Pragnął zawsze być przy niej, nigdy już nie dowiadywać się od innych o tym, co się z nią dzieje!

- Susan, nie powinnaś zostawać w sierocińcu. Chcę, żebyś odeszła stąd ze mną.

Otworzyła usta, ale nie była w stanie mówić. Nie była pewna, co oznacza propozycja Daniela. Czy należy mu na jej towarzystwie?... A może po prostu żał mu się jej zrobiło?... Jednak widząc żar w jego oczach, czując na biodrach znany już dotyk jego rąk, domyślała się dość dokładnie, o co mu chodzi.

- Wierzysz, że będę o ciebie dbał? - spytał.

- T... tak.

- Pójdiesz ze mną? - Czekał w napięciu na jej odpowiedź. Jeśli odmówi... Nie wiedział jeszcze, co zro-

bi, ale nie pozwoli jej odejść! A jeśli Susan się zgodzi, to zrobi wszystko, *wszystko*, żeby była szczęśliwa!

- Tak.

Nie wierzył własnym uszom. Tak drżał przed jej odmową, że omal nie przegapił zgody!

- Naprawdę?!

- Tak. Pójdę z tobą.

Krzyknął z radości, chwycił Susan na ręce i przytulił mocno do siebie.

- Nigdy tego nie pożałujesz, przysięgam!... Zawsze było nam dobrze ze sobą. Jutro... - Urwał i postawił ją na podłodze. - Psiakrew, całkiem zapomniałem o Kutterze!

- O Kutterze?...

- To mój szef. Miałem się z nim spotkać jeszcze wczoraj, ale zupełnie mi to wyleciało z głowy! - Bez ostrzeżenia wypuścił Susan z objęć, chwycił strzelbę i kurtkę. - Wrócę za godzinę, najwyżej za dwie.

- Ale co...

Przytulił ją i pospiesznie, gorąco ucałował w usta.

- Zaufaj mi! - poprosił znowu. - Muszę pogadać z Kutterem. Chcę się rozstać z Agencją.

- Rozstać z Agencją?...

- A wtedy we dwoje pomyślimy co dalej.

- Ale, Danielu...

Pocałował ją znowu; tym razem bez pośpiechu, przeciągle i rozkosznie.

- Niebawem wrócę. Pilnuj domu! I możesz obrębić tamtą ładną sukienkę od Essie... Toto zniszczyłem chyba na amen! - Dotknął policzka Susan. - Żeby cię już nigdy nie widział w czerni ani w szarościach, zrozumiano?!

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Zrozumiano!

Odprowadziła go na tylny ganek i otrzymała za fitygę jeszcze dwa całusy. Gdy zniknął w mroku nocy, Susan pomyślała, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów na twarzy Daniela nie było gniewu; wyglądał na szczęśliwego. Całkowicie, bez reszty szczęśliwego!

Na myśl o jego szczęściu ogarnęło ją mile gorąco; topniały w nim resztki lodowatego strachu.

18

Kulił się na mrozie; ręce mu zgrabiały, w nogach prawie całkiem stracił czucie. Od spotkania z Gibbym w aptece minęło kilka dni - długich, wlokących się bez końca dni kompletnej ciszy. Przez cały ten czas nie dotarło do niego ani jedno słowo na temat pogarszającego się stanu zdrowia Crockera. Życie toczyło się jak zwykle, aż wreszcie sam postanowił sprawdzić, jak stoją sprawy z tym pinkertonem.

Brylantowe okruchy gwiazd rzucały na śnieg cienkie nitki światła. Mężczyzna obserwował sierociniec. Czekał - ale bez skutku. Mijały godziny, pełne bolesnego napięcia. I nagle uzyskał dowód, że raz jeszcze trucizna nie dała rady Crockerowi: pinkerton wyszedł na dwór różnym krokiem, jak wojownik ruszający do szturm. Jego ruchy były energiczne, postawa zdecydowana.

Radość na twarzy Crockera sprawiła, że serce nieznanego aż się skurczyło z bólu. Nie! *Nie!* Dlaczego Crocker nie zażywał lekarstwa?! Dlaczego miał tyle szczęścia... albo tyle sprytu? Do tej pory powinien już

być osłabiony i drżący - ale sądząc z łatwości, z jaką dosiadł konia i odjechał, jakimś cudem odkrył cały plan!

Głosy w głowie nieznanego znów się odezwały, wytykając mu porażkę. Zawrzał w nim gniew; wściekłość nie pozwalała mu zebrać myśli. Zbyt wiele wycierpiał z winy Crockera! Trzeba z tym wreszcie skończyć! Liczył na to, że śmiertelne osłabienie pinkertona wyrówna ich szanse. Teraz należało dokonać korekty planów. Musi wykorzystać każdy strzęp informacji, które zbierał od miesięcy, by zważyć „zwierzynę” w pułapkę.

Cały zeszywniał od lodowatych podmuchów przenikających przez ubranie. Udało mu się jednak wstać; chwiejnym krokiem oddalił się od stajni.

Miesiące przygotowań nie poszły na marne: wiedział już wszystko o Crockerze. Znał jego kryjówki, jego metody działania; wiedział, jak znosi trudy i co robi w wolnych chwilach. Wiedział też, jak można go powalić na kolana. Crocker drogo mu za wszystko zapłaci!... Tym razem trzeba się posłużyć tą jego mniszczką. Jeśli tej małej coś się przytrafi, pinkerton będzie znosił gorsze męki niż ona!

Za tydzień „Bobasa” Floyda będą przewozić pod eskortą przez Ashton. Tego samego dnia Crocker przekona się na własnej skórze, co to zemsta i zdrada. Będzie cierpiał tak, jak nikt jeszcze nie cierpiał!... Oko za oko. Ząb za ząb.

Dopiero potem pozwoli mu umrzeć.

Nieznanomy pokuśtykał do swego konia. Czuł w nogach bolesne mrowienie, ale nie osłabiło to jego determinacji, by załatwić sprawę raz na zawsze. Crocker przechytrzył go po raz ostatni! Teraz *on* zaciągnie Crockera w najczarniejsze otchłanie piekła!... Nieźle

już przygotował grunt. Miał na swoje usługi całą armię zabijaków. Dziś wieczorem spotka się z nimi i poinformuje o zmianie planów. Nim upłynie tydzień, Crocker znajdzie się w pułapce, której istnienia nawet się nie domyśli i z której nie zdoła się wydostać!

Daniel kłął z niecierpliwości. Z każdą przejechaną milą coraz bardziej pragnął żyć jak wszyscy, jak zwykli ludzie. Wstawać ze słońcem, przez cały dzień pracować na polu, a wieczory spędzać w towarzystwie pięknej kobiety.

Nie tylko pragnął - miał zamiar urzeczywistnić te marzenia. Razem z Susan. Sam nie wiedział, czemu tak późno uświadomił sobie, że są dla siebie stworzeni. Musiała aż zrezygnować z klasztoru, żeby się odważył pomyśleć o czymś podobnym! Za to teraz, gdy Susan podjęła już decyzję, myślał tylko o ich wspólnej przyszłości.

Tyle spraw należało jeszcze załatwić, by zabezpieczyć tę ich przyszłość!... Musi sprawdzić, w jakim stanie jest jego farma, zarobić trochę forsy, kupić inwentarz i wszystko, co potrzebne do gospodarstwa. Przede wszystkim jednak musi zerwać z Agencją Pinkertona.

Podczas jazdy Daniel przeklinał wszystkie przeszkody na swej drodze: lodowaty wicher, ciemności, a nade wszystko Jedidiaha Kuttera za to, że próbował znowu wplątać go w sprawy, o których chciał raz na zawsze zapomnieć.

Musiał przyznać, że na samą myśl o zmianie życia przejmował go paniczny strach. Był zawsze sam i przyzwyczał się liczyć wyłącznie na siebie. Ale trzeba z tym skończyć, i to już!... Póki jeszcze potrafi wyrzec się samotności, póki zdoła okazać swą miłość kobiecie.

Otuliwszy się szczelniej kurtką podbitą szorstkim

futrem, popędził konia i wyjechał zza drzew na główną drogę. Jechał wzdłuż podwójnej linii torów kolejowych aż do miejsca, gdzie się rozgałęziały: Humboldt & Western kierował się wąskim przesmykiem na wschód, a Wasatch Territorial zmierzał na południe.

Wałach przemknął pod groblą, wzniesioną nad korytem rzeki; Daniel skręcił ostro w lewo do stromego, kamienistego jaru - zgodnie ze wskazówkami Braxtona. Powściągnął konia i posuwał się cicho, ostrożnie. Zapuściwszy się w głąb kanionu, rozglądał się po piętrzących się wokół skałach z uwagą i podejrzliwością, które stały się jego drugą naturą.

Natknął się na głąz zagradzający drogę i przystanął. Wetknął palce do ust, dał sygnał czterema krótkimi gwizdkami - i czekał. Kiedy odpowiedziano mu w ten sam sposób, trącił piętami Wodza i ostrożnie wyjął strzelbę z pochwy przy siodle.

Wódz rzucił łbem, wyminął zręcznie głąz i wydostał się na coś w rodzaju polanki. Daniel omiótł wzrokiem oblodzone ściany jaru; jego spojrzenie pomknęło ku ciemnym sylwetkom, przycupniętym wysoko na skałach. Uniesieniem strzelby powitał pinkertonów strzegących wejścia do kanionu.

Przebywszy niewielką, pokrytą śniegiem przestrzeń, dotarł do wałacej się chaty, która jakby przyrosła do litej skały. Zza drzwi wypadła jakaś postać i stała teraz na najwyższym stopniu ganku, spoglądając groźnie na przybysza.

- Crocker! Gdzieś ty się podziewał, do jasnej cholery?! Miałeś tu być wczoraj!

Daniel udał, że nie słyszy Kuttera. Zatrzymał wałacha przed gankiem, zeskoczył i zaczepił cugle o karłowaty krzew rosnący obok schodków.

- No?! - ryknął niecierpliwie Kutter.

Daniel obrzucił tylko przelotnym spojrzeniem tego wysokiego mężczyznę o potężnej piersi; wszedł na ganek, a następnie (wyminawszy szefa) do wnętrza chaty.

- Coś mnie zatrzymało. - Nie po raz pierwszy diabli go brali, gdy Kutter przybierał pozę nadzorcy niewolników.

W chacie było niezbyt ciepło, ale zawsze przyjemniej niż na mrozie. Crocker ściągnął zębami rękawice i podszedł do stojącego w kącie żelaznego piecyka. Zdjął z półki poobijany emaliowany kubek i nalał sobie kawy, która perkotała w garnku pewnie od rana.

- Byłem niespokojny.

- Wiem, szefie. - Daniel zacisnął zęby i spojrzał zwierchnikowi prosto w twarz. Potem odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, wciągnął w płuca cierpki zapach zbyt długo parzonej kawy i płonącego drewna. Jego gniew zgasł równie szybko, jak rozgorzał. - Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. - Nie zamierzał wyjaśniać Kutterowi, że całkiem zapomniał o umówionym spotkaniu. Nigdy się nie zaniedbywał w obowiązkach... póki zielonooka piękność nie wtargnęła w jego myśli.

Kutter nadal wpatrywał się w niego niespokojnym wzrokiem niedźwiedzicy zirytowanej psikusami swego potomstwa. Przeganiał szponiastymi palcami kędzierzawe włosy, sterczące wokół jego czaszki tysiącem miniaturowych sprężynek. Potem starannie nagarnął dłuższe kosmyki na łysy czubek głowy. Nieposłuszne kędziorki odskoczyły i znów wyłoniła się spod nich brunatnoczerwona łysina.

- Chodź no tu! Chcę ci coś pokazać. - Jedidiah Kutter rozluźnił się widocznie. Ruchem głowy wskazał

przybyłemu mapy rozłożone na stole pośrodku izby.

Daniel pociągnął z kubka łyk gorzkiej lury, wyrzekając głośno na jej ohydny smak, ale radując się w duchu jej ciepłem. Miał już wyznać Kutterowi, że wycofuje się z branży raz na zawsze, ale widząc skupioną minę szefa, nie rzekł ani słowa. Oparł się jedną ręką o toporny stół i pochylił nad leżącą na stercie papierzysków mapą, przyciśniętą na rogach kamieniami.

- Odstawiają nam Floyda Dooleya pod eskortą w najbliższą niedzielę.

- Tak szybko?

Kutter skinął głową.

- Z Salt Lake City przywiozą go pociągiem Wasatch Territorial. Przejeżdża przez Ashton - mówiąc to, Kutter zniekształconym palcem wskazał na mapie trasę - i zatrzymuje się tutaj, gdzie tory się rozchodzą.

Crocker kiwnął głową i łyknął znów kawy. Starał się pohamować rosnące zainteresowanie planowaną akcją; mózg jednak automatycznie rejestrował detale dotyczące terenu.

- Rozstawimy naszych ludzi tu... - Kutter wskazał zbrocza nad rozwidleniem torów - ... i tu. - Dźgnął palcem w gęstwinę drzew otaczającą łożysko rzeki. - W pociągu sześciu ludzi będzie razem z Dooleyem; drugie tyle porzrzucamy po innych wagonach.

Daniel przeszył szefa spojrzeniem.

- Spora obstawa jak na zwykły przewóz więźnia.

Kutter otworzył usta i zawahał się, jakby szukał właściwych słów.

Na Daniela spłynęło nagłe olśnienie. Zamarł na moment, po czym odstawił kubek na stół i odezwał się cicho:

- Ale masz tupet, szefie!... Chcesz wpędzić całą ban-

dę Dooleya w pułapkę, co? A „Bobas” posłuży za przynętę!

Kutter uśmiechnął się krzywo.

- Nie liczymy tylko na „Bobasa”, choć dałbym głowę, że na niego samego złapałibyśmy co najmniej pół tuzina Dooleyów. Ale ja chcę mieć w garści całą bandę! Chcę, żeby ta cholerna rodzinka wpadła co do jednego w zasadzkę! Chcę załatwić ich raz na zawsze!

- Kutter podniósł głowę i wlepił w Crockera przekrwione szare oczy. - I w tym celu trzymam drugiego asa w rękawie. Ciebie.

Daniel oblał się zimnym potem.

- Co to ma znaczyć? - wycodził.

- Grant Dooley zwiął z pierdła w Missouri dwa tygodnie temu.

Daniel zmartwił.

- Jak w dym pociągnie na faceta, który go wsadził za kratki - ciągnął Kutter. - Do tej pory na pewno już podjudził całą rodzinę. Nie zadowolą się odbiciem młodszego braciszka, bo wiedzą, że o zachodzie słońca będziesz im już siedział na karku.

- Może nie jestem specjalnie w guście Dooleyów, ale nie wierzę, by cała szajka zjechała się, żeby sobie do mnie postrzelać.

- Szepnęliśmy im też słówko, że przez Ashton będą przewozić w tym tygodniu sporo dynamitu.

Psiakrew! Dooleyowie mieli do dynamitu taką samą słabość, jak mali chłopcy do fajerwerków. Specjalizowali się od lat w rozbijaniu sejfów i wysadzaniu w powietrze pociągów i mostów. Z pewnością nie oprą się pokusie zagarnięcia całej skrzyni tego świństwa!... Grant i Marvin nie będą musieli długo namawiać reszty Dooleyów do wykończenia dynamitem „Wroga nr 1”. Już

się pewnie oblizywali na myśl o rozerwaniu na kawałki Daniela Crockera i reszty pinkertonów!

W dodatku Kutter przez cały czas zamierzał dynać im przed nosem Danielem - jak wijącym się robaczkiem na haczyku!... Gdyby Crocker dowiedział się o tym planie kilka tygodni... ba, nawet kilka dni wcześniej, wypełniłby swe zadanie bez szemrania, jak wszystkie poprzednie. Może nawet czułby satysfakcję z przechytrzenia Dooleyów, schwytania ich i postawienia przed sądem. Teraz jednak najważniejsza dla niego była Susan. I ich wspólna przeszłość.

Wyjął rękawice z kieszeni kurtki i zaczął je wciągać.

- Nie.

- Co to znaczy „nie“?!

- Nie wchodzę w to. - Ruszył ku drzwiom.

- Crocker!

Daniel przystanął.

- Nie możesz teraz spasować, Crocker!

Daniel spojrzał na niego przez ramię.

- Założysz się?

- Jeśli teraz wycofasz się z gry, zażadam natychmiastowego zwrotu długu i stracisz farmę!

W izbie zapadła złowieszcza cisza.

- Wiesz równie dobrze, jak ja, Kutter, że dług jest prawie spłacony.

- Prawie, prawie. Ale niezupełnie.

Daniel poczuł, jak wzbiera w nim wściekły gniew. Niech to szlag!... Od lat ciułał każdy grosz, żeby kupić niewielki kawałek gruntu jakieś dziesięć mil stąd. Chciał zdobyć coś, czego nigdy nie posiadał - własną ziemię, własny dom. Pięć lat temu ktoś o mały włos nie sprzątnął mu farmy sprzed nosa. Wówczas Kutter zaproponował, że wyłoży połowę forsy, a Daniel

zwróci mu ją na raty. Dług był już niemal spłacony. Niemal.

- To szantaż, Kutter.

- Nazywaj to, jak chcesz. I pomyśl, że jeśli teraz nie pomożesz nam wykończyć Dooleyów, to będziesz do końca życia trząść portkami. Próbowaliśmy ich zapuszkować po kolei, ale zawsze się bawią w odbijanego! Najwyższy czas przyskrznić ich hurtem i zamknąć tam, gdzie słońce nie dochodzi. Jeśli będzie trzeba, odbiorę ci farmę bez skrupułów. Mogę ją choćby sprzedać i wystawić za to nielichą armię!

Daniel patrzył na przyjaciela wściekłym wzrokiem. Kutter nie mógł mu tego zrobić!... Wiedział, ile ta ziemia dla niego znaczy; wiedział, że marzył o niej od lat...

Z drugiej strony Kutter był gotów na wszystko. Uparły jak osioł. A kiedy wyglądał tak jak teraz - wypisz, wymaluj szarżujący byk! - nie było na niego mocnych.

- Zrób to dla mnie, Danielu, a pozbędziesz się reszty długu. I dostaniesz swoją zwykłą dołę, nawet z czubem. Dorzucę ci jeszcze mleczną krowę na dobry początek.

Powstrzymywany oddech wyrwał się z płuc Daniela. Propozycja była nęcąca. Jeśli wpadnie mu trochę grosza do kieszeni, będą mieli na kupno bydła, na dokonanie koniecznych napraw... Mleczna krowa też im się przyda.

Jeszcze tylko jedno zadanie. Jedno jedyne!

- Co dokładnie mielibym robić?

Kutter nie był durniem: wiedział, że Daniel do niczego się jeszcze nie zobowiązał. *Na razie*. Crocker czytał to wyraźnie z pozornie obojętnej miny szefa.

- Kręcić się na widoku przez kilka najbliższych dni. Jakby się kto pytał, odwiedzasz krewnych.

- Cholera! - szepnął Daniel.

- A w niedzielę będziesz w obstawie podczas przewozu niebezpiecznego więźnia.

Daniel prychnął pogardliwie. „Bobas” Floyd był krótkowzrocznym, durnym mięczakiem. Do tej pory nie miał nikogo na sumieniu.

Ale jego bracia to mordercy.

- A potem?

- Potem przyskrzynimy Granta i Marvinina... i wracamy do domu.

Crocker potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Skąd ta pewność, że Dooleyowie przylecą ratować Floyda?... Że złapią się na dynamit? Albo na mnie?... Mogą dojść do wniosku, że im się to nie opłaci!

- Przylecą, przylecą. Chodzi o honor rodziny.

- Honor, dobre sobie!

- No to powiedzmy, że ta jędba, ich mamuśka, nie pozwoli powiesić synalka ani nie odpuści tobie!

W to Daniel prędzej mógł uwierzyć.

- Ale dlaczego koniecznie w Ashton? Nie mogą zatrzymać pociągu gdzieś dalej?

Kutter wyprostował się.

- Przesiadka jest najślabszym punktem na całej trasie. Dooleyowie wiedzą, że musimy Floyda przenieść do innego pociągu, jeśli ma trafić na wschód.

Daniel nie odzywał się, domyślając się, że to jeszcze nie koniec.

- A poza tym w Ashton dzieją się ostatnio dziwne rzeczy.

- Na przykład?

- Takie tam głupstwa: na farmach giną kury, ktoś podkrada konie, obcy faceci wypytują ni z tego, ni z owego o stację kolejową i godziny przyjazdu pociągów... Poza tym w miejscowej aptece wybuchł pożar.

Właściciel, pan Gibby, paskudnie się poparzył. Jeszcze nie odzyskał przytomności.

- I sądzisz, że to robota Dooleyów?

- Może tak. Może nie. Ale znam słabość Granta do morfiny, więc jakoś mi to na nich wygląda.

Crocker dokładnie rozważył wszystkie możliwości i doszedł do wniosku, że wcale mu się ta sytuacja nie podoba.

- Co z ludźmi z Benton House? Jak się włączę do gry, mogą być zagrożeni.

- Włos im nie spadnie z głowy! Grant Dooley nie pozwoli sobie na żadne numery, bo to mogłoby przeszkodzić w odbiciu brata. Ma tylko jedną szansę: urządzić zasadzkę podczas przeprowadzki Floyda Z pociągu do pociągu.

Daniel ze znużeniem potarł grzbiet nosa. Był taki zmęczony tym wszystkim... Cholernie zmęczony.

- Może ty, Kutter, masz pewność, że Grant zostawi sierociniec w spokoju, ale ja draniowi nie wierzę! Musisz mi dać słowo, że wszyscy z Benton House będą mieli ochronę. Bez względu na sytuację!

Kutter skinął głową. Krzywy uśmiešek zdradzał, że już jest pewien wygranej.

- Masz moje słowo. Jutro skoro świt poślę tam obstawę.

Daniel odwrócił się do niego i spojrzał szparkami powiek.

- I chcę odejść z Agencji - oświadczył beznamiętnym tonem. - Po tej akcji wycofuję się na dobre.

Kutter miał ochotę zaprotestować, ale dał spokój.

- Dobra.

Crocker skinął głową, wyrażając zgodę.

- Zamieszkać w hotelu do końca tej hecy.

- Mowy nie ma!

Brwi Daniela uniosły się w górę. Rzucił Kutterowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie możesz opuścić Benton House. Takie przenosiny od razu by ich zaalarmowały.

- Niech to szlag! Chcesz narazić ludzi z sierocińca na jeszcze większe ryzyko?!

- Nic podobnego! Z pewnością coś wykombinuję. Crocker wysunął brodę w grymasie uporu.

- Wracaj do domu, Danielu - przekonywał Kutter łagodnie, niemal po ojcowsku. - Wracaj do tej swojej dziewczuszki.

Całe ciało Daniela zeszywniało.

- Jakiej znów dziewczuszki?!

- Tej, o której gadasz, jak jesteś na bani. Tej, której fotografie chowasz w jukach.

Daniel wypadł z chaty, wbijając kapelusz na głowę.

- Crocker!

Odwrócił się.

- Mam w mieście kilku ludzi. Jeden skontaktuje się z tobą tuż przed akcją. A na razie... uważaj na siebie.

Daniel zbył wzruszeniem ramion ostrzeżenie sęfa, zerwał cugle z krzaka i wskoczył na konia.

- Hej, Grant!

Szorstki szept wyrwał Granta Dooleya z narkotycznej euforii. Klnąc w duchu faceta, który ośmielił się przerwać mu zabawę, uniosł głowę spoczywającą na piersi prostytutki. Dostrzegłszy ostre spojrzenie brata, skrzywił się.

- Wynocha, Marvin! - wybełkotał. - Opuścił znów głowę i ocierając się podbródkiem o monstrualny biust dziwki, wdychał zapach tanich perfum i potu. Rozparł

się jeszcze wygodniej na zjedzonej przez mole kanapie i wsunął rękę pod spódnicę swej towarzyszki.

- Podobno chciałeś się odegrać na Crockerze?... A może to było puste gadanie?...

- Mówiłem ci już: wynocha, Marvin!

- Jest teraz sama. Ta dziewczyna Crockera.

- No to co?

- No to czemu się do niej nie wybrać? Jeszcze dziś?... Skosztujemy, jak smakuje lalunia Crockera. Co nam szkodzi?... Jak jej złożymy wizytę, Crocker się wścieknie!... A wariat mniej się pilnuje.

Najwyższym wysiłkiem woli Grant otworzył znów oczy. Kiedy słowa Marvina dotarły do jego odurzonego mózgu, wszystkie jego mięśnie naprężyły się. Odwrócił głowę od obfitego łona i spojrzał zezem na pochylonego nad nim brata. Potem obiegnął wzrokiem wewnątrz zadymionej budy. Pełno tu było Dooleyów, wśród których krążyły dwie ladacznice, obsługując jednego po drugim i obrabiając ich z resztek forsy. Po niedawno zakończonej sensacyjnej naradzie chłopcy byli podminowani i skłonni do burdy.

- Rusz się, Grant! - namawiał Marvin. - Wybierzemy się tylko we czterech: ty, ja, Bart i Nate. Nikt się nawet nie połapie. W sierocińcu została tylko ona z dzieciakami. Cała reszta jest w mieście.

Na ustach Granta pojawił się grymas niesmaku. Głowa znów mu opadła na żywą poduszkę.

- Crocker na pewno już wrócił.

- Nie.

- Jesteś pewien?

- No jasne! Ani śladu jego konia. Chyba nie wróci przed świtem.

Grant wybuchnął śmiechem. Niski, gardłowy re-

choć dowodził, że bawi go ta sytuacja. Uwolnił się z ramion prostytutki i chwiejnym krokiem podszedł do krzesła, na którego oparciu wisiał jego pas z rewolwerem.

- Skocz po Barta i Nate'a. Spotkamy się na dworze.

Marvin ruszył ku drzwiom i nagle przystanął. Kiedy się odwrócił, Grant ujrzał na twarzy brata taką nienawiść, jakiej nigdy dotąd nie widział. Śmiertelną, zagorzałą nienawiść.

- Nie ciągałem na darmo dupy po całym Wyoming, goniąc tego pinkertona! Muszę to ścierwo zobaczyć w piekle!

Grant uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie ty jeden o tym marzysz! - odparł wesoło. - Już ci mówiłem, ta dziewczuszka najlepiej nam do tego posłuży!

17

Susan siadła na łóżku, próbując dociec, co też ją obudziło?... Z daleka dobiegał stłumiony tętent kopyt i parskanie koni. Odrzuciła kołdrę i chwyciła szlafrok. Ogarnął ją niezrozumiały lęk. Jeśli Donovan i Essie wrócili przed świtem, biedny pan Gibby musiał chyba?...

Zeszła spieszenie na dół. Znalazłszy się w przedsiionku, zapaliła zapałkę i przytknęła ją do przesyconego naftą knota, po czym umocowała znów klosz lampy. Ponieważ hałasy dochodziły z frontowego podjazdu, wbiegła do salonu, postawiła lampę na stole naprze-

ciw okna i rozsunawszy kotary, wyjrzała w rzedniejący już mrok. Dochodziło wpół do piątej. Gdy minęła północ, a Daniela ciągle jeszcze nie było, Susan położyła się do łóżka. Nie martwiła się o niego; była pewna, że szef go zatrzymał. Ale teraz...

Jakieś ramię zacisnęło się wokół jej szyi, a szorstka ręka zakryła jej usta, by nie wydobył się z nich krzyk. Susan wbiła paznokcie w bezlitosną, dławiącą obręcz, starając się opanować trwogę, podchodzącą jej do gardła.

Stój spokojnie, mała! Nie ruszaj się! A my się zabawimy z mamuszką!

Cofając się w popłochu, Susan zdołała się obrócić w uścisku napastnika. Do pokoju weszły trzy inne męskie postacie. Z niepokojem wpatrywała się w ich rozgorączkowane twarze. Widziała już podobne - dwadzieścia lat temu, gdy dezernerzy powalili jej matkę na ziemię...

Jeden z nich, chudy i ospowaty, wysunął się do przodu. Wargi rozciągnęły mu się w drwiącym uśmiechu. Susan wzdrygnęła się, ale kiedy próbowała się wyrwać, trzymający ją mężczyzna brutalnie nią szarpnął i przycisnął do swej potężnej klatki piersiowej.

- Zostawiłaś na tyłach domu otwarte okno - zbeształ ją ospowaty. Cmokając, ściągnął rękawice i trzepnął się nimi po udzie. - Co za nieostrożność! - Mężczyźni stojący po obu jego stronach roześmiali się cicho.

Susan przyglądała się wszystkim trzem w migotliwym świetle lampy. W ich twarzach i niechlujnych podróźnych strojach było coś znajomego. Już ich kiedyś widziała!... Tylko gdzie?...

Wydawała gardłowe jęki, szarpała się, ale nie była w stanie się uwolnić. Gdzież się podziewa Daniel?...

- Nate! - Przywódca gromadki ruchem głowy wskazał otwarte drzwi. Stojący z tyłu najmłodszy z napastników, właściwie jeszcze chłopak, uśmiechnął się szeroko i zamknął je.

Chudy mężczyzna podszedł do niej.

- Na imię ci Susan, co? - Gdy mu nie odpowiedziała, zmarszczył się. - Słyszałem, jak Crocker mówił o tobie. Jaka jesteś w łóżku. Podobno lubisz, żeby się do ciebie ostro brać! - Roześmiał się. Zgrzytliwy dźwięk targnął nerwami Susan. - Przekonasz się, że z nas ostre chłopaki!

Krzyk oburzenia wezbrał jej w gardle. Mężczyzna potrząsnął głową i skarcił ją z udaną troską:

- Lepiej siedź cicho! W domu pełno dzieciaków... Nie chcesz ich chyba pobudzić?

Susan wydała cichy jęk. Czwórka napastników cuchnęła kwaśnym odorem whisky. W domu nie było nikogo prócz dzieci. Gdyby krzyknęła i któreś z nich zeszło na dół... Lepiej nie myśleć o czymś tak strasznym...

- Tak będzie lepiej. Znacznie lepiej! - Zbir z uznaniem pokiwał głową. Ruchem ręki, przypominającym świśnięcie bicza, dał znak swoim kompanom, by podszli; otoczyli Susan przerażającym pierścieniem.

Oczy ospowatego błyszczały w świetle lampy.

- Widzisz - powiedział bełkotliwie - mamy pewne rachunki do wyrównania. Crocker zanadto się mieszał w nasze rodzinne sprawy. Odpłacę mu teraz z nawiązką.

- Przysunął się jeszcze bliżej, przyciskając uda do jej nóg. Jego oddech przesiąknięty był odorem gorzałki i jakimś innym, mdlącym zapachem... Przypominało to laudanum czy opium. Chwycił Susan za brodę, wpijając palce w jej skórę. Poczowała, że ogarnia ją bezsilna wściekłość.

- Dobrze się razem zabawimy, Susan - szydził. -

Wiedziałaś, że tak będzie, co? Nareszcie zrozumiesz, co to znaczy mężczyzna! - Czuła jego gorący oddech na policzku. - *Prawdziwy mężczyzna!*... Kiedy z tobą skończę, będziesz się dopraszać o więcej!... A jak się zmęczone, przyjdzie kolej na moich braci.

Susan próbowała odegnać zagarniającą ją, wirującą ciemność. Upiory przeszłości zaatakowały z całą mocą... Czy nie ma żadnego ratunku?! *Daniel!* Co by jej doradził Daniel?...

Zatopiła zęby w rękę trzymającego ją zbira. Zaklął i puścił ją. Nagle była wolna! Popędziła ku drzwiom na korytarz.

Ospowaty schwycił ją za przeguby i okręcił twarzą do siebie. Potem przygwoździł jej ramiona do boków i brutalnie przycisnął ją do piersi.

Jego usta wykrzywił okrutny grymas.

- Co za temperament!... Lubię takie kobitki!

Susan już otworzyła usta do krzyku, ale przypomniała sobie o dzieciach.

- Mądra dziewczyna! - Zachichotał. - Nie zapominaj o tych cholernych bachorach! - Chwycił za dekolt jej koszuli nocnej i szarpnął, rozdzierając materiał aż do pasa. Spłakana Susan nadaremnie usiłowała szepnąć ze sobą obie połówki i osłonić się przed lubieżnymi spojrzeniami mężczyzn.

Tętent kopyt zmaścił poranną ciszę.

Najmłodszy z napastników rzucił się do okna.

- Crocker! - wymamrotał z pośpiechem.

Przywódca bandy przyciągnął Susan mocniej do siebie. Ponieważ uparcie zaślaniała piersi, rozdarł jej koszulę z tyłu.

- No to co? - warknął. - Nas jest czterech. Niewiele on jej teraz pomoże!

- Do cholery, Grant!... Przecie to pinkerton! - ostrzegął Nate.

- No to co?! - Grant chwycił Susan za ramię i wykręcił ją twarzą do pozostałych mężczyzn. - Co on nam zrobi? - Brutalnie napał na dziewczynę biodrami. - Popatrzcie tylko na nią! Chcecie wyrzec się tego wszystkiego... tylko dlatego, że Crocker wrócił nie w porę?!

Jego braci opuściła częściowo pijacka brawura. Chyłkiem przesuwali się w stronę okna.

- Nie czas na takie sprawy, Grant! - Tętent kopyt stawał się coraz wyraźniejszy.

Nate rozchylił zasłony i wpatrzył się w mrok.

- Psiakrew, już wie, że tu jesteśmy! Zobaczył nasze konie!... Prawo stoi za nim, Grant. Nikt nie podważy zeznań pinkertona!

Grant znów odwrócił Susan ku sobie i przechyliwszy jej głowę przez swoje ramię, wżarł się w jej usta. Miażdżył jej wargi, przygniatając je do zębów. Susan rozpłakała się, czując smak własnej krwi. Kiedy jednak próbował wtargnąć językiem do jej ust, zwarła mocno szczęki, udaremniając brutalną napaść. Całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Czuła, że traci panowanie nad sobą.

- Grant! Chodźże już!

Grant odsunął Susan na odległość ramienia i z całej siły trzasnął ją w twarz, przecinając jej wargę. Susan upadła na podłogę, a on pokuśtykał do okna. Z tyłu rozległy się ciężkie kroki mężczyzny, który pierwszy ją pochwycił. Z niepokojem uniosła głowę; w jej piersi wzbierały strach i gniew. Napastnik stanął nad nią w rozkroku. Po jego twarzy można było poznać, że kotłują się w nim jakieś gwałtowne emocje. Z dziwnie spłaszczoną czaszką w mdłym świetle wydawał

się po prostu diabelski; przypominał potwora ze średniowiecznych legend.

- Marvin!

Mężczyzna złożył szyderski ukłon, podszedł do okna i zniknął w ciemności. Grant chwycił za futrynę.

- Nie myśl, że na tym koniec! Wróć po resztę! - wychrypiał. - Na razie idź do łóżka ze swoim pinkertonem. Crockerowi należy się coś ode mnie za wszystko, co zrobił! Odpłacimy mu we dwójkę - ja i ty - i to nie raz, ale jeszcze, jeszcze i jeszcze! - Wyślizgnął się przez okno i zatrzasnął je za sobą.

Susan leżała na podłodze otulona strzępami nocnej koszuli. Straszny, bezgłośny płacz uwiązał jej w gardle, paląc jak rozżarzony węgiel. Przez mgłę bólu dotarł do niej odgłos kroków Daniela na ścieżce - zanim jeszcze Grant i jego kompani zniknęli całkiem w mroku.

Drzwi frontowe otwarły się na oścież. Sylwetka Daniela zarysowała się wyraźnie na tle framugi.

Susan skuliła się, jakby chciała zapaść się w siebie, wtopić w dywan i lśniące sosnowe deski. Kiedy Crocker wszedł do salonu, zerwała się na równe nogi. Spoza zaciśniętych zębów wydobył się nieludzki syk:

- Nie dotykaj mnie!

Serce Daniela zabiło gwałtownie. Zatrzymał się i rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał pokazać, że jest bezbronny, że jej nie skrzywdzi. Zbliżał się do dziewczyny bardzo powoli, ale cofnęła się aż pod ścianę, przywierając do wzorzystej tapety.

Daniel usiłował pohamować szalejącą w nim furję. Nie mógł okazać gniewu ani pragnienia zemsty - przeraziłoby to Susan jeszcze bardziej. Zauważył jej poszarpaną koszulę, pogniecione strzępy, którymi usiłowała się osłonić. Co tu się wydarzyło pod jego nieobecność?!

Ostrożnie, jakby miał przed sobą dzikie zwierzątko, ściągnął z pleców kurtkę. Kiedy Susan poruszyła się niespokojnie, zamarł z bijącym sercem. Potem wyciągnął ku niej rękę z okryciem. Bez słowa, nadal przytrzymując podartą koszulę jedną ręką, drugą schwyciła podawaną kurtkę i otuliła się nią.

- Cholera jasna! - warknął Crocker, dostrzegłszy jej skórę pokrytą sińcami. Susan cofnęła się i rzuciła mu przerażone spojrzenie. Nie wiedząc, jak jej pomóc, wykrztusił z nienawiścią: - Niech ich piekło pochłonie za twoją krzywdę!

Jego wybuch dodał dziewczynie odwagi i pomógł jej nieco opanować się.

- Jak oni tu weszli? - spytał chrapliwie.

Rzęsy Susan zadrżały; lśniły na nich kryształki łez. Wskazała gestem okno.

- T... tym na tyłach domu.

Daniel przeklinał w duchu własną głupotę. Nie powinien był opuszczać Susan!... Chcąc jak najszybciej rozmówić się z Kutterem, zostawił ją bez opieki - choć dobrze wiedział, jakie to ryzykowne!... W dodatku, zamiast wrócić prosto do domu, pojechał na swoją farmę.

- Bardzo cię... skrzywdzili?...

Pragnął ją pocieszyć, utulić w ramionach, ale wiedział, że w tej chwili nie należało tego robić.

Susan usiłowała zapanować nad sobą. Broda jej się trzęsła.

- Groził, że mnie... - Głos jej się załamał. Nastała cisza. W słabym świetle lampy widać było, że jej rysy są wyostrome, ściągnięte. Jej skóra miała barwę popiołu. Pierś wznosiła się nierównym oddechem. - Sprawił mi tyle bólu... - szepnęła. - Tak bardzo bolało...

Ku zaskoczeniu Daniela podeszła do niego i za-

trzymała się w odległości zaledwie kilku cali. Niepewnie - jakby obawiała się jego reakcji - uniosła ręce i oparła je lekko na jego piersi.

- Sprawił mi ból - szepnęła znowu. - Jej dłonie powędrowały wyżej. Objęła go za szyję. - Spotkałam ich już dawniej. On... zatrzymał mnie kilka dni temu na drodze do Ashton, ale ci o tym nie wspomniałam. Trzeba było powiedzieć!... Nie miałam pojęcia, kto to taki, ale rozpytywał o pinkertonów. Powinnam ci była powiedzieć...

- Ciiicho. - Daniel przytulił ją delikatnie. - Już nigdy - zaklinał się - już nigdy nikt cię nie skrzywdzi!

Oparła głowę na jego ramieniu, objęła go z całej siły. Ten uścisk nie był podobny do poprzednich. Dość zawsze Daniel pomagał jej opanować strach. Tym razem ciało Susan drżało z wściekłości. Jej gniew skierowany był przeciw realnym ludziom - sadystom, którzy tak ją skrzywdzili.

- Nienawidzę ich, Danielu! - szepnęła mu do ucha. - Przez nich czułam się taka bezradna i słaba!...

Crocker gładził ją po plecach, wyczuwając przez grubą, futrzaną kurtkę linię jej kręgosłupa.

- Wiem, Susan, wiem...

- Jeszcze im pokażę! Sami się przekonają, co to strach!... Zobaczą, jakie to straszne potrzebować czegoś, pragnąć czegoś - i nie móc tego osiągnąć!...

- Ciiicho...

- Oni jeszcze pożałują, Danielu! Pożałują, że ze mną zaczęli!... Udowodnię im, że nie zdołają mnie skrzywdzić... Że mogę być normalna... Że potrafię kochać, jak inne kobiety! - Odstąpiła o krok. Jej oczy błyszczały w mdłym świetle jak odłamki zielonego szkła. - Grozili, że jeszcze tu wrócą. Niech wracają - pożałują tego!

Daniel wiedział, że przewidywania Susan są słusz-

ne. Dooleyowie wrócą. Jak nie dziś, to jutro albo pojutrze. Znow im przeszkodził w zabawie - tego mu nie darują! Nie zostawią ich w spokoju.

Jego ramiona zacisnęły się wokół Susan. Starał się jak mógł pohamować swą wściekłość. Dooleyowie nic nie wskórają. Susan nawet włos nie spadnie z głowy - już on tego dopilnuje!

20

Esther zamknęła drzwi sypialni pana Gibby'ego i na palcach przeszła do sąsiadującego z nią saloniku.

- Donovan?... - zwróciła się łagodnie do męża.

Reed ocknął się ze snu.

- Czego chcesz, Essie? Czy coś się stało?

Uspokajająco pogładziła go po policzku.

- Nic, nic. Czemu nie wrócisz do domu? Ja muszę tu zostać przynajmniej do wieczora. Wracaj i prześpij się w prawdziwym łóżku!

Przetarł oczy.

- Mogę zostać z tobą. Naprawdę!

- Wracaj do domu, Donovanie! - nalegała. - Jak dzieci się obudzą, Susan będzie potrzebowała twojej pomocy. Zbieraj się!

Reed podniósł się, ziewając.

- Ale z ciebie zrzedą! - rzucił z uśmiechem. Pochylił się nad żoną, by ją pocałować. - Wrócę po śniadaniu.

Esther miała roztargnioną minę. Marszczyła brwi.

- Essie?

- Co?

Donovan wziął ją pod brodę.

- Co cię trapi?

Westchnęła.

- Z panem Gibbym nie jest najlepiej...

Reed czekał. Czuł, że żona ma mu coś więcej do powiedzenia.

- Wiesz... pan Gibby przeżył szczęśliwie czterdzieści lat ze swoją żoną, zanim umarła... W pobliżu mieszka osiem jego uroczych córek... A on w malignie wzywał tylko Daniela!

- Chyba nie naszego Daniela?

- Majaczy ciągle o jakimś Danielu - powtórzyła Essie. - Pinkertonie.

Reed, który właśnie wkładał kapelusz, zastygł z ręką w powietrzu. Małżonkowie wymienili znaczące spojrzenia. Nie padło ani jedno słowo. Byli ze sobą od tak dawna, tyle razem przeżyli, że nie potrzebowali słów, żeby się porozumieć. Donovan wiedział już, że zachowanie pana Gibby'ego zaniepokoiło Essie. Nie musiała mówić, że się chce dowiedzieć, co znaczą dziwne słowa aptekarza, co się za nimi kryje.

- Widać to nie był przypadkowy pożar!... Czyżby to miało jakiś związek z Danielem?...

- Wezmę latarnię i przed powrotem do domu zajrzę do apteki pana Gibby'ego. Obejrzę wszystko dokładnie. To mi nie zajmie wiele czasu.

Essie zatrzymała męża i przyciągnęła go do siebie.

- Bądź ostrożny!... Bardzo cię proszę: bądź ostrożny!...

Daniel zanurzył w misce z ciepłą wodą miękką bawełnianą szmatkę i otarł nią krew sączącą się z rozciętej wargi Susan. Kiedy dotknął zranionego miejsca, dziewczyna wzdrygnęła się.

- Kto ci to zrobił?

- Grant... Mówili do niego „Grant”...

- Ścierwo! - W oczach Daniela błysnęła wściekły gniew. Zrozumiał, że napaść na Susan była częścią kampanii wymierzonej przeciw niemu. Sam o tym nie wiedząc, naraził ją na niebezpieczeństwo.

Schwyciła go za nadgarstek. Ich spojrzenia zwały się. W płonących oczach Susan było tyle nieustępliwości, że Crockera opuścił nagle gniew i ogarnęło go niebotyczne zdumienie: wydarzył się cud!... Wypadek, który mógł spowodować u Susan nieodwracalny uraz, zwiększył tylko jej determinację pozbycia się balastu przeszłości!

- Danielu?... - Wpatrywał się w jej pełną dolną wargę. W półcieniu wydawała się miękka jak aksamit i gładka jak atlas... - Gdzieś ty był? Spodziewałam się, że wrócisz znacznie wcześniej!

Nadal ubrana w jego futrzaną kurtkę Susan wydawała się taka małeńka i bezbronna... I niesłychanie pociągająca.

- Co takiego? - mruknął z roztargnieniem.

- Gdzieś ty był?

Oczy miała takie ciemne, pełne życia, iskrzące się energią...

- Daleko.

Chwyciła go silniej za rękę.

- Nie rozmyśliłeś się, prawda?... Nadal chcesz, że-
bym poszła z tobą?...

To pytanie zdradzało ogrom jej lęku i dowodziło niesłychanego zaufania do Daniela. Wiedział, że gdyby ją poprosił, by towarzyszyła mu jako zwykły kompan, nie jako kochanka, zgodziłaby się od razu. To, że uzyskał nad nią taką władzę, równocześnie podniecało i trwożyło go.

Skóra Susan była o tyle jaśniejsza od jego skóry...
Ręce miała delikatne i smukłe...

- Nie, wcale się nie rozmyśliłem.

- Więc co się stało?

Jej gardłowy głos poraził Crockera, rozlał się żywym ogniem po całym jego ciele. Niegdyś rzucił Susan prosto w oczy, że pragnie czegoś więcej, niż posiada... Teraz pojął, że odnosi się to również do niego. Nie tylko pragnął *więcej* - pragnął wszystkiego!

- Danielu?...

- Nic się nie stało. Spotkałem się z moim szefem i powiedziałem mu, że chcę odejść z Agencji Pinkertona. - Wrzucił szmatkę do miski z wodą. - Chyba już pora osiąść na swoim.

Susan wstrzymała dech.

- A on co na to?

- Pozwoli mi odejść, jak wykonam ostatnie zadanie.

- Jakie zadanie?

Odgarnął jej z twarzy zwichrzone miedziane włosy.

- Nieważne. Uporam się z tym do końca tygodnia.

- A potem wycofasz się z Agencji i opuścisz Ashton?

Daniel odwrócił wzrok od jej bezradnych, niespokojnych oczu. Gdy nie odpowiedział od razu, Susan odsunęła się od niego.

Ponieważ bliskość dziewczyny utrudniała mu panowanie nad sobą, zerwał się na równe nogi i przeszedł na drugą stronę pokoju. Rozsunął story i zaparzył się w mrok za oknem.

- Pragnę... Bardzo bym chciał... - Dlaczego tak trudno wymówić te słowa?... Czemu utknęły mu w gardle jak gruda gliny?...

Odwrócił się do Susan i dostrzegł powagę w jej twarzy. Nie, to było coś więcej!... Ujrzał w niej nie-

złomną determinację. Zatrzymał się, ogarnięty nagłą niepewnością. Czy nie zachowuje się egoistycznie?... Może Susan byłaby szczęśliwsza z innym?...

Podeszła do niego i położyła drobną rękę na jego ramieniu. Z trudem nad sobą panował. Mogła dać tyle szczęścia mężczyźnie, który okaże cierpliwość, by mogła wyzwolić się z bolesnych więzów, zrozumie jej pragnienia, uleczy jej rany...

Palce Daniela drgnęły. Nie mogąc się powstrzymać, pogłodził Susan po policzku. Była taka delikatna, taka młoda... taka cholernie piękna!... Jak zdoła zachować obojętność wobec tej piękności - dzień po dniu, noc po nocy - nie nastawać na Susan, póki sama nie będzie gotowa?...

- Nie będę dla ciebie ciężarem, Danielu. Umiem gotować i sprzątać.

- Potrzeba mi czegoś więcej.

Susan cofnęła się, przygryzła zębami dolną wargę.

- Więc mnie nie chcesz?...

- Ależ chcę, kochanie moje! Pragnę całej ciebie, wszystkiego, co możesz mi ofiarować. - W głosie Daniela brzmiało głębokie uczucie. A jednak nadal się wahał; wiedział, że gdy przemówi, wszystko się ostatecznie rozstrzygnie. Nie będzie odwrotu. Ale już w chwili, gdy zaproponował Susan, by odeszła razem z nim, złamał zasady, których niezłomnie przestrzegał, odkąd przed czternastu laty opuścił sierociniec. Oto wiązał się z kimś, stawał się komuś potrzebny! Nie na chwilę, na resztę życia. W przeszłości, ilekroć miał kogoś, czuł się z kimś związany, nieszczęście spadało jak grom. Kochał Annie - i umarła. Tak samo było z mamą. Nawet - dawno temu - omal nie skrzywdził swym przywiązaniem Essie, gdy rzucił się

w jej obronie i zabił w bójce chłopaka. Zrodziło się w nim przeświadczenie, że nieszczęście chodzi za nim krok w krok, jak złowieszczy cień.

Ale *nie mógł* wyrzec się Susan!...

Ręka sama mu opadła. Wpatrywał się w dziewczynę z natężeniem; dostrzegł pochylenie głowy, napięcie w twarzy...

- Wyjdź za mnie.

W pokoju zapanowała cisza - rozbrzmiewało w niej tylko echo słów Daniela. Czekając na odpowiedź, obserwował reakcję Susan: niedowierzanie... radosne zdumienie... wątpliwości...

- Dlaczego mnie o to prosisz, Danielu?

To pytanie zaskoczyło go. Nie oczekiwał co prawda, że Susan zacznie skakać i piszczeć z radości, ale czegoś takiego również się nie spodziewał!

Dlaczego?... Cóż miał jej odpowiedzieć?... Że zgłupiał ze szczętem, że płonął z pożądania?... Że wrosła raz na zawsze w jego serce?...

Krępiąc się wyjawić prawdę, wykręcił się słowami:

- Opiekowałem się tobą od małego, a teraz... - W oczach dziewczyny błysnęła uraza. Crocker urwał i zaklął pod nosem. - Nie. Wcale nie chodzi o to.

- A o co?

Przeszył go nagły ból. Kurtka osunęła się i błysnęło spod niej kremowe ramię. Delikatne, szczupłe, poznaczone sińcami...

Ostrożnie poprawił na niej kurtkę. Wystarczyło jedno dotknięcie, by wezbrało w nim pożądanie - jakby był uczniakiem.

- Danielu?... - W głosie Susan nie było lęku. Niczego nie pojmowała.

Gdy wpatrywała się w niego wielkimi, zdumiony-

mi oczyma, Daniel poczuł, że ponad wszystko w świecie pragnie ujrzeć, jak w Susan budzi się namiętność, jak odkrywa, że życie to nie tylko lęk przed nieznanym, to o wiele więcej...

Zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele pragnie: chciał za wszelką cenę zatrzymać Susan przy sobie, pragnął być tym, kto zdoła ją rozbudzić!... Był pewien, że zostanie ukarany za tę zaborczą miłość. W przeszłości zawsze spotykała go kara, ilekroć chciał kogoś zagarnąć dla siebie.

Ale tym razem wszystko będzie inaczej! - zapewniał go jakiś cichutki głos. Był przecież starszy, rozsądniejszy. Umiał się bronić. Potrafi obronić także Susan!... Wyzwolił się od swego pecha w chwili, gdy pojechał za nią do Ashton... A jeśli nawet zostanie ukarany za to, że pragnie ją mieć?... Gotów był zapłacić każdą cenę za kilka słodkich godzin spędzonych z Susan!... Zresztą, pomagając jej wyzwolić się z lęku, wyrówna rachunek, który opatrność wystawi mu za to, że ośmielił się być szczęśliwy!...

- Danielu, dlaczego chcesz, żebym wyszła za ciebie?

Delikatna dłoń dotknęła jego policzka. Crocker poczuł gwałtowny skurcz w brzuchu. Miał oto przedsmak męczarni, które czekają go w przyszłości. Być może Susan nigdy nie dowie się, co to namiętność. Tkwiący głęboko w jej mózgu strach nie rozwieje się tylko dlatego, że on tego pragnie!... Istniała jednak pewna szansa - a Daniel gotów był podjąć ryzyko.

Przygarnął dziewczynę do siebie, ukrył twarz w jej gęstych włosach.

- Możesz rozpocząć ze mną całkiem nowe życie. Będiesz tym, czym sama zechcesz.

- Ale co z tobą, Danielu? Dlaczego chcesz wziąć na barki taki ciężar jak ja?

- To dla mnie żaden ciężar...

- Dlaczego?!

- Mam swoje powody.

- Więc ja mam być czym tylko zechcę... A ty - kim będziesz?...

Daniel odsunął się. Instynktownie wyczuł, czego Susan próbuje się dowiedzieć: czy zamierza upominać się o swoje prawa, jeśli zostanie jej mężem?... Popatrzył na nią otwarcie. Pozwolił, by dostrzegła w jego oczach błysk niesamowitego pożądanego, jakie w nim budziła.

- Będę twoim mężem. W całym znaczeniu tego słowa.

- Danielu... ja nie jestem taka jak inne kobiety.

Widać zdawała sobie sprawę z tego, że musi pokonać jeszcze wiele emocjonalnych barier.

- To prawda. Nie jesteś taka jak inne kobiety. - Ujrzał w jej oczach cień bólu, więc pospieszenie dodał: - Jesteś cudowna! Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś równie dobrego i szlachetnego!... Próbuję ci powiedzieć, że nie jestem cię wart...

- Danielu!

- Pozwól mi skończyć. Wiem, że nie należę do mężczyzn, z którymi większość kobiet chciałaby się związać... Ale nigdy cię nie skrzywdzę, Susan. I póki żyję, nikt inny też ci nie wyrządzi krzywdy!

- Więc chcesz się ze mną ożenić tylko po to, żeby się mną opiekować! - podsumowała. - Potrafię sama o siebie zadbać, Danielu! Jeśli to jedyny powód...

- Nie, Susan. To nie jest jedyny powód. - Pogładził ją po włosach. Po pięknych, jedwabistych włosach.

- Więc dlaczego, Danielu?...

Zmusi go do tego, by jej powiedział! Żeby upokorzył się do reszty i wyjawiał jej całą prawdę... Słowa wzbierały mu w gardle, usta już się otwierały...

- Bo ty mnie potrzebujesz, a ja...

Podniósł na nią oczy. Susan osłupiała, ujrawszy to co się w nich kryło. Była w nich samotność porzuconego dziecka i obawa doświadczonego przez życie mężczyzny.

A potem wyrzekł słowa, które wystarczyły, by Susan odważyła się wkroczyć w nieznaną świat i stoczyć bój ze swą niepewnością i strachem.

- Myślę- Nie, *wiem*, że i ja potrzebuję ciebie...

21

Dłoń Susan zacisnęła się na zdobitym jej szyję medalionie. Przesuwając opuszkami palców po zatar-tym już wzorku, zesłała po cichutku tylnymi schodami, omijając najbardziej skrzypiące stopnie. Za kilka minut będzie już mężatką!...

Donovan i reszta mieszkańców Benton House byli niebotycznie zdumieni, dowiedziawszy się o ich małżeńskich planach. Chyba tylko Esther domyślała się, co w trawie piszczy.

Natychmiast zaczęła ich namawiać, by się pobrali na wiosnę, ale Daniel za nic nie chciał z tym czekać. Nie zgodził się nawet odłożyć ceremonii do chwili, gdy zjawią się pierwsi goście na zjazd wychowanków. Trzymając Susan mocno za rękę, upierał się, że wezmą ślub za trzy dni. Jeśli państwo Reed nie wyrażą

na to zgody... cóż, wyjadą wówczas oboje z Benton House i pobiorą się gdzie indziej.

Susan żałowała, że nie wezmą ślubu w kaplicy świętego Franciszka, ale nie zgłaszała sprzeciwu. Małżeństwo z Danielem wydawało jej się szczęśliwym zakończeniem pięknej baśni, zdobyciem nieosiągalnego skarbu. Miała wrażenie, że śni, i bała się za wiele o tym mówić w obawie, że czar pryśnie. Zaklinała więc Essie, by wyraziła zgodę. Następnie uzgodniła z miejscowym proboszczem, że udzieli im ślubu, i zaprosiła siostrę Mary Margaret i Maxa, by wzięli udział w rodzinnej uroczystości. Chociaż olbrzym wpadł w rozpacz na wieść, że Susan wychodzi za Daniela Crockera, siostra Mary Margaret zapewniła pannę młodą, że Max stawia się z pewnością - już ona go dopilnuje!

Susan ujęła za klamkę i wślizgnęła się do gościnnego pokoju.

- Danielu?...

Usłyszawszy jej cichy głos, Crocker odwrócił się od lustra. Poprawiał właśnie wążutki krawat. Jego zaskoczenie błyskawicznie przerodziło się w radość.

- Jakaś ty piękna... - westchnął prawie niedosłyszalnie.

Włosy panny młodej spływały jej po plecach kaskadą loków. Rozpuściła je specjalnie dla Daniela. I nie miała na sobie nic czarnego! Suknia, nad którą Esther pracowała dzień i noc, by wykończyć ją na czas, miała delikatną barwę śmietanki - podobnie jak pończochy, pantofle i halki Susan.

Podeszła do Daniela, unosząc delikatnie palcami spódnice.

- Kilka minut temu Esther przyszła do mego pokoju. Odbyłyśmy krótką rozmowę. - Susan odwróciła się, zakłopotana tym, co zamierzała powiedzieć

i uczynić. Chciała jednak upewnić się, że będzie taką żoną, na jaką Daniel zasługuje. Musiała sprawdzić, czy zdoła bez lęku stawić czoła namiętności.

- Czy coś się stało? - spytał oblubieniec.

- Danielu, ja...

- Rozmyśliłaś się? - Jego oczy straciły wszelki wyraz. Były teraz kawałkami lśniącego, błękitnawego lodu... Dawno już tak nie wyglądały.

- Nie! Muszę ci tylko... Pocałuj mnie, Danielu!...

- Co?...

- Pocałuj mnie, proszę.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie możesz z tym poczekać do ślubu?

- Proszę cię, Danielu!... - nalegała.

- A jak mam cię pocałować: po przyjacielsku, z rezerwą, a może jak siostrę?

- Nie żartuj!

Crocker starał się zachować powagę, ale drgające kąciaki ust zdradzały jego rozbawienie.

- Postanowiłaś sprawdzić towar przed kupnem, co? Wobec tego przydałyby się chyba dokładniejsze oględziny?... Ale zdaje się, że widziałaś już prawie wszystko... Nieprawdaż?

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła usta do jego ust. Jakiż był silny!... Czuła się przy nim tak pewnie: mogła uwierzyć, że pokona cały świat!

Gdy Daniel wreszcie ją puścił, uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Powiesz mi, co to wszystko miało znaczyć?

- Musiałam sprawdzić, czy... jestem zdolna do uczuć, o których mówiła mi Essie.

Przytulił jej dłoń do swego policzka, a potem wolniutko pociągnął ją niżej... i jeszcze niżej.

- Sprawdzaj sobie, co tylko chcesz!

- Danielu!

Spłonęła rumieńcem, a Crocker roześmiał się, dotknął lekko jej brody i zamknął usta krótkim pocałunkiem.

- Wrócimy do tego później. Kiedy będziemy już mężem i żoną i zostaniemy sami. - Puścił Susan, wy dobył z kieszeni zegarek i szczerknął kopertą. - Już jesteście spóźnieni!... Poproszę, by poczekał jeszcze minutkę czy dwie, a ty przyczesz włosy.

Spojrzał na nią tak gorąco, że pierzchnęły wszelkie obawy. - Pobieramy się i już, Susan - oświadczył stanowczo. - Do zobaczenia w salonie! Nie marudź!

Nie minęło nawet piętnaście minut, a Susan stała już przy boku Daniela. Otaczały ich świątecznie wystrojone sierotki. Jedna z dziewcząt grała na stojącym w kącie pianinie, reszta śpiewała. Essie popłakiwała z radości. Siostra Mary Margaret dosłownie promieniała w roli opiekunki panny młodej. Donovan był drużbą Daniela. Max z wyraźną niechęcią trzymał obrączki, wpatrując się w Susan wielkimi, pełnymi wyrzutu oczami.

- Możemy zacząć? - spytał ojciec Parker, zakładając binokle. - Zebraliśmy się tu dzisiaj...

Susan wpatrywała się zachłannie w wysoką, atletyczną postać Daniela w czarnym surducie i białej, wykrochmalonej koszuli. Bez wątpienia, dokonała trafnego wyboru! Silny, wysoki, nieugięty Daniel był uosobieniem cnót, z którymi na Zachodzie zaznajamiano mężczyzn od urodzenia: odwagi, honoru i dumy.

- Znowu jakieś wątpliwości? - mruknął Daniel, udając, że słucho księżowskich rad.

Susan ścisnęła go mocniej za rękę.

- Nie!

Złożenie przysięgi nie trwało długo. Przez cały czas Susan była odprężona i spokojna; wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Chłodna w dotyku złota obrączka, którą mąż wsunął jej na palec, była namacalnym dowodem złożonej przez nich przysięgi.

Na zakończenie ceremonii ojciec Parker oświadczył:

- A teraz możesz pocałować żonę.

Daniel pochylił się ku Susan i chwycił ją w ramiona. Ani ona, ani poczciwy ksiądz, ani nikt inny nie mógł mieć wątpliwości, że to będzie prawdziwe małżeństwo!

Kiedy Daniel ją puścił, Susan omal nie upadła. Dotknęła swych warg. Całował ją zachłannie, namiętnie. A jednak wcale się nie przestraszyła... Nabrała ochoty na więcej!...

Chrapliwe tykanie strudzonego zegara rozlegało się w salonie, podkreślając jeszcze milczenie, które zawisło jak ciężka chmura nad dwojgiem ludzi siedzących na wyściełanej włosiem kanapie. Byli od siebie oddaleni mniej więcej o stopę, ale odczuwali wzajemną bliskość tak silnie, jakby siedzieli sobie na kolanach.

Susan zerknęła spod rzęs w prawo, w stronę siedzącego obok niej mężczyzny. Nigdy dotąd nie widziała Daniela zbitego z tropu... Teraz jednak wyraźnie czuł się nieswojo. Goście już się rozeszli; jeśli nie liczyć ojca Parkera, który chrapał spokojnie na fotelu w kącie, byli sami. Z pomieszczeń na tyłach domu dolatywał głos Donovana, zapędzającego chłopców do łóżek, i Essie, wkładającej ostatnie talerze do zlewu.

Susan zastanawiała się, jak długo Daniel będzie

jeszcze zwlekał z propozycją pójścia do sypialni. Napiecie sięgało zenitu, niemal słysząc było trzask iskier elektrycznych. Była już prawie dziesiąta, a Daniel do tej pory nie zdjął surduta ani nie rozluźnił krawata; wydawał się przez to jeszcze sztywniejszy. Ciekawe, kiedy zamierza rozpiąć guziki, zdjąć kamizelkę, pozbyć się szelek?... A potem...

Przeszedł ją dreszcz. Nie przestała jednak myśleć o tamtej nocy, kiedy zdjęła Danielowi koszulę i oparzyła ranę. Jego ciało było wówczas takie gorące i sprężyste... Takie silne.

- Zmęczona?...

Susan aż podskoczyła, kiedy mąż do niej się odezwał - po raz pierwszy od godziny. Twarz miał poważną, ale nie dostrzegła na niej gniewu ani bezsilności... Nie, to było coś innego... Bardziej niepokojącego.

Nadeszła oczekiwana chwila.

- Owszem, jestem zmęczona. - Zegar z trudem wyrzucił godzinę. - Danielu?...

- Słucham?... - Głos miał gardłowy i szorstki.

Susan oblizła wyschnięte usta.

- Danielu, Essie mówi, że to wcale nie musi być takie straszne...

Odchrząknął.

- Cóż ci jeszcze mówiła?

- Mówiła mi... mówiła, że... - Dostrzegła lekki rumieniec na policzkach Daniela. Czy i jej płonie twarz?... - Mówiła, że mężczyznom prawie zawsze sprawia to przyjemność... - Pojawiły się znów wspomnienia tamtej nocy sprzed wielu, wielu lat. Mężczyźni rechoczący w pijackiej uciechu, krzyżący ochryple z rozkoszy...

Jakby wyczuwając jej niepokój, Daniel dotknął jej

policzka. Przymknęła oczy i skupiła się na palcu sunącym dalej, po szyi... Uchwyciła się tego fizycznego kontaktu jak ostatniej deski ratunku. *Musi* przemóc swój strach! *Musi!*

Bojąc się, że mąż wyczuje jej zdenerwowanie i odsunie się, Susan mówiła dalej:

- Essie powiedziała mi, że dla kobiety to może być także przyjemne. Jeśli kocha tego mężczyznę. I jeśli jemu zależy na niej.

Crocker przełknął ślinę, aż jabłko Adama podskoczyło. Zanurzył ręce w kaskadzie loków spływających po plecach żony. Delikatne włoski na jej karku zjeżyły się pod tym dotknięciem.

- Tylko o tym rozmawiałyście z Essie? - spytał gładko, nie zdradzając się, że i w nim dygoczą wszystkie nerwy.

- Nie. Powiedziała mi jeszcze, że jesteś potężnym mężczyzną, więc...

- Niech to wszyscy diabli! - przerwał Daniel pospiesznie, choć nadal szeptem. Zerknął na nieruchomą postać księdza: czy się aby nie obudził i nie usłyszał czegoś?... Gdy odwrócił się znów do Susan, światło lampy podkreślało twardość jego rysów, ale w jego oczach była ogromna czułość. - Zakładam więc, że nic cię nie zdziwi ani nie zaskoczy, gdy pójdziemy razem do łóżka.

Serce jej podskoczyło w piersi. Chciał się z nią kochać!... Po całodziennej niepewności Susan otrzymała wreszcie odpowiedź.

- Kiedy to będzie?...

Jej pytanie zaskoczyło go. Wstał i podszedł do okna.

- Kiedy, Danielu?

- Już wkrótce.

- Jeszcze dziś?

- Zobaczymy. Idź już do sypialni, Susan. Ja muszę jeszcze zajrzeć do mego konia i zatroszczyć się o niego przed nocą.

Susan nie protestowała, ale idąc już na górę, zatrzymała się, a potem wróciła do męża. Uchwyciwszy się jego ramienia, stanęła na palcach i przycisnęła wargi do jego policzka. W jego oczach coś zabłyśło... Pożądanie? Zaskoczenie?

- Dobranoc! - Odsunęła się od niego i wybiegła z pokoju.

Daniel spoglądał za nią. W lędźwiach wzbierało mu pożądanie. Usiłował zignorować gwałtowną reakcję ciała. Jak to się działo, że jeden niewinny gest, jedno słowo Susan podniecało go znacznie silniej niż uwodzicielskie zabiegi doświadczonych kobiet?...

Nie wkładając nawet kurtki, wymknął się z domu. Wiedział, czego dzisiejszej nocy spodziewała się po nim Susan. A w dodatku, pożał się Boże, oczekiwała tego reszta domowników!... Daniel musiał przyznać, że jest zdenerwowany jak nigdy. Nawet lęk przed inicjacją seksualną był niczym w porównaniu z niepokojem, który teraz go ogarnął!

Następnych kilka godzin zadecyduje nie tylko o losach ich małżeństwa, ale i o tym, jak przez resztę życia Susan będzie się odnosić do miłości fizycznej. Jeśli ją dziś przestraszy, współżycie będzie się jej zawsze kojarzyło z lękiem. Jeżeli jej nie tknie, uzna to za dowód, że nie sprawdziła się jako kobieta. Wszystko, co teraz robi, zaciąży nad przyszłością Susan. Była to myśl nie tylko niepokojąca, ale wręcz paraliżująca.

Wszedłszy do dusznej stajni, Crocker zajął się noclegiem Wodza, a potem sypnął mu dodatkową porcję owsa. Na odchodnym przystanął jeszcze i klepnął wałacha po zadzie.

- No cóż, mój stary! - mruknął. - Przynajmniej jeden z nas będzie miał spokojną noc. - I dodał z żalem: - Szkoda, że to nie ja!

22

Kiedy Daniel wracał ze stajni do domu, zegar wybił w pół do jedenastej. Na korytarzach było ciemno. Ojciec Parker najwidoczniej obudził się i poszedł do domu.

Daniel zaśwycił jedną z lamp pozostawionych na stole w głównym holu i starał się opanować nerwowe skurcze w żołądku. Może Susan już śpi?... Dzień był męczący, a wieczór włókł się bez końca. Z pewnością była równie wyczerpana, jak on.

Położył rękę na dębowej poręczy schodów, zawałał się, a potem - pełen pogardy do samego siebie - pomaszerował korytarzem do gościnnego pokoju. Tylko się umyje i weźmie to i owo z ubrania... Potem się zastanowi, jak i kiedy najlepiej będzie wejść do sypialni Susan.

Idąc korytarzem, Daniel miał ochotę kłać na cały głos. Każda deska podłogi oznajmiała gromko, że oblubieniec się zbliża! Wszyscy mieszkańcy Benton House dowiedzą się bez trudu, dokąd się uda i jak długo tam pozostanie!... A jeśli podłogi były tak gadatli-

we, to czego się można spodziewać po łóżku Susan?!

Zacisnął dłoń na klamce i szarpnął nią tak mocno, że omal nie została mu w rękę. Otworzył drzwi na oścież i podniósł wysoko lampę.

Pokój był ogołocoony ze wszystkiego! Znikły jego ubrania. Juki. Nawet dzbanek i miska, które stały na komodzie. Danielowi serce zamarło, gdy spojrzał na łóżko odarte z pościeli, ze zwiniętym materacem w głowach.

- Daniel?... Co ty tu robisz, u diabła?!

Crocker podskoczył jak ugodzony kulą.

Donovan zamknął za sobą drzwi do sypialni chłopców i na bosaka poczłapał korytarzem. Koszulę miał rozpiętą; widać było jego nadal sprężysty brzuch.

- Czemu nie jesteś na górze?...

Daniel otworzył usta. I zaraz zamknął. Cóż miał powiedzieć?... Z pewnością nie przyzna się Donovanowi, że tchórz go obleciał i nie ma odwagi wejść do sypialni Susan. *Swojej żony!* I nie zwierzy mu się z tego, że planował spędzić jeszcze godzinę na dole, modląc się, by Susan zasnęła, zanim wejdzie do jej pokoju!

- Przyszedłem po moje ubrania - burknął, unikając kpiącego spojrzenia Donovana.

- Już je stąd wyniosłem. Sądziłem, że nie będziesz miał na to czasu. Pomyślałem też, że wam obojgu będzie wygodniej w sypialni Susan, z dala od tej dziury w ścianie! Ale jutro pomogę ci przenieść się tu z powrotem, jeśli będziesz chciał.

Daniel poczuł się nagle jak rozpłodowy ogier, który ma na oczach tłumy pokryć klacz.

- Nie, nie. Masz zupełną rację. - Jego głos przypominał skrzek zdychającej żaby. - Zresztą, spędzimy tu jeszcze tylko jedną, najwyżej dwie noce.

- Dokąd zabierasz żonę?

- Do siebie. - Deski skrzypiały pod nogami Crockera, gdy zmierzał w stronę tylnych schodów. - Tam będziemy mieli wreszcie spokój!

Susan przeszła na drugi koniec sypialni. Przystanąła, kuląc bose stopy, które zmarzły na zimnej posadzce. Postawiła jedną na drugiej i objęła się ramionami, próbując nieco się rozgrzać. Wpatrywała się w okno niewidzącym wzrokiem. Czekwała. Niepokoiła się.

Przed kilkoma minutami, stojąc przy tym samym oknie, obserwowała powrót Daniela ze stajni. Ale mąż, zamiast przyjść do niej, pozostał na dole... Pałce Susan bawiły się miękkim paskiem szlafroka. Niedługo się tu zjawi! Przecież musi!

Czyżby?...

Gryząc dolną wargę, spojrzała na swe odbicie w szybie i zmarszczyła brwi. Miała na sobie jeden ze starych szlafroków Essie i zbyt obszerną nocną koszulę, w której Daniel już ją raz widział. Dooleyowie zniszczyli drugą, a więcej koszul nie miała. Nie był to strój zbyt powabny... Za to włosy splotła porządnie i związała wstążeczką. Skóra aż błyszczała po myciu, a ręce... Cóż, ręce były lodowate i trzęsły się... Jeśli Daniel wkrótce się nie zjawi, będzie musiała...

Za jej plecami drzwi raptownie się otworzyły.

Susan odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Danielem. Drzwi zakołysały się na zawiasach, zamek zatrzasnął się.

- Poszedłem po moje ubrania.

- Ach, tak?...

- Ale ich nie znalazłem - dodał.

- Nie?...

- Nie.

I co dalej?... Nie miała mu *nic więcej* do powiedzenia!

- Donovan powiedział, że je tu zaniósł.

- Nie.

- Co „nie”?

- Nie przyniósł ich tutaj. Myślałam, że zostały na dole.

Daniel zmarszczył brwi.

- Co on, u diabła, zrobił z moimi rzeczami?!

Milczenie.

- A co chciałeś na siebie włożyć? - spytała Susan, nerwowo otulając się szlafrokiem.

- Nic! - Widząc jej zdumione spojrzenie, dodał: - To znaczy... chciałem się najpierw umyć.

- Przydałaby ci się koszula nocna?

- Co takiego?!

- Donovan ich chyba nie nosi... ale może u chłopców znalazłoby się coś odpowiedniego?...

- Po diabła mi nocna koszula?! - Widząc, że Susan zbladła, dodał pośpiesznie: - To znaczy... - i westchnął:

- Psiakrew!...

Przez dłuższą chwilę nie odzywał się. Susan wskazała stojącą na umywalce miednicę i dzbanek.

- Zostawiłam dla ciebie trochę wody. Jeszcze ciepła.

- A, tak... Dziękuję. - Po chwili wahania zdjął surdut. Bardzo starannie powiesił go na oparciu fotela na biegunach, który Susan przesunęła w kąt pokoju. Potem szarpnął wążutki krawat.

Miał się tu myć. Na oczach Susan. W jej sypialni.

- Może się położysz?... Chłodno tutaj.

Susan ogarnął strach.

- Mam zdjąć nocną koszulę?...

- Co takiego?! - Daniel odwrócił się twarzą do niej.

- Nie, nie. Tak jest zupełnie dobrze. Doskonale!... - Kiedy się nie poruszyła, westchnął. - Wejdz pod kołdrę! Jeszcze mi się przeziębisz.

- Z której strony mam spać?

Crocker popatrzył na wąskie łóżko. Co tu gadać o stronach?! Cud się stanie, jeśli w ogóle się w nim zmieszczą!...

- Wszystko jedno.

Susan zdjęła szlafrok i wślizgnęła się do łóżka. Kołdra była zachęcająco odchylona. Poczuła na skórze chłód pościeli. Okryła nogi prześcieradłem, ciężkim wełnianym kocem i pikowaną kołdrą. Podciągnęła kolana pod brodę i podkuliła stopy. Oparłszy się o wezgłowie, nakryła się kołdrą po szyję. Choć na wąskim łóżku było to niełatwe, zdołała przesunąć się na bok, pozostawiając nieco miejsca dla męża.

Daniel zauważył, że zajęła pozycję bliżej drzwi, i uśmiechnął się krzywo.

Przez kilka następnych minut przeżywał męki zażenowania. Nie był niewiniątkiem, jeśli chodzi o kobiety! Jako dziewięciolatek ukrywał się w jednym z najbardziej luksusowych burdeli Pensylwanii. Wkrótce ten świat nie miał dla niego żadnych tajemnic. W wieku lat piętnastu sam zaczął eksperymentować na tym polu. Od tego czasu rozbierał się w obecności Bóg wie ilu damulek!

Ale teraz... teraz miał się rozebrać na oczach Susan. *Swojej żony*. Ku jego najwyższemu zdumieniu ręce mu się trzęsły, gdy zdejmował krawat i rozpiął koszulę. Po sekundzie wahania ściągnął ją. I zadygotał. Nie z racji chłodu w pokoju, tylko pod przenikliwym wzrokiem Susan.

Próbował zapomnieć o tym, że żona mu się przy-

gląda, kiedy nalewał wody z dzbanka do miski. Ale czuł na sobie jej spojrzenie - jakby rozpalony palec sunął mu po grzbiecie!...

Nabrał wody w dłoń i obmył twarz i szyję. To, co miało mu pomóc w opanowaniu nagłego pożądania, tylko je wzmogło!... W lustrze nad komodą widział Susan: wpatrywała się w krople spływające po jego piersi.

- ... ręcznik wisi na...

- O czym ty mówisz? - przerwał jej.

Ich oczy spotkały się w lustrze.

- O ręczniku, którym możesz się wytrzeć. Rozłożyłam też twoje przybory toaletowe... Donovan je tu przyniósł.

Głos Susan stał się gardłowy i drażnił nerwy Daniela jak dotyk szorstkiej ręki. Kiwnął głową i gapił się na drżącą powierzchnię wody. Trzeba się z tym uporać. Jak najprędzej!

Szybko ochlapał wodą pierś i pachy, nie mając pojęcia, że światło lampy połyskuje na jego złotawej skórze. Susan jednak zauważyła to. Dostrzegła, jak przy każdym ruchu Daniela jego muskuły prężą się i kurczą. Krople wody przylgnęły do delikatnej, jedwabistej kępy włosów na jego piersi. Jeden zbłąkany strumyczek wymknął się z tej pułapki i popłynął w dół bruzdą pośrodku brzucha. Kiedy zapuścił się w okolice, których nie można było dostrzec w lustrze, Susan wyobraziła sobie, jak woda spływa po twardej płaszczyźnie brzucha i tworzy sadzawkę w zagłębieniu pępka.

Potem Daniel zabrał się do golenia.

- Myślałam, że nie golisz się na noc?...

Otworzył już usta, by jej odpowiedzieć, ale zamknął

je z powrotem. Jak miał jej to wyjaśnić? Niebawem sama zorientuje się, że słońce nie wpływa na porost brody, jak jej kiedyś tłumaczył. Wyobrażał sobie, jakie przypuszczenia zrodzą się wówczas w jej głowie!

W końcu uporał się z myciem i przewiesił ręcznik przez ucho dzbanka. Potem przykręcił knot lampy i pokój pogrążył się w ciemności. Powinna rozładować napięcie... Nic z tego. Mroczne powietrze aż wibrowało od niego.

Daniel spiesznie zrzucił buty, skarpetki i spodnie; pozostał w samych tylko grubych, wełnianych kalesonach. Podeszedłszy do łóżka, zaczął zastanawiać się całkiem serio, czy nie lepiej przespać się na podłodze?... Ale sądząc z szelestu pościeli, Susan odsunęła się i leżała bez ruchu na samym brzeżku materaca, omal nie spadając z łóżka.

Crocker przymknął oczy i wezwał boskiej pomocy.

Susan leżała na wznak, z rękoma wzdłuż ciała; kurczowo trzymała się krawędzi łóżka. Mimo to, gdy Daniel wsunął się pod kołdrę, ich ciała nieustannie się stykały. Ku swej nieopisanej uldze Susan przekonała się, że mąż miał na sobie kalesony - w odróżnieniu od tamtego poranka, gdy ujrzała go osłoniętego jedynie prześcieradłem.

Wlokły się długie, pełne skrępowania minuty, a oni leżeli jedno obok drugiego, bojąc się poruszyć. Susan myślała z przerażeniem: Kiedy to się wreszcie zacznie?! - Oddech Daniela stawał się coraz szybszy. Z jego ciała buchał coraz większy żar - podczas gdy ona zmieniała się w sopel lodu.

Próbując dodać sobie odwagi, zacisnęła ręce w pięści.
- Co mam robić?... - wykrztusiła.

Daniel miał już nadzieję, że żona zasnęła, ale widąc się pomylił.

- Może być... - Urwał, wzdrygnawszy się na sam dźwięk swego głosu. W ciemności wydawał się taki gruby, dudniący!... Przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz:

- Może być przysunęła się do mnie?...

Po chwili poczuł, że materac koło niego ugina się. Wysunął rękę i przyciągnął Susan bliżej, aż wreszcie jej głowa spoczęła w zagięciu jego ramienia, a pierś przyłgnęła do jego żeber. Poczuł, jaka jest pełna i krągła - i wezbrało w nim oczekiwanie. Pulsował całą szaleńczą, zapierającą dech energią.

Mimo iż byli dobrze okryci, a z ich ciał promieniowało ciepło, Susan zaczęła drżeć. Ponieważ wszystkie ich dotychczasowe pieszczoty zaczynały się od gładzenia po twarzy, Daniel bardzo powoli przesunął kostkami palców po policzku żony. Jej skóra była taka jedwabista... Urzekająca!... Zastanawiał się gorączkowo: czy to możliwe, by cała Susan była równie słodka?...

Po jakimś czasie znowu się odezwała.

- Danielu?...

- Co?... - Ledwie mógł zebrać myśli. Jak długo jeszcze zdoła to wytrzymać?! Obejmować ją, pieścić - i nigdy nie dać ujścia namiętności!... Nie zdradzić się nawet przed Susan, jak bardzo jej pragnie, jak jest mu niezbędna!...

- Co mam dalej robić?

To pytanie sprawiło, że omal nie wyskoczył ze skóry.

- Może... połóżysz mi rękę na piersi?

Był pewien, że Susan tego nie zrobi. Tyle razy już wycofywała się w podobnej sytuacji!... A gdyby mogła czytać w jego myślach, uciekłaby z krzykiem!... A jednak nieśmiało, z wahaniem położyła rękę na jego torsie. Dotyk smukłych palców na gołej skórze parzył go żywym ogniem.

Czas płynął. Susan nadal drżała w jego ramionach, ale mniej gwałtownie. Danielowi pozostała już tylko nadzieja, że żona zaśnie, nim on zwariuje do reszty!

- A czy ty nie chciałbyś mnie dotknąć, Danielu?

Jej słowa sprawiły, że stracił resztki opanowania. Nie miał sił dłużej zмагаć się ze swą namiętnością, zwłaszcza że w głosie Susan usłyszał zachętę. Nie oparł się pokusie.

Wiedząc, że nie wolno mu wykorzystać w pełni zaproszenia żony, nie dotknął jej gładkiego ciała; rozwiązał tylko prążkowaną wstążkę krępującą jej włosy. Jak o tym marzył od dawna, jedwabiste fale rozsypały się pod jego ręką; przeczesywał je palcami, spływały mu na pierś. Miękkie loki łaskotały go, dręczyły... Świeży zapach wody różanej i lawendy uderzył mu do głowy.

Ośmielona sukcesem Susan przesunęła rozwartymi dłońmi po piersi męża. Jej ręce badały każdą wypukłość, każde wgłębienie... Daniel jęknął i starał się zapanować nad sobą, gdy palce Susan błędziły wśród kędzierzawych włosów na jego piersi, ślizgały się po napiętej skórze, aż wreszcie dotknęły sutka.

To nieśmiałe muśnięcie wznieciło w nim prawdziwy pożar. Przechylił głowę żony nieco w bok i spadł na jej usta zachłannym pocałunkiem. Błądził językiem po jej wargach, po jej zębach... Po chwili zmienił pozycję: przycisnął Susan do łóżka, uniósł nogę i przywarł udem do jej uda.

Ich ciała były dla siebie stworzone! Nigdy nie czuł się tak naturalnie w objęciach żadnej innej kobiety. Tak bardzo jej pragnął!... Marzył o tym, by jej ramiona zacisnęły się wokół niego, by wygięte w łuk ciało prężyło się ku niemu...

Poczuł, że Susan drży; przytulił się do niej jeszcze

mocniej, sądząc, że ciągle jest jej zimno. Wówczas zadygotała znowu. Z jej ust wydarł się urywany szloch.

Daniela ogarnął nagły wstyd i wstręt do siebie. Posunął się za daleko!

Susan usiłowała się wyrwać, lecz przytrzymał ją stanowczo i pragnąc ją uspokoić, szeptał jakieś niemądre, pieszczotliwe słowa. Kiedy obiema rękami próbowała go odepchnąć, ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by popatrzyła na niego. W zalanym księżycową poświatą pokoju ujrzał w jej oczach strach i wstyd.

- Ależ, Susan... to nie była twoja wina! - zapewniał ją. - To ja zbyt się pospieszyłem!

Zakryła oczy rękami.

- Przepraszam!... - Wyślizgnęła się z jego objęć i zerwała z łóżka. Podbiegła do komody i zapaliła lampę. Musi rozproszyc mrok! Odegnąć strach!...

- Susan, nie uciekaj ode mnie! Uporamy się z tym, ale tylko wtedy, gdy nie będziesz uciekać, ilekroć coś cię zaniepokoi.

- Zaniepokoi?... Zaniepokoi?!... - Odwróciła się ku niemu. W księżycowym blasku widział jej nieprzytomną z przerażenia twarz. - Ja nie mogę tego zrobić! Nie mogę!

- Mamy dużo czasu.

- Nie! Nic nie rozumiesz!... Myślałam, że gdy się pobierzemy, wszystko będzie dobrze!... Ale nie mogę uciec od przeszłości! Kiedy mnie dotykasz, wciąga mnie czarna noc, dusi mnie... nie mogę się od niej uwolnić! - wykrztusiwszy te słowa, Susan nagle zbladła. Jak można coś takiego wyznać nowo poślubionemu mężowi?...

Daniel siadł na łóżku i przegarnął palcami włosy. Przykrycie zsunęło mu się do bioder, przez co wydawał się jeszcze bardziej męski.

- Nie ożeniłem się z tobą tylko po to. Fizyczne współżycie to zaledwie cząstka więzi łączącej męża i żonę. - Jego głos był szorstki od bólu i poczucia klęski.

- Nie powinnam była w ogóle wychodzić za ciebie! - Ujrzała, że cała krew odpłynęła mu z twarzy. - Wiedziałam, że zostanę ukarana, bo... - Urwała. I tak już powiedziała za wiele.

- Ukarana? - Daniel wstał z łóżka i podszedł do niej.

Chciała umknąć przed jego natarczywym spojrzeniem, ale komoda zagraadzała jej drogę.

Daniel ujął ją za brodę.

- Za co masz być ukarana? Czym mogłaś aż tak zawinić, by żyć w ciągłej trwodze?

Jak we śnie czuła, że Daniel chwycił ją za ramiona, że nią potrząsa. Ale bezlitosne macki ciemności wciągały ją w przeszłość, wydobywały na jaw wspomnienia, które pogrzebała tak głęboko, że były teraz przegniłe, zniekształcone...

Mamo! Mamusiu! Wołałaś mnie?...

Był w porównaniu z nią taki wielki! Taki męski!... Przytłaczał ją, czuła się przy nim taka mała, nic nie znacząca. Taka słaba...

Bezbronna.

Tak samo jak wtedy!...

Mrok pochłaniał ją coraz bardziej. Woń zgnilizny i czarne cienie wypełniły pokój. Susan z trudem chwytała oddech. Usiłowała patrzeć tylko na męża, ale nawet postać Daniela falowała, zmieniała się...

Mamusiu!

Z płaczem usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Jakby z oddali słyszała jego głos:

- Opowiedz mi o tym! Opowiedz, co się wtedy zdarzyło!

Susan rozumiała, czego Daniel się domaga. Zawsze wiedziała, że przyjdzie dzień, kiedy będzie musiała wyznać swoje grzechy. Ale nawet w tej chwili wzdragała się przed tym. Żadna kara nie mogła być straszniejsza od konieczności wyjawienia mu tego, co uczyniła...

- Opowiedz mi!

Po raz pierwszy świadomie wróciła myślą do tamtej nocy sprzed lat. Serce tłukło jej się w piersi, zmagając się z jakąś przemożną siłą. To było tak dawno. Tak dawno...

Pokój rozbrzmiewał upiornym echem rozpaczliwego płaczu. I nagle z ust Susan buchnął potok słów. Gorączkowo opowiadała Danielowi o wszystkim, o wszystkim...

Ogarnął ją strach, tak samo jak wtedy, przed wieloma laty...

Usłyszała grzmot. I jakieś dziwne krzyki. Tatuś gdzieś wyszedł. A mamusia potrząsnęła nią i obudziła.

- Susan, biegnij szybko do piwnicy i schowaj się tam!... To taka zabawa.

Przytuliła do siebie szmacianego króliczka i cofnęła się pod samą ścianę.

- Susan! Rób, co mówię! Wiesz, co cię czeka, jak nie posłuchasz mamy!

Dziewczynka dobrze wiedziała. Zerknęła prędyutko na wiszącego nad jej łóżkiem Jezuska. Bozia przestanie ją kochać, jeśli będzie niegrzeczna!... Wygramoliła się z łóżka i pobiegła za matką. Cóż to za dziwna zabawa!...

Erin Hurst wybiegła z córeczką z domu i sprowadziła ją po schodkach do piwnicy. Potężne belki, na których nie wisały już zimowe zapasy, krzyżowały

się jak wielkie ramiona nad jej głową. Kiedy mama chciała odejść, Susan chwyciła ją za spódnicę

_ Nie zostawiaj mnie tu, mamusiu!... Nie odchodź, tak cię proszę!...

Erin pochyliła się i uściskała dziecko.

- Kocham cię, Susan. Bardzo cię kocham! - Pioruny były coraz głośniejsze. Słyszeć było jakieś huki... jak ze strzelby tatusia, kiedy polował. - Masz tu zostać. I nie waż się wychodzić, póki cię nie zawołam! Rozumiesz?

Dziecko złapało wychodzącą już matkę za rękę.

- Nie odchodź, mamusiu!

- Susan! - W głosie mamy pobrzmiwała nutka strachu. - Bądź posłuszna!

Drzwi piwnicy zatrzasnęły się nad głową Susan. Płakała, rozglądając się dokoła z przerażeniem. Grom znowu zahuczał... Choć teraz przypominało to raczej, tętent koni niż nadciągającą burzę... Susan wspięła się po chwiejnych schodkach i przytknęła ucho do kłapy. Zrobi wszystko, co jej kazano. Będzie grzeczną maminią córeczką. A potem Jezusek - tak samo jak na obrazku nad łóżkiem - weźmie ją na kolana i przytuli. Nie spotka jej żadna kara.

Wydało jej się, że słyszy z daleka głos matki. Może ją woła? Może to już koniec zabawy?... Znów doleciał do niej krzyk matki - jeszcze bardziej nagły. Mama czegoś od niej chce... ukarze ją, jeśli nie przybiegnie!... Przestraszona dziewczynka wydostała się z piwnicy.

Na bosaka, po ciemku obeszła dom dokoła.

- Mamusiu! Wołałaś mnie?...

Za rogiem przystanęła i zagapiła się na postać leżącą na ziemi w czerwonej kałuży. - Tatusiu?... - szepnęła. Nie poruszył się. Leżał zupełnie bez ruchu!...

Stojący nad nim mężczyzna nie zwracał uwagi na rewolwer zaciśnięty w martwej dłoni. Jego nóż ociekał krwią. Ścisnął w garści złoty zegarek tatusia...

- Gdzie reszta?

Susan ukryła się za węglem. Nikt jej nie zauważył. Pięciu mężczyzn otaczało jej matkę. Uragali jej, popychali ją...

Mama płakała, kryjąc twarz w dłoniach.

- Nie ma nic więcej! Nic więcej!...

- Gdzie forsa? Gdzie żarcie?

- Nie ma nic!

Mężczyzna z nożem kopnął ciało ojca Susan i zbliżył się do Erin.

- No to musimy zadowolić się czym innym, co?

- Mamusiu!

Matce opadły ręce. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Susan, uciekaj!

Człowiek z nożem odwrócił się.

- Chodź no tu, mała! - Dziewczynka cofnęła się. - Prędeż, mała! - Mężczyzna z nożem pochwycił matkę i przytknął jej do gardła skrwawione ostrze. - Chodź no tu, bo ją dźgnę nożem!

- Nie! Uciekaj, Susan!

Susan odwróciła się, by uciec, i wpadła na innego mężczyznę. Schwycił wrzeszczące i wierzgające dziecko i podszedł do grupki mężczyzn. Rzucił ją na ziemię pośrodku nich. Kiedy chciała podbiec do matki, szarpnął ją za warkoczek i odciągnął do tyłu.

- Stój spokojnie, mała! A my się zabawimy z mamusią!

- Susan, zamknij oczy! Słyszysz! Zamknij mocno! Nie patrz na tych ludzi ani na mnie!

Dziewczynka zawahała się tylko na sekundkę i wykonała polecenie. Ale raz otworzyła oczy. Widziała twarze mężczyzn ogarniętych żądzą, zniecierpliwionych. Poganiali tego, który leżał na mamie i przyciskał jej nóż do gardła.

- Mamusiu!...

Mężczyzna, który dziwnie stękał, zsunął się z mamy i podszedł do Susan z obleśnym uśmiechem.

- Chcesz, żeby się i z tobą pobawić, co?

Susan wrzasnęła i wyrwała się z kręgu mężczyzn. Podbiegła do tatusia. Ale on nie żył i nie mógł jej pomóc... Płakała rozpaczliwie. Usłyszawszy za sobą głosy mężczyzn, chwyciła obiema rączkami rewolwer taty. Chwyciła go i pociągnęła za cyngiel - tak samo, jak to robił tatuś.

Broń szarpnęła i wypadła jej z rąk. Dziewczynka strzeliła na oślep, ale kula ugodziła jednego z mężczyzn w pierś. Zwalił się na ziemię i znieruchomiał.

- Ty podła suczko! - wysyczał kompan zabitego. Przewrócił go na plecy: martwe oczy spoglądały teraz w niebo. - Ja cię nauczę przeszkadzać dorosłym!...

Za jego plecami Erin Hurst z trudem uklękła, chwyciła leżący na ziemi kamień i z całych sił uderzyła nim w głowę napastnika.

- Uciekaj!

Susan rzuciła się do ucieczki. Biegła i biegła. Aż do późnej nocy kryła się w wilgotnych szuwarach nad stawem. Dopiero o brzasku, gdy tętent końskich kopyt ucichł w dali, odważyła się wrócić do domu. Najpierw podeszła do tatusia. Był już zimny.

Z płaczem wstała z klęczek i powlokła się do drugiej leżącej na trawie postaci. Twarz była zmieniona nie do poznania, ciało okrutnie poszarpane. Susan nie

uwierzyłyaby, że to *jej* mama... gdyby nie włosy. Płomiennorude włosy.

- Su...

Był to słabiutki szept, ale dziewczynka go usłyszała.

- Mamusiu?... - Chwyciła matkę za ręce i pochyliła się nad nią.

Erin zdołała otworzyć jedno opuchnięte, podbite oko. Spojrzawszy w twarz dziecka odwróciła wzrok.

- Nie... patrz...

- Nie patrzyłam, mamusiu. Naprawdę nie patrzyłam! - Ale to nie była prawda. Nie zrobiła tego, co *jej* mama kazała. Czekają ją kara.

Mamusia płakała, wijąc się po ziemi. Ścisnęła Susan za rękę. Bardzo mocno.

- Podaj... rewolwer. - Dziewczynka cofnęła się, lecz Erin przyciągnęła ją bliżej. - Tylko Bóg... pomoże. - Zielone oko, które ocalało, napełniło się łzami. Spływały po zmasakrowanej twarzy. - Ja... zaraz... umrę. - Ręce mamy zacisnęły się rozpaczliwie. - Nie... patrz!...

- Mamusiu?.. - Chciała dotknąć twarzy mamy, jej rąk... ale wszędzie była krew.

- Daj... rewolwer!... - wyszeptała nagląco matka i zbrakło jej tchu. - Bądź... posłuszna...

Na nogach ciężkich jak z ołowiu Susan podeszła do ciała ojca i chwyciła rewolwer. Kiedy wracała do mamy, kolana się pod nią ugiwały.

- Daj... mi...

- Nie!

- Su... san... Rób... co ci...

Rozszlochana dziewczynka padła na kolana i rzucała rewolwer na ziemię.

Palce Erin z trudem pełzały ku broni... cał po ca-

lu... Udało jej się dosięgnąć rewolweru, ale nie miała już siły przyciągnąć go do siebie.

- Susan... kocham... cię... - Zielone oko napełniło się łzami, które zmieszały się z krwią. - Pomóż...

Z rozpaczliwym szlochem dziecko odskoczyło do tyłu.

- Nie!

Czarna lufa błyszczała na ziemi tuż obok okaleczonej ręki mamy.

- Bądź... grzeczna... Pomóż... I uciekaj... do piwnicy... Pomóż... proszę... Straszna rana, będąca niegdyś ślicznymi ustami mamy, które całowały Susan i szepotały jej czułe słówka do uszka, rozwarła się, by zaczerpnąć powietrza i ponowić błaganie. Ale nie wydoły się z niej już żadne słowa. Zielone oko straciło blask, było mętne. Martwe.

- Mamusiu?... - Postać w niczym już nie przypominająca mamy nie poruszyła się.

Susan nie była grzeczną dziewczynką: nie została w piwnicy... Nie miała zamkniętych oczu...

Zabiła człowieka...

Podpełzła do mamy i potrząsnęła nią, żeby się obudziła. Ale ciało mamy było jakieś dziwne... Nieczułe.

- Mamusiu! Odezwij się!... - Trwoga ścisnęła ją za gardło. To przecież *ona* była wszystkim winna!... Gdyby posłuchała mamy, nie wydarzyłoby się nic złego!... Głos Susan przeszedł w przepełniony bólem szepot: *Mamusiu?... Mamo!... Mamusiu...*

Cisza w pokoju aż huczała. Powietrze zamarło.

Oboje milczeli.

Usłyszawszy spowiedź Susan, Daniel nie wiedział, jak zareagować. Cóż można było powiedzieć?... Przez

te wszystkie lata nikt nie miał pojęcia, nikt się nawet nie domyślał, co Susan przeżyła jako mała dziewczynka. Reakcja dziecka na widok mężczyzn pozwalała snuć przypuszczenia, że było ono świadkiem gwałtu popełnionego na jej matce. Nikt jednak nie podejrzewał, że przyczyny urazu są głębsze. Znacznie głębsze. W dziecięcym umyśle Susan zrodziła się pewność, że to jej nieposłuszeństwo było przyczyną rodzinnej tragedii. Przez tyle lat dźwigała swe brzemię w samotności, przekonana, że Bóg domaga się straszliwej kary za zabicie dezertera i spowodowanie śmierci rodziców. Zapewne dlatego chciała wstąpić do klasztoru: służąc Bogu, miała nadzieję odkupić swe rzekome winy.

Ale Daniel wtargnął w jej życie, sprawił, że jej przekonania zaczęły się chwiać, podkopał w niej wiarę w ową - groteskowo wypaczoną - sprawiedliwość. Teraz zaś otworzył jej zabliźnione rany. Wskrzesał nieszczęsne dziecko, by uleczyć kobietę.

Tuląc do siebie płaczącą Susan, Daniel drżał razem z nią. A gdy polały się łzy, kołysał ją w ramionach, powtarzając raz po raz:

- To nie była twoja wina... To nie twoja wina... - Uniósł głowę żony i skłonił, by spojrzała na niego. - Twoja matka cię kochała. Bardzo cię kochała! Nie chciałyby wcale, żebyś się tak dręczyła. Kazała ci być posłuszną tylko dlatego, że próbowała cię chronić!

- Powinam była jej pomóc!... Przed śmiercią błagała mnie, żebym jej pomogła... a ja tego nie zrobiłam!... Przecież mogłam coś zrobić!... Gdybym była lepsza, gdybym posłuchała mamy, nie cierpiałyby tak!... Powinam była jakoś ulżyć jej w bólu...

- Ależ, kochanie, przecież to zrobiłaś: byłaś przy niej do samego końca. Twoja mama cię kochała, ubó-

stwiała cię! Próbowała ratować cię przed nieszczęściem. Ani ona, ani Bóg nie chcieli cię wcale karać!... Nie pojmujesz tego?... Twoja matka mogła cierpieć znacznie dłużej, ale Bóg ją zabrał do siebie. Uwolnił ją od strasznej męki. Więc i ty nie powinnaś tak się zadręczać. Bóg zabrał twoją mamę tam, gdzie panuje szczęście, gdzie nie ma bólu. A ciebie wcale nie chciał skazywać na cierpienia, które sama sobie zadawałaś!

- Bóg zabrał ją do siebie... - powtórzyła Susan jak echo. Zaciskała kurczowo palce na koszuli Daniela. Pragnęła, nie, *musiała* uwierzyć, że to, co mówił, było prawdą!

W oczach męża nie dostrzegła odrazy ani oskarżenia. Było w nich tylko najgłębsze zrozumienie. Niegdyś Susan łudziła się, że wstąpiwszy do klasztoru, odkupi swą winę za spowodowanie śmierci rodziców. Ale to nie Bóg domagał się kary dla niej... to ona sama wymierzała sobie karę. Dopiero dzięki Danielowi zdołała to zrozumieć.

- Nie zrobiłaś nic złego, kochanie moje. Nie zrobiłaś nic złego.

Ukryła twarz na jego piersi i objęła go ramionami. Rany zaczęły się goić.

23

Timmy Libbley skrył się za wieżą ciśnień i obserwował bieg wydarzeń. Pociąg towarowy wjechał na stację w Ashton o wpół do drugiej nad ranem. Miał tu pozostać, przyjmując następne ładunki, jeszcze przez kwadrans.

Początkujący agent kulił się na zimnie i czekał. Mi-

nęło pięć minut. Dziesięć. Lokomotywa zaczęła sapać i nabierać energii.

Gdy tylko wielkie żelazne koła poszły w ruch, Timmy wskoczył na siodło. Starając się uniknąć deszczu iskier, sypiących się po obu stronach toru, spał konia do galopu.

Przemknął skrótem między drzewami i zatrzymał się przed samym nosem Jedidiaha Kuttera.

- Chwycili przynętę i próbowali zatrzymać pociąg?

- Nic z tego. Ani śladu żadnego Dooleya w okolicy.

Kutter zaklął, zerwał z głowy kapelusz i otarł czoło.

- Jesteś pewien, że uraczyłeś kogoś z Dooleyów historyjką o dynamicie, kiedy byłeś w tym barze w Barryville?

- Jasne, szefie.

- A jego to zainteresowało?

- Chyba tak. Cała banda zaczęła wiwatować i wrzeszczeć z radości.

- No to czemu się nie zjawili?! - Kutter wbił kapelusz na głowę. Pierwotny plan przedstawiał się następująco: wywabić Dooleyów z ukrycia informacją o skrzyni dynamitu, wziąć kilku pod obserwację i podążając w ślad za nimi, dotrzeć do obozowiska szajki. Agenci Pinkertona mieliby wówczas w ręku wszystkie atuty. Kutter liczył na to, że dowie się o terminie planowanego ataku, jeśli jego ludzie będą chodzić za Dooleyami krok w krok. Nadal jednak wiedział o kryjówce szajki równie mało, jak przed tygodniem.

Skinął na jednego ze swych ludzi, którzy stali na warcie w pobliżu torów.

- Zatrzymać pociąg i zabrać dynamit. Nie ma sensu tłuc się z nim aż do Cheyenne!

Braxton Hill zasalutował i dał znak latarką, macha-

jąc nią w obie strony. Znajdująca się już w pewnej odległości lokomotywa stęknęła, zadrżała i w końcu zatrzymała się ze zgrzytem.

Braxton i jego ludzie podjechali do ostatniego wagonu i weszli do środka. Po kilku sekundach wyszli na zewnątrz.

- Szefie!

- Czego?

- Niech pan tu lepiej zajrzy.

- Cholera jasna! - Kutter pogalopował w stronę pociągu. Timmy z ociąganiem ruszył za nim.

- No, co tam?

Braxton przykucnął w drzwiach wagonu i zmierzył wzrokiem Timmy'ego.

- Jesteś pewien, że nikt na stacji nie pętał się koło pociągu?

- Całkiem pewien, panie Braxton.

- I *osobiście* telegrafowałeś w sprawie dynamitu? Zaznaczyłeś wyraźnie, że ma być *bez lontów*?

Libbley przybladł.

- Zapomniałem o tych lontach.

- Cholera! A upewniłeś się, że dynamit został w ogóle załadowany?

Timmy poruszył się niespokojnie w siodle.

- T... tak jest.

- Przestań się jąkać!

Usłyszawszy gniewny ryk szefa, Timmy aż podskoczył. Ale Kutter od razu przestał się nim interesować; spojrzął gniewnie na żylastego mężczyznę przykucniętego w drzwiach wagonu.

- Po cholere te wszystkie pytania?!

Braxton z obrzydzeniem splunął w śnieg.

- Bo dynamit przepadł. Jak kamień w wodę.

Po przebudzeniu Susan przekonała się, że jej głowa spoczywa na ramieniu Daniela i że oboje są oplątani jej włosami. Zamrugała oczyma, wpatrując się w złotą plamę słoneczną na przeciwległej ścianie. Potem stopniowo dotarło do niej, że obejmuje ramionami męża w pasie i że jej nocna koszula jest nieprzyzwoicie podkasana.

Tym razem jednak nie czuła ani upokorzenia, ani skruchy, ani wstydu. Strach nadal czał się w pobliżu, ale był już znacznie słabszy. Znalazłszy oparcie w sile Daniela i pokrzepiwszy się na duchu otrzymanym od niego rozgrzeszeniem, Susan nabrała pewności, że stanie się kiedyś taka sama jak wszyscy.

Kiedy poruszyła się, poczuła palce Daniela w swoich włosach: chciał zatrzymać ją przy sobie.

- Nie wstawaj! Jeszcze nie czas. Leż sobie i odpoczywaj.

Susan uległa perswazji i wróciła w objęcia męża, radując się ciepłem jego ciała i równomiernym rytmem serca. Odwróciła głowę i przytknęła usta do obojczyka Daniela.

Znieruchomiał nagle.

- Ubiegłej nocy...

Przycisnęła palce do jego ust.

- Dziękuję ci. - Żadne słowa nie były już potrzebne. Oczy Susan wypowiedziały resztę.

Pochylając się nad mężem, pocałowała go w policzek, w brodę, a potem przytknęła usta do jego ust.

- Czy wiesz - wyznał z pewnym wahaniem - że odkąd ujrzałem cię z rozpuszczonymi włosami, marzyłem tylko o jednym... Ale myślałem, że się to nigdy nie ziści.

- Co to takiego?

Obrócił się powoli i ostrożnie, aż wreszcie Susan leżała w poprzek jego piersi. Ich nogi splotły się ze sobą. Usta dziewczyny były o włos od jego ust.

- Marzyłem o tym, byś choć raz pochyliła się nademną z włosami spadającymi na ramiona, bym mógł przytulić cię za tą ognistą kurtyną.

Zalała ją fala szczęścia. Strach pierzchnął.

Daniel przyciągnął ją bliżej. Czule, łagodnie, żartobliwie muskał koniuszkiem nosa to jej policzek, to nos. Potem ich usta spotkały się. Susan nie odskoczyła. Odpędziła w myślach ostatnie strzępy ciemności i rozkoszowała się pieśczętą męża. Usta Daniela stały się zachłanne, nienasycone. Dosłownie pożerał ją pocałunkami.

Susan wczepiła dłonie w poduszkę pod jego głowę - nie istniało dla niej nic prócz smaku ust Daniela, zapachu jego ciała...

To on oderwał się od niej pierwszy. Oczy pociemniały mu od namiętności.

- Nie bierzmy zbyt ostrego tempa.

- Tak... - odparła bez tchu.

Bardzo z siebie dumna wyskoczyła z łóżka. Daniel nie poszedł za jej przykładem. Leżał z rękami pod głową i obserwował każdy jej ruch. Nagle onieśmielona perspektywą ubierania się na jego oczach, Susan włożyła koszulkę i długie majtki pod osłoną nocnej koszuli. Z gorsetem jednak szło jej znacznie gorzej. Mruczając coś pod nosem, mocowała się z bryklą, ale tasiemki zostały mocniej ściągnięte do ślubnej toalety: należało je rozluźnić i zasznurować gorset od nowa.

- Pomogę ci.

Susan pisnęła, kiedy Daniel chwycił nocną koszulę za obrąbek i zarzucił jej na głowę. Potem stanow-

czym ruchem odwrócił żonę plecami do siebie, zasnuował gorset jak należy i podał beżową wełnianą suknię, która wisiała na poręczy fotela. Kiedy spojrzeli na siebie, w głębi oczu Daniela tait się ogień. Pogładził delikatnie jej spadziste ramiona.

Susan znieruchomiała.

Uśmiechnął się.

Oczy jej pociemniały, jego zapłonęły.

Pocałował ją. Był to długi, niespieszny, wilgotny pocałunek.

Kiedy Daniel podniósł wreszcie głowę, suknia, którą jego żona trzymała w ręku, była żałośnie wymięta. W końcu Susan włożyła ją na siebie; policzki jej pałały. Crocker sięgnął po spodnie i zaczął się ubierać. Zanim skończył, Susan starannie zaplotła włosy i związała warkocz nową wstążką.

W lustrze nad komodą zobaczyła, że mąż zbliża się do niej. Pociągnął ją za warkocz i podprowadził do drzwi.

- Zostawmy sprawy swojemu biegowi. Teraz powinnaś myśleć wyłącznie o śniadaniu.

Otwarł drzwi i wyszli razem na korytarz. Tuż za progiem, blokując przejście, leżała sterta jego ubrań.

- Donovan! - ryknął Daniel.

Susan wybuchnęła śmiechem.

Siostra Mary Margaret znalazła Maxa przy wielkim stole w klasztornej kuchni. Siedział w swej zwykłej pozie: z pochyloną głową, otaczając talerz rękoma, jakby się bał, że ktoś mu go odbierze. Nabrał tego przyzwyczajenia w okresie wojny, podczas dwuletniego pobytu w więzieniu w Andersonville.

- Max?...

Nie odpowiedział; nadal z ponurą miną wpatrywał się w owsiankę. Zakonnica poczuła ulgę, znalazłszy go w kuchni. Od przyjazdu do Ashton włóczył się po okolicy, zbierając „skarby”, które przechowywał w pudełku od cygar: kamyki, buteleczki, zapałki, kłębki sznurka...

- Co byś powiedział na trochę rodzynek i miodu do owsianki? - W normalnych warunkach perspektywa takiej uczytury rozweseliłaby Maxa na cały tydzień. Teraz nawet się nie poruszył.

Z westchnieniem siostra Mary Margaret usiadła obok niego.

- Posłuchaj, Susan nie zapomniła o tobie. Zaczęła po prostu nowe życie!

Max spojrział na nią z wyrazem wielkiego bólu.

- Miała przecież wyjść za Pana Boga!

Mary Margaret poklepała go po wielkich, spracowanych rękach.

- Nie chcesz, żeby była szczęśliwa?

Wysunął dolną wargę z miną nadąsanego chłopczyka.

- Nie chcę, żeby sobie poszła!

- Wiem, Max, wiem. Ale Daniel Crocker będzie dla niej dobry. Zobaczysz!

- Lepszy od Pana Boga? - Broda mu się trzęsła. Oczy miał pełne łez.

- Och, Max!... - szepnęła, odczuwając jego ból we własnym sercu. Łagodnie przyciągnęła siwiejącą głowę na swoje ramię. - Byliście prawdziwymi przyjaciółmi, prawda? Takimi od serca?

Max skinął głową, czepiając się kurczowo habitu zakonnicy.

- Musi do nas wrócić! Musi! Sam ją przyprowadzę!...

- Susan nie może wrócić. Nie mieszka już z nami w klasztorze. - Mary Margaret szukała odpowiednich słów, chcąc przedstawić sprawę w taki sposób, by Max ją zrozumiał. - Pamiętasz pisklątko, które znalazłeś w klasztornej stajni?

- Taaak.

- Byłeś dla niego takim dobrym przyjacielem! Dbałeś o nie, karmiłeś i trzymałeś w cieple... Ale co się stało potem, gdy ptaszek dorósł?

Max nic nie odpowiedział, choć z pewnością pamiętał tego wróbelka o wiele lepiej niż własną dawno utraconą rodzinę.

Zakonnica mówiła dalej:

- Nie znał żadnych innych ptaszków. Pewnie nawet nie wiedział, że sam jest ptaszkiem. Skakał sobie po dziedzińcu i siadywał ci na ramieniu, ale nie umiał fruwać. I co wtedy zrobiłeś, Max?

Znowu nie odpowiedział.

- Postąpiłeś tak mądrze... No, co z nim zrobiłeś?

- Ja... ja go zaniósłem do lasu.

- No właśnie! - zachęciła go.

- Pozwoliłem, żeby się bawił z innymi ptaszkami.

- A potem?...

Przytulił się do niej mocniej, ale milczał.

- Pozwoliłeś mu odfrunąć, Max.

Rozpłakał się.

- Pozwól odejść także i Susan.

- Nie! Nie!

- Pozwól jej odejść.

Płakał z otwartymi ustami, z zaciśniętymi powiekami, pogrążony w najgłębszej rozpacz. Rozdzierający szloch wstrząsał jego olbrzymim ciałem.

Siostra Mary Margaret kołysała go jak dziecko, bo

w gruncie rzeczy nim był. Wiedziała, że pewnego dnia, już wkrótce, Max jakoś się pogodzi z losem.

24

Susan stała dygocząc z zimna na tylnym ganku i przyglądała się, jak Daniel szykuje konia do drogi. Na horyzoncie jaśniała cieniutka smużka światła, zwiastując narodziny mroźnego zimowego dnia.

Zamiast zwykłej kurtki z cielecej skóry Daniel włożył płaszcz z grubego materiału. Pod nim miał drelichowe spodnie, koszulę w kratkę i inną kurtkę: krótszą, czarną, podbitą kożuszką. Susan domyśliła się, że jest to - w pewnym sensie - służbowy uniform jej męża; mógł w nim poruszać się zwinnie i cicho.

- Lepiej wróć do domu - powiedział Daniel, zauważwszy szcęknięcie zębami i zsiniałą twarz żony.

- Nie!

Rzucił jej jeszcze jedno badawcze spojrzenie i wrócił do przytraczenia juków na zadzie Wodza.

Susan śledziła każdy ruch męża z pozornym spokojem. W gruncie rzeczy była jednak kłębką nerwów. Od nocy poślubnej stali się sobie z Danielem bliżsi niż kiedykolwiek.

W sobotę, późnym wieczorem, jeden z pinkertonów przyszedł do sierocińca i zabrał ze sobą Daniela. Susan czekała niecierpliwie na męża przez godzinę... dwie... wreszcie trzy. Kiedy wrócił, był czymś wyraźnie zaabsorbowany i pełen skupienia. Nie powiedział jej, dokąd jeździł. Wspomniał tylko, że następ-

nego dnia ma z innymi pinkertonami wykonać pewne zadanie.

Potem, gdy leżeli już w łóżku, zaczął całować Susan z namiętnością, która zdumiała ją i zachwyciła; potem przygarnął ją mocno, a ona wtuliła mu głowę pod brodę. Leżał bez ruchu, w milczeniu, jakby obawiał się zamącić urok tej chwili. Minuty płynęły i w Susan zbudził się lęk, że ostatecznie zadanie męża będzie szczególnie niebezpieczne.

Słyszała wystarczająco dużo o pinkertonach, by domyślić się, na jakie ryzyko będzie wystawiony Daniel w ciągu najbliższych kilku godzin. Tu, na Zachodzie, agenci Pinkertona znani byli ze swej zajadłości w ściganiu przestępców. Nie przebierali w środkach; ich metody zazwyczaj bywały brutalne.

Sądząc z pewnego wzburzenia Daniela, Susan domyśliła się, że będzie miał do czynienia z Dooleyami. Wiedziała, jacy oni są bezwzględni. Mieli na swoim koncie niezliczone zabójstwa i podpalenia.

To byli mordercy.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. Leżała w ramionach Daniela, wsłuchując się w jego równy oddech i rytmiczne uderzenia serca. Bez przestanku modliła się do Boga i wszystkich świętych, by czuwali nad jej mężem. Odzyskała już niemal wewnętrzny spokój, ale gdyby Danielowi coś się stało...

Nie mogła o tym myśleć!... Gdyby spotkało go coś złego, chyba by tego nie przeżyła. Tak bardzo go pokochała...

Pokochała go.

Cóż, kochała go chyba zawsze. W dzieciństwie był jej bohaterem, obrońcą, przyjacielem, powiernikiem... Teraz jednak było to najgłębsze uczucie, ja-

kim kobieta może darzyć mężczyznę. Choć nie doszło jeszcze między nimi do ostatecznego zbliżenia.

W pewnej chwili, sądząc, że zasnęła, Daniel wyslizgnał się z łóżka i stanął przy oknie. Po chwili wahania Susan podeszła do męża, objęła go w pasie i przytuliła usta do jego pleców. Stali tak bardzo długo, wspierając się nawzajem siłą swej miłości. Jednak Daniel milczał. Nie mówił Susan o czekającym go zadaniu ani o tym, co mogło się zdarzyć. Wiedziała, że nie chciał jej niepokoić, ale jego milczenie trwożyło ją jeszcze bardziej.

Kiedy zaświtał dzień, Daniel włożył swe ciemne ubranie i stał się nagle kimś innym, dziwnie dalekim. Susan pojęła, że mąż musi się skupić na tym, co go czeka w ciągu następnych kilku godzin, zaparzyła więc kawę i nie przeszkadzała mu w rozważaniach.

- Wróćę najszybciej, jak będę mógł - odezwał się wreszcie, wrywając ją z zadumy. Zaciągnął mocniej popręg przy siodle i poprawił strzemień. - Potrwa to co najmniej cały dzień, może dwa.

Podniósł na nią oczy i dostrzegł, że skinęła głową. Był mróz, przy każdym oddechu w powietrzu unosiła się para. Jednak Susan nie chciała wracać do wnętrza domu, a Daniela tak radowała obecność żony, że nie zmuszał jej do odejścia.

Zdumiewała go władza, jaką Susan miała nad nim. Tak mu się owinęła wokół serca, że nie wyobrażał już sobie życia bez niej. I na tym właśnie polegał problem!... Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów trwożyło go ryzyko, nierozłącznie związane z jego pracą. Miał już dość niebezpieczeństw, przemocy i grozy. Modlił się, by przeżyć tę ostatnią akcję, by jedna z kul nie była mu pisana. Szczęście leżało w zasięgu jego ręki... o ile wróci bez szwanku.

W ramiona swej żony.

Susan owinęła się ciasniej szalem, ale luźno tkana wełna nie dawała wiele ciepła. Dostrzegła błysk niepokoju w oczach Daniela i zastanawiała się, czym się tak denerwuje.

- Będziesz ostrożny, prawda?

Ciepły, złoty blask bijący z kuchennego okna oświetlił twarz Crockera, podkreślając mocny zarys policzków i brody. Susan starała się zapamiętać każdy rys, utrwalić go na zawsze w mózgu.

Kiedy Daniel nie odpowiedział od razu, zrobiła krok w jego kierunku.

- Nie! Zostań na ganku! - Podszedł do stopni. - Nie włożyłaś nawet bucików!

Przestępowała z jednej bosej stopy na drugą, ale i tak od dawna zeszywniały z zimna.

- Całkiem o nich zapomniałam.

- Jak można zapomnieć o butach przy dwunastostopniowym mrozie?... To przechodzi ludzkie pojęcie! - gderał czule. Objął ją w talii i uniósł w górę, odrywając od gołych desek jej bose stopy i stawiając je na noskach swoich butów.

Ten drobny opiekuńczy gest wzruszył ją bardziej niż cieplarniane róże czy wyszukane komplementy. Objęła ramionami potężną postać i wpiła palce w silne plecy Daniela.

- Obiecay, że będziesz ostrożny! - powtórzyła. Nie otrzymała od niego twierdzącej odpowiedzi, a tak bardzo potrzebowała tego zapewnienia... choć z drugiej strony wiedziała, że to, co się wydarzy w ciągu następnych kilku godzin, nie zależy przecież wyłącznie od Daniela.

- Moi ludzie mają duże doświadczenie. Nie będą ryzykować bez potrzeby.

Nie to chciała od niego usłyszeć!... Wiedziała jednak, że nie może jej złożyć żadnej konkretnej obietnicy.

Daniel wyczuł jej rozczarowanie, ale cóż miał jej powiedzieć?... Wiedział, że Susan pragnie jakichś zapewnień, ale nie potrafił mieć jej złudnymi nadziejami. Nie-wybaczalnym okrucieństwem byłoby bagatelizować jej obawy, kiedy niebezpieczeństwo było całkiem realne.

Z wahaniem zaczął mówić, wiedząc, że powinien to zrobić, póki jeszcze czas.

- Obiecuj, że gdyby coś mi się przytrafiło...

- Nie! Nie waż się umierać, Danielu! Nie wybaczyłabym ci tego do końca życia!

Absurdalność tej groźby spowodowała, że na jego wargi wypłynął lekki uśmiech.

- Nic mi nie będzie. Ale na wszelki wypadek...

- Nie chcę o tym słyszeć! Niedługo będziesz z powrotem, zobaczysz!

- Obiecuj mi tylko, że zostaniesz z Essie i Donovanem, gdyby się coś stało. - I dodał pośpiesznie: - Gdyby mnie coś zatrzymało, gdybym nie mógł od razu wrócić, chcę mieć pewność, że będziesz tu bezpieczna. Obiecuj mi!

Wiedząc, że musi złożyć mu to przyrzeczenie, szepnęła:

- Obiecuję! - I stanąwszy na palcach, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego z całej siły. - Proszę! - zaklinała. - Bądź ostrożny!

Objął ją ramionami, przycisnął do swego twardego jak stal ciała. Powitała z radością ten bolesny uścisk, zachwycając się zaborczością męża. Jakże go kochała!...

Wtulony twarzą w dołek u nasady jej szyi, Daniel przymknął oczy, zbierając wszystkie siły, by rozstać

się z Susan. Odsuwał się od niej z trudem, z ociąganiem. Ucałował żonę delikatnie, czule, z czcią.

- Wracaj do domu, nim się zmienisz w sopel lodu! - burknął. I czując, że jeśli nie odejdzie w tej chwili, nie zdoła się już od niej oderwać, zbiegł ze schodków i wskoczył na konia.

- Wracaj na kolację! - zawołała za nim.

- Ubierz się ładnie i kolorowo! - odkrzyknął. - Włóż coś różowego, fiołkowego albo czerwonego! Wiesz, jak cię lubię w barwnych sukienkach! - Zatrzymał się na ułamek sekundy i przesłał jej całusa. Potem uśmiechnął się, by dodać Susan odwagi, i szarpnął cuglami. Wódz puścił się kłusem wokół domu, a potem ścieżką.

Nie zważając na mróz, Susan zbiegła z ganku.

- Kocham cię, Danielu!

Widać jej nie usłyszał, bo nie zatrzymał się ani nie odwrócił. Stała tak przez kilka długich, wlokących się nieznośnie minut, póki nie ucichł tętent końskich kopyt na oblodzonej ścieżce.

- Wróc do mnie!... - szepnęła w ciemność.

Daniel wciągał energicznie skórzane rękawice, przeklinając ostry mróz, który przenikał przez ubranie. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek pragnął jak najszybciej wykonać swe zadanie i rozpocząć nowe życie. Miał już dość ciągłej podejrzliwości, wiecznych środków ostrożności.

Miał dość tej wojny z całym światem!

Wjechawszy na szczyt wysokiego wzgórza, zatrzymał Wodza i zmierzył okiem pofałdowaną, pokrytą śniegiem przestrzeń. Tam w dali, za górskim grzbieciem, znajdowała się jego farma. Niemal każdy grosz,

który zarobił w Agencji Pinkertona, pakował w ten kawałek ziemi i nieba. Nie zostanie mu wiele pieniędzy na zakup żywego inwentarza, na niezbędne naprawy w domu i w obejściu... Nie szkodzi! Grunt, że to będzie *jego* gospodarstwo!

Gdy zamknął oczy, widział wyraźnie każdy spłachetek ziemi, każdy zakręt strumienia. Myślał o nich tak często, że wizja w jego mózgu była niemal równie realna, jak sama posiadłość. A jednak oba obrazy różniły się od siebie. Dom z jego marzeń był pełen światła i radości. Po podwórzu chodziły kury, na sznurze suszyło się pranie, na jednym z drzew wisiała huśtawka...

Tak będzie tam wyglądało! - przysiągł sobie w duchu. Po raz pierwszy w życiu ośmielił się uwierzyć w to, że naprawdę będzie miał *dom*. Nie jakieś tam mieszkanie, swój własny dom!

Ogarnięty nagłą niecierpliwością Daniel pociągnął za cugle i zjechał galopem ze zbocza. Im prędzej wykona swe zadanie, tym prędzej będzie mógł wrócić.

Do Susan.

Max wynurzył się zza drzew i zapatrzył na leśną chatę. Przychodził tu wielokrotnie; zawsze czekał, aż tamci wyjdą, a potem myszkował po ich skrzyniach i pudłach. Ileż tu znalazł skarbów! Takie były śliczne, kolorowe!

Ale teraz tamci zabrali swoje zabawki i odeszli. Zupełnie jak Susan...

Z westchnieniem ruszył w dalszą drogę. Prawie przez całą noc próbował wymknąć się siostrze Mary Margaret... W końcu jakoś mu się udało; zabrał w węzełku ubranie i pudełko, w którym chował swoje

skarby. Potem wyszedł z klasztoru. Wkrótce odnajdzie Susan i zabierze ją ze sobą.

Susan wróciła do swego pokoju i opadła na fotel, podkuliwszy nogi pod siebie. O powrocie do łóżka nie było mowy. Całkiem odechciało jej się spać; była gotowa na spotkanie nowego dnia. Ale kiedy wyglądała przez okno, odkryła ze zdziwieniem, że nie ma ochoty niczym się zająć. Woli siedzieć tu i patrzeć, jak słońce wyziera zza urwistych górskich szczytów i składa na zboczach gorące, różane pocałunki.

Przeciągnęła się, zaskoczona tym, że krew płynie w jej żyłach taką ciepłą, leniwą falą... Nie znała dotąd podobnego uczucia. Wydawało jej się, że niebawem coś się wydarzy... coś, czego od dawna pragnęła.

Roześmiała się cichutko, nie wiedzieć z czego, podniosła się z fotela i stanęła naprzeciw komody. Zrzuciła z siebie szal i zebrała nocną koszulę tak, że materiał się na niej opinał.

Zauważyła, jak Daniel przyglądał się jej dziś rano, gdy zbudziła go o świcie. Jego oczy były takie wygodniałe... Pełne namiętności. Niebawem zapragnie się z nią kochać...

Myśl o tym nadal budziła w niej niepokój. Ale nie był już tak dręczący jak przedtem; także i ona poczuła dreszcz pożądania.

Uśmiechnawszy się do swego odbicia w lustrze, postanowiła dokonać przeglądu garderoby i wybrać coś, co przypadnie mężowi do gustu. Essie podzieliła się z nią swoimi rzeczami: podarowała jej spódnice, dwie bluzki i trzy suknie.

Dotknęła rękawa fiołkowego kostiumu, który Essie dosłownie jej wcisnęła. Susan próbowała się opierać

tłumacząc, że elegancki komplet z baskinką, ozdobiony kolorową lamówką, byłby zbyt cennym подарunkiem, że Essie nie powinna się z nim rozstawać!... Esther widać się jednak domyśliła, że Susan zakochała się w tym kostiumie od pierwszego wejrzenia, bo oświadczyła, że nie zabierze go z powrotem. Nawet nie ma mowy! Namawiała ją, by właśnie w niego się wystroiła na zjazd dawnych wychowanków.

Susan jednak postanowiła włożyć kostium już dziś. Na wszelki wypadek... A nuż Danielowi uda się wcześniej wrócić do domu?... Lubił, gdy miała na sobie coś kolorowego.

Timmy Libbley dopędził jadących konno jeden za drugim pinkertonów i przebił się na sam początek kolumny zmierzającej ku rozwidleniu torów.

- Sz... szefie!

Kutter zatrzymał konia i odwrócił się w siodle, by spiorunować wzrokiem piegowatego młodziana.

- Do stu tysięcy diabłów, Libbley! Mówiłem ci już setki razy: przestań się *jąkać!* I gdzieś ty się podziewał, do cholery?! Miałeś pół godziny temu dołączyć do grupy!

Timmy zatrzymał raptownie konia przed samym nosem zwierznika. Po szaleńczej jeździe był czerwony jak burak.

- Ależ... szefie... Ja znalazłem ich obóz!...

- Czyj?

- Dooleyów! Odkryłem kryjówkę Dooleyów!... Natknąłem się na nią dzisiaj wczesnym rankiem, kiedy przekazywałem pana rozkazy obstawie sierocińca!

- Cholera, co ty mówisz?! Te dranie jeszcze tam są?

- Większość z nich opuściła już obóz. Kiedy do nie-

go dotarłem, było tam jeszcze dwóch. I słyszałem, jak się zrywali... - Zatknęło go, nabrał powietrza i mówił dalej: - ... Chcą porwać pannę Hurst. Na wymianę. Żeby Crocker sam się oddał w ich ręce.

Kutter zaklął siarczyście.

- Hej, ty tam! - Skinął na jednego z ludzi, jadących na końcu grupy. - Zabieraj się z Libbieyem. Wracać do sierocińca, zabrać dziewczynę i jej obstawę. Potem prosto do naszej kwatery głównej! Ukryć ją tam, nie dopuścić do niej żywej duszy i nie spuszczać jej z oczu, póki po was nie wrócimy! Zrozumiano?

- Tak, szefie! - odkrzyknęli chórem.

- No to jazda! Gdyby Dooleyom udało się ją capnąć, nasz niezawodny plan diabli wezmą!

- A jeśli ona nie zechce z nami jechać?...

Kutter spojrział wilkiem na Timmy'ego, który ośmielił się wyskoczyć z takim durnym pytaniem.

- To coś jej nałóż, porwij ją, nabujaj, że Crocker wykrwawia się na śmierć i chce ją koniecznie zobaczyć... Nieważne, jak to zrobisz - masz ją stamtąd zabrać, i już!

Daniel przytupywał, chcąc odzyskać trochę czucia w zdrętwiałych stopach. Ze zniecierpliwieniem przyglądał się, jak reszta pinkertonów zajmuje stanowiska. Tylko Kutter miał odwagę zbliżyć się do niego. Wszyscy wiedzieli, że podczas akcji Crocker nie ma czasu na rozmówki, wścieka się i nikomu nie przepuści.

Schowawszy ręce pod pachami, Daniel chodził tam i z powrotem po udeptanym jego nogami śnieżnym poletku.

- Już czas? - warknął.

Stojący za nim Kutter szczęknął kopertą zegarka.

- Punkt szósta.

Zostało nieco ponad dziesięć minut do chwili, gdy - zgodnie z rozkładem jazdy - miał przejeżdżać tędy pociąg.

- Dooleyów ani śladu?

- Ani widu, ani słychu. Timmy podobno natknął się na jednego czy dwóch - wspomniał oględnie Jedi-diah, nie wdając się w szczegóły. - Posłałem chłopaka do miasta, niech powęszy.

- Wszyscy w pogotowiu?

- A jakże. - Kutter wyjął z kieszeni cygaro i obracał je w palcach. Nie mógł go zapalić, żeby dym nie zwrócił czyjeś uwagi. - Rozstawiłem posterunki co milę do samego Ashton. Do tej pory nie ma żadnej wiadomości.

- Żadnych kłopotów na torach?

- Żadnych. „Bobas” Floyd powinien przybyć o czasie.

- Dobra! - Daniel zmrużonymi oczyma wpatrywał się w czerwony blask wschodzącego słońca. Właśnie wyrzało zza górskich szczytów, zalewając słabym jeszcze światłem oblodzone zbocza. Nie była to idealna pogoda na przejażdżkę pociągiem w towarzystwie dubeltowego kretyna: nie tylko wypuścił się z braciszkami na ryzykowny wypad, ale w dodatku dał się złapać!...

Daniel usłyszał, jak stojący za nim Kutter ciężko wzdycha.

- Do diabła z tym czekaniem!

Crocker nie odezwał się, ale skinieniem głowy dał znak, że podziela uczucia szefa. Wokół nich panowała martwa cisza. Nawet strumień ledwo szemrał, jakby i on pilnie nadsłuchiwał. Żadne zwierzę nie kręciło się w pobliżu, nawet okiść nie spadła z gałęzi.

W powietrzu dawało się wyczuć pełne napięcia oczekiwanie; słychać było jedynie stłumiony oddech przyczajonych mężczyzn, od czasu do czasu ktoś z nich coś mruknął szeptem. Nawet grzmiący głos Kuttera był niezwykle stonowany.

Obaj z Danielem w milczeniu wpatrywali się w ciągnące się w nieskończoność kręte tory. Kutter przygryzł zębami nie zapalone cygaro.

- Cholera! Robię się już za stary na takie numery!

Mimo jego siwizny Daniel nigdy nie uważał Kuttera za starego. Poczł się nieswojo, kiedy szef sam przyznał, że się kończy.

Kutter zręcznie przerzucił cygaro z jednego kąca ust w drugi.

- Wiesz, byłem kiedyś kropka w kropkę jak ty. - Przekrzywił głowę i obrzucił Crockera beznamiętnym spojrzeniem. - Zawzięty, twardy i pełen złości. - Uniósł brwi, jakby się dziwił, że czas dokonał w nim takich zmian. - Tyle że nigdy nie trafiłem na dziewczuszkę taką jak ta twoja i nie połapałem się, czego mi brak.

Daniel zmarszczył brwi.

- O czym ty gędzisz, do cholery?!

Kutter odwrócił głowę i zerknął spod oka na cienkie wstążki szyn.

- Może i ty jeszcze się w tym nie połapał... Ale już cię zmieniła. Wystarczyło jej tych kilka dni... - Kutter chrząknął z zakłopotaniem, pogmerał w kieszeni i wyciągnął zmięty kawałek papieru.

- Masz.

Daniel skrzywił się.

- Co to ma być?

- Twój weksel pod zastaw gruntu.

- Oddasz mi go później, jak wszystko załatwimy do końca.

- Nie. - Kutter trącił go w ramię. - Weź od razu. Niech to będzie prezent ślubny.

Daniel spojrział uważnie na szefa, potem na dokument, który mu podtykał.

- No, weź.

Crocker wziął do ręki zgnieciony świstek. Od lat marzył, by uwolnić się od tego długu, ale teraz, gdy to nastąpiło, miał wrażenie, że zrywa więzi łączące go ze starym, dobrym przyjacielem. Wetknął papier do kieszeni.

- Nie myśl, że się tym wykręcisz! Jak tylko rozprawimy się z Dooleyami, liczę na mleczną krowę!

Kutter zaśmiał się i nagle urwał: powietrze aż pulsowało. Nagie gałęzie zakołysały się. Rozległ się stłumiony jeszcze stukot i gwizd nadjeżdżającego pociągu, w którym nie było nikogo prócz kilku osób z personelu kolejowego. Floyd miał przybyć następnym, za kilka minut.

- Crocker?...

- Co?

- Masz cholerne szczęście, wiesz?

Daniel wsunął rękę do kieszeni i zgniótł skrawek papieru w kulkę.

- Pewnie, że wiem.

Miał nadzieję, że szczęście i tym razem mu dopisze.

- Susan!

- O co chodzi, Carrie?

Siedmioletnia dziewczynka przystanęła w drzwiach tylko na sekundę; zdążyła oznajmić: - Ktoś do ciebie! - i wybiegła przed dom, by podjąć przerwana zabawę.

Susan odstawiła miskę, którą właśnie wycierała,

i podeszła do drzwi. Na ganku stał nieznajomy mężczyzna. Krzywiąc się na myśl, że Carrie zostawiła gościa na mrozie, Susan wyszła przed dom.

- Pan do mnie?

Rudzielec odwrócił się. Susan uderzył przede wszystkim jego młodzieńczy wygląd.

- Czy pani Crocker?...

Przez sekundę nie wiedziała, o kogo chodzi; potem rozpromieniła się: po raz pierwszy ktoś tak się do niej zwrócił!

- Tak, Susan Crocker to ja.

Przybysz przypomniał sobie widać o dobrych manierach. Zdjął kapelusz i zbliżył się do niej o krok. Jego ruchy były nerwowe i Susan poczuła dreszcz niepokoju.

- Szanowna pani, bardzo mi przykro, że przynoszę niedobre wieści... Przyszłali mnie po panią.

- Kto pana przysłał?

- Z Agencji Pinkertona, proszę pani. - Miętosił kapelusz i wpatrywał się w pozdzierane noski swych butów. - Coś... poszło nie tak, jak trzeba. Kazali mi panią sprowadzić.

- O co tu chodzi? Co się stało? Daniel!... Ranili go?...

- Proszę jechać ze mną. Wszystkiego się pani dowie.

Susan wpadła do domu, chwyciła wiszącą na wieszaku pelerynę i zawołała:

- Carrie! Powiedz pani Essie, że pojechałam do Daniela!

Usłyszała cienki głosik Carrie: - Dobrze, Susan! - i wybiegła z domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wskazała gestem stajnię.

- Proszę poczekać, osiodłam konia!

- Lepiej nie, proszę pani. Nie mamy czasu. - Młó-

dzieniec wskazał swego wierzchowca. - Może pani pojedzie w siodle, a ja za panią?

- Tak, oczywiście! - Gotowa była na wszystko, byle jak najszybciej dotrzeć do Daniela.

Mężczyzna wbił kapelusz na głowę, troskliwie ujął Susan pod ramię i podprowadził ją do bramy. Kiedy tam dotarli, podsadził ją na wałacha i sam wskoczył za nią.

Susan chwyciła konia za grzywę, pinkerton pochwyił cugle i zawrócił wałacha. Spiał go piętami i pogalopowali po ścieżce.

- Czy to daleko?

- Nie, droga nie będzie długa. A potem dowie się pani wszystkiego.

Max z trudem wdrapał się na szczyt wzgórza. W dole stał Benton House. Sierociniec i zabudowania gospodarcze wyglądały stąd jak klocki rozsypane po dywanie. Ale się panna Susan ucieszy, jak go zobaczy!...

Potykając się, biegł po stoku, chcąc jak najprędzej odnaleźć swą przyjaciółkę. W dali *coś* mignęło. Max usłyszał tętent kopyt. Zatrzymał się, upuścił swój węzełek i zaczął wymachiwać rękami. Rozpoznał ogniście loki Susan.

- Susan! Zatrzymaj się, to ja! Susan!

Ale koń nie zatrzymał się, nawet nie zwolnił. Z dwojgiem jeźdźców na grzbiecie przemknął obok niego pędem.

Max odwrócił się i patrzył za wierzchowcem, póki ten nie zniknął za zakrętem drogi. Broda zaczęła mu się trząść.

- Czemuś się nie zatrzymała?... Czemuś się nie zatrzymała, Susan?...

Donovan wynurzył się ze stajni, mrużąc oczy od blasku zimowego słońca. Zdawało mu się, że słyszy tętent nadjeżdżającego konia, ale nikogo nie było.

Poczuł dreszcz niepokoju. Od kilku dni coraz bardziej trwożyła go sytuacja w mieście. W Ashton zjawiała się ni stąd, ni zowąd spora grupka nieznanymi facetów, którzy przez cały dzień siedzieli beczynnie, rżnęli w karty i gapili się na pociągi. Donovan miał do czynienia ze zbyt wieloma przedstawicielami prawa, by nie rozpoznać ich po cywilnemu. Nagłe zniknięcie Daniela wczesnym rankiem świadczyło o tym, że agenci Pinkertona coś szykują.

Ale co?... I jaki to ma związek z panem Gibbym?...

Zajrzał do apteki, jak to obiecał Essie, ale nie znalazł nic podejrzanego wśród zwęglonych desek i walących się stropów. Nic nie wskazywało na to, że pożar był wynikiem podpalenia, a nie przypadku. Nic... z wyjątkiem dziwnego niepokoju, jaki ogarnął Reeda, gdy tylko zsiadł z konia i zaczął badać pogorzelisko.

Odkąd pan Gibby odzyskał częściowo przytomność, Donovan próbował się z nim porozumieć. Ale chory bełkotał w kółko o Danielu, pinkertonach i truciznie. Kupy się to nie trzymało.

Starając się otrząsnąć z niepokojących myśli, Donovan zabierał się już do dojenia, gdy nagle dostrzegł jakąś postać zbiegającą niezgrabnie ze zbocza z wężełkiem

w objęciach. Od razu rozpoznał olbrzymie stare dziecko, które uczestniczyło w ceremonii ślubnej Susan.

- Max!

Na dźwięk swego imienia osiłek podbiegł do Reeda.

- Niech pan ją goni! - Chwycił go obiema rękami. Węzełek potoczył się po ziemi, a jego zawartość wypadła. Kawałki butelkowego szkła, kamyki i inne „skarby” rozsypały się we wszystkie strony.

- Kogo mam gonić, Max?

- Susan! On ją zabrał. Sama by tak nie odjechała! Na pewno by się zatrzymała!

- Ależ kto, Max? Kto ją zabrał?

- On! On! Zabrał mi ją! Susan by się zatrzymała!

Donovan próbował uspokoić olbrzymia, ale szło jak po grudzie. Zachowanie Maxa zdawało się potwierdzać jego własne złe przeczucia. Może te domysły nie miały żadnej podstawy?... A jednak obrażenia pana Gibby'ego, wygląd jego twarzy i żeber wskazywały raczej na pobicie niż poparzenie. I czemu aptekarz głądził w kółko o Danielu i truciznie?... Intuicja podpowiadała Donovanowi, że coś się za tym kryje... Że istnieje jakiś ważny szczegół, który zapewne już zna, lecz nie pojmuje jego znaczenia. W każdej chwili wszystkie informacje mogły ułożyć się w logiczną całość - jak rozsypane kawałki łamigłówek. Teraz jednak najbardziej niepokoił się tym, że Susan jest w to jakoś zamieszana.

- W porządku, Max. Poszukam jej. - Reed schylił się, by pomóc w zbieraniu rozsypanych po ziemi „skarbów”. Po raz pierwszy uważnie im się przyjrzał... i skamieniał. - Skąd to masz? - spytał, podnosząc garść cienkich czerwonych walców.

- To oni je zostawili.

- Kto taki?

- Diabły. Mieszkają niedaleko torów kolejowych. Nad strumieniem, obok starego młyna.

Rany boskie! *Dynamit*. Ludzie, których Max podglądał, mieli w swojej kryjówce zapas dynamitu!... Donovan był pewien, że „diabły” Maxa knuły coś złego i że miało to jakiś związek z akcją pinkertonów.

Zaklął i pobiegł do stajni. Musi odnaleźć Daniela albo kogoś z jego towarzyszy i zawiadomić ich o swym odkryciu. Potem wyruszy na poszukiwanie Susan.

Susan była całkiem bez tchu, kiedy koń wreszcie zatrzymał się wśród drzew. Przejechali kilka mil po głównej drodze. Potem jej przewodnik skręcił w górską ścieżkę, która doprowadziła ich na niewielką polankę w gąszczu karłowatych dębów i sośniny.

- Gdzie jest Daniel? Nie widzę go tu!

- Najpierw musimy się spotkać z moimi kolegami. - Rudzielec zjechał na bok i włożywszy palce do ust, gwizdnął trzykrotnie. Najłżejszy nawet odgłos rozbrzmiewał echem w pełnej napięcia ciszy.

- Gdzie oni są? - spytała szeptem Susan.

- Cierpliwości, pani Crocker. Zaraz tu będą.

Chłopak poruszył ręką, którą trzymał dotąd na przednim łęku. Susan wzdrygnęła się, gdy rudzielec dotknął jej dłoni. Jej zdumienie i niepokój wzrosły, kiedy przyjacielskie poklepywanie przerodziło się w coś znacznie mniej niewinnego. Głaskał ją po ramieniu, ścisnął je. Kiedy cofnęła się, wczepił palce w jej włosy i brutalnie przycisnął ją do swojej piersi.

- Głupia jesteś, żeś się w nim zakochała! - szepnęła jej do ucha głosem pełnym nienawiści. - To zbrod-

niarz. Morderca! Czy wiesz, co on zrobił memu bratu? - Gdy nie odpowiadała, chwycił ją garścią za włosy i odgiął jej głowę do tyłu. - *Wiesz?!*

Najpierw poczuła dreszcz niepokoju, potem ogarnął ją paniczny strach. Ten człowiek nie przyjechał po to, by zabrać ją do męża!... Zamierzał wyrządzić jej krzywdę - i skrzywdzić Daniela! Wyczytała to w jego oczach płonących fanatycznym ogniem. Usłyszała to w ostrym tonie jego głosu.

Susan wpatrywała się w rudowłosego chłopca, który przyjechał po nią.

- Kim pan jest? - W jej sercu zrodziła się przerażająca pewność: popełniła błąd, straszliwy błąd! - Nie jest pan jednym z pinkertonów, prawda? - Ledwie wypowiedziała te słowa, ramiona, które podczas jazdy podtrzymywały ją w siodle, teraz unieruchomiły ją, uniemożliwiając ucieczkę.

- Timmy Beeb, do usług!

Na dźwięk tego nazwiska znów zmroziło ją przerażenie. Wszyscy w tych stronach dobrze znali braci Beebów! Aż do ubiegłego lata grasowali na całym prawie obszarze Gór Zachodnich, rabując i gwałcąc.

Palce Timmy'ego zacisnęły się na jej policzku, pazurek wpiły się w skórę.

- No, właśnie! W końcu mnie rozpoznałaś, co? Przyjrzyj mi się dobrze! Twój mąż zabił mego brata. A ja zaciągnę was oboje prościutko do piekła!

- Ma ją!

W ciszy rozległ się inny męski głos. Timmy puścił Susan. Z otaczających drzew wynurzyła się nagle cała wataha mężczyzn; byli niechlujni, spoceni, pełni wzgardy. Susan usłyszała zgrzyt odwodzonych spustów. Odwróciła się bardzo powoli. Po grzbiecie

przebiegł jej dreszcz strachu, gdy ujrzała wymierzony w siebie błyszczące, czarne rewolwery.

Jeden z mężczyzn odłączył się od grupy. Natychmiast poznała napastnika sprzed kilku dni, Granta Dooleya.

- Jak to miło, że nas pani odwiedziła, pani Crocker! - oświadczył z szerokim uśmiechem. Słońce lśniło na jego ospowatej twarzy. - Wiedziałem, Timmy, że ją zdmuchniesz pinkertonom sprzed nosa!

- Nie twoja w tym zasługa! - sarknął Beeb. - Omal wszystkiego nie spaprałeś, kiedy poniosło cię do sierocińca, żeby ją zgwałcić! Cóż za *kretyński* pomysł! Zdążyłem już przecież spotkać się z tobą i twoimi braćmi. Ułożyłem cały plan zasadzki. Nawet namówiłem kumpla, żeby wykradł dynamit i dostarczył go wam!... Mielicie tylko słuchać moich rozkazów. Nic więcej. Ale gdzie tam!... Koniecznie musiałeś sprawdzić, że jesteś mężczyzną, co?

Policzki Granta poczerwieniały, ale usta pozostały twarde i zacięte.

- Zbierać się! - wrzasnął Beeb.

- A co z pinkertonami, którzy byli razem z tobą? - spytał Dooley. - Może by się najpierw o nich zatroszczyć, co?

Timmy spojrzał na niego z pogardą.

- W odróżnieniu od ciebie, Grant, nie popełniam idiotycznych błędów. Poderżnąłem im gardła i zostawiłem nad strumieniem. Niech sobie gniją.

Serce Susan wezbrało zgrozą. Timmy mówił o tym tak spokojnie i rzeczowo!... Trwoga zapierała jej dech, ale starała się nie tracić głowy. Musi zachować spokój... choćby nie wiem co!...

- Zabieraj, co trzeba, i jedziemy, Grant! - Ręka

Beeba zaciskała się coraz mocniej. - I nie zapomnij o naszej umowie! Dla was - dynamit i wszelkie informacje o przewozie waszego brata. Dla mnie - Daniel Crocker. On jest mój!

Jakby dla podkreślenia słów Timmy'ego w dali rozległo się głucho dudnienie i gwizd lokomotywy.

Grant Dooley przytknął palec do kapelusza na znak zgody i wskoczył na konia. Był pewien, że zdoła jakoś wystawić Timmy'ego Beeba do wiatru. Drażniły go ustawiczne wizyty tego młokosa w obozie i to ciągłe pouczanie, jak mają schwytać Crockera i odbić Floyda. Beebowi zdawało się, że ma już Dooleyów w kieszeni!... Nawet rodzeni bracia Granta, psiakrew, służyli mu na dwóch łapkach!

Ale Grant nie miał zamiaru leżeć za Beebem jak jagnię na rzeź. Timmy to niebezpieczny gość... Kto wie, czy nie wariat?... Na razie trzeba mu dać wolną rękę, póki Floyd nie wyjdzie na wolność. Ale potem Dooleyowie upomną się o Crockera!

Ziemia drżała na długo przedtem, nim zjawił się pociąg wiozący Floyda Dooleya. Daniel i jego ludzie wtopili się w mrok; zaczajeni, gotowi na wszystko czekali.

Ale nic się nie wydarzyło.

Na znak dany chorągiewką przez jednego z pinkertonów, pociąg zaczął zwalniać, stękając i protestując. Powietrze wypełniły kłęby ciężkiej, czarnej od węgla pary. Szarpiące nerwy napięcie sięgało zenitu - w każdej chwili mogło rozpętać się piekło.

Ale nadal nic się nie działo.

Daniel spojrział na Kuttera, dając mu gestem znak. Jedidiah skinął głową. Jeden z jego ludzi „wygadał się”,

że Floyda właśnie tu będą przenosić z jednego pociągu do drugiego. Jeśli Dooleyowie czaili się w pobliżu (a drobne kradzieże, które zdarzały się w Ashton od kilku dni, zdawały się to potwierdzać), powinni się zjawić w tym właśnie momencie. Crocker i jego ludzie znaleźli się sami w wąskim przesmyku. Miejsce było idealne do urządzenia zasadzki.

Coś widocznie nie wypaliło.

Palce Daniela zacisnęły się na strzelbie. Dooleyowie muszą się zjawić! To był najślabszy punkt na całej trasie!

Wyprostował się, nacisnął kapelusz na czoło, a potem, przemyślawszy błyskawicznie całą sprawę, stwierdził:

- Nie możemy dłużej czekać.

Kutter odparł:

- Zbiorę chłopaków rozstawionych po skałach. Pojedziemy przodem wzdłuż torów i damy wam znak, gdybyśmy na coś natrafili. Jeśli nie napadli nas tutaj, to widać znaleźli sobie lepsze miejsce.

- A ja wezmę resztę ludzi ze sobą do pociągu. Ale, ale, szefie!

Kutter odwrócił się i uniósł jedną brew.

- Miej oczy otwarte!... Wolałbym, żebyś im nie wpadł w łapy.

Jedidiah uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak usłyszę pukanie z waszej strony, przylecę jak na skrzydłach!

Po odjeździe Kuttera Daniel skinął na resztę pinkertonów, żeby się zbliżyli. Przyjrzał się uważnie każdemu z nich, oceniając ich sprawność bojową.

- Akcja przenosi się do pociągu. Dwunastu rozproszy się po wszystkich wagonach, sześciu pojedzie na

dachu jako straż. Musimy zrobić wszystko, by Floyd dojechał do Cheyenne na proces, nawet jeśli jego bracia nas zaatakują.

Otoczający Crockera mężczyźni podciągnęli skórzane rękawice i sprawdzili broń. Niejeden wetknął rewolwer pod płaszcz albo nóż do buta. Choć żaden nie patrzył na niego, Daniel czuł, że słuchają każdego słowa z największą uwagą.

- Grover i Rueban! Ustawcie swoich ludzi przy wejściu do wagonów. Przynajmniej jeden musi się znaleźć na czele pociągu. Rogers, Dicksen - was biorę ze sobą. Hesse, weź pozostałą czwórkę i zajmij się naszymi końmi. Musicie je ulokować w ostatnim wagonie, na wszelki wypadek: może trzeba będzie przenieść Dooleya przez kanion na końskim grzbiecie. - Głos Daniela słyszeć było wyraźnie mimo ogłuszającego dudnienia drugiego pociągu, który właśnie nadjechał i zatrzymał się. - Idziemy!

Agenci rozbiegli się na stanowiska. Crocker dał znak uniesieniem strzelby, a następnie ze swoimi ludźmi wyłonił się zza drzew. Włoski na karku zjeżyły mu się. Do chwili gdy Floyd znajdzie się w drugim pociągu, stanowili doskonale widoczny cel dla ewentualnych napastników.

Drzwi wagonu otwarły się.

- Były jakieś kłopoty? - spytał Daniel wąsatego pinkertona, który ukazał się we drzwiach i bacznie rozejrzał się po okolicy, trzymając broń w pogotowiu.

Upewniwszy się, że za drzewami nie czają się żadne podejrzone cienie, wąsacz wyprostował się i splunął w śnieg.

- Ani pisnął - odparł zwięźle. - Zresztą i tak bym

nie usłyszał: uszy mi odmarzły w połowie drogi przez Utah. Ani śladu Dooleyów?

- Ani śladu. No to jazda.

Pinkerton cofnął się do mrocznego wnętrza wagonu, zawołał coś i po kilku minutach wyłonił się wraz z więźniem, którego otaczali trzej inni strażnicy.

Po wyjściu z ciemnego wagonu Floyd zaczął mrużyć, oślepiony blaskiem zimowego słońca, i osłonił twarz skutymi rękami.

- Złaź! I bez żadnych sztuczek, zrozumiano? - Wąsaty pinkerton trącił Dooleya lufą rewolweru.

„Bobas” Floyd opuścił ręce, odsłaniając białe jak mleko włosy opadające na wąskie czoło. Okrągłe okulary powiększały jego wodniste niebieskie oczy. Popatrzył w osłupieniu na czekających na dole mężczyzn. Potem jego ręce opadły jeszcze niżej; ukazał się nos jak kartofel, cienkie wargi i zaokrąglony podbródek. Policzki pokrywał delikatny puszek, równie biały, jak włosy.

Stojący po obu stronach „Bobasa” ludzie Crockera odbezpieczyli broń i wycelowali ją we Floyda. Wąsaty pinkerton wyskoczył z wagonu i wraz z Danielem pomogli pozostałym trzem strażnikom postawić zakutego w kajdany więźnia na ziemi. Skuty Floyd potknął się i upadł w śnieg. Zniecierpliwiony Daniel westchnął i postawił niedorajdę na nogi.

Przez ułamek sekundy ich oczy spotkały się i wtedy Crocker ujrzał w pełnym nienawiści wzroku więźnia błysk inteligencji. Potem Floyd zamrugał i wodniste niebieskie oczy straciły znów wszelki wyraz.

Wbijając lufę rewolweru między łopatki Dooleya, Daniel popchnął go w kierunku czoła pociągu.

- Rusz się! - zakomenderował. Zawsze go zastanawiało, czemu wszyscy Dooleyowie tak się cackali

z Floydem. Grant i Marvin dokonywali większości rozbojów i morderstw, a „Bobas” siedział na uboczu pod dobrą ochroną.

Śnieg skrzypiał pod nogami Daniela. Wszystkie kawałki łamigłówek układały się w jego mózgu. Tym jednym nierozważnym spojrzeniem Floyd Dooley zdradził swą tajemnicę: to *on* był przywódcą rodzinnej szajki! Jej mózgiem.

Wobec tego kto pod jego nieobecność kieruje tą bandą?!

Floyda Dooleya przetransportowano błyskawicznie z Wasatch Territorial do drugiego pociągu. Humboldt & Western miał przewieźć więźnia i jego strażników przez dwunastomilowy, ciasny i kręty przesmyk, a następnie dalej na wschód do Cheyenne.

Ponieważ Dooleyowie nie podjęli żadnej próby odbicia brata, pinkertonowie dyskretnie i szybko zajęli swe stanowiska. Ich konie, spędzone już wcześniej, zostały załadowane do ostatniego wagonu.

Lokomotywa pociągu Humboldt & Western aż dygotała, wytwarzając tyle pary, by zdołała wprawić w ruch ciężkie żelazne koła. Crocker pozostawił drzwi wagonu uchylone i zajął pozycję przy nich. Mocno wsparł stopy o podłoże i wpatrywał się w połać brudnego śniegu tuż obok toru.

W dali mignęło mu coś kolorowego. Sprężył się. Podniósł strzelbę, gdy jeździec na koniu wjechał pędem na pokrytą żwirem skarpe i przemknąwszy obok lokomotywy, pognał wzdłuż szeregu wagonów.

Daniel automatycznie odbezpieczył broń. Jeden z jego ludzi podszedł do przeciwległych drzwi i uchylił je lekko; inni stanęli obok Daniela.

Pociąg nadal jechał bardzo wolno, ledwie się posu-

wał. Jeździec zatrzymał się tuż przed ich wagonem i zaczął wymachiwać rękami.

- Nie strzelać! - krzyknął Crocker, rozpoznawszy go. - Do wszystkich diabłów, Donovan, wynoś się stąd! Jazda do domu!

Reed nie zważał na te polecenia. Wbił pięty w boki konia i zatrzymał go przy samych szynach. W ostatniej chwili złapał za żelazny uchwyt przy drzwiach wagonu. Ruch pociągu sprawił, że zsunął się z siodła. Daniel chwycił go za koszulę i wciągnął do wnętrza.

Pociąg nabierał szybkości. Daniel klął. Miał ochotę wyrzucić Donovana, ale jechali już zbyt prędko, a na skarpie pod śniegiem było mnóstwo kamieni, zwłaszcza koło strumienia, do którego się zbliżali.

Pieniąc się z gniewu, chwycił Reeda za kołnierz i postawił go na nogi.

- Psiakrew! Co cię tu przygnało?!

Donovan przyjrzał się pozostałym osobom znajdującym się w wagonie. Jego oczy spoczęły na „Bobasie” Floydzie.

- Dooleyowie... A więc o to chodziło! - Reed widział listy gończe w biurze szeryfa, czytywał artykuły w gazetach o napadach Dooleyów. Zaczerpnął powietrza i zwrócił się znów do Crockera. - Na szczęście Max zauważył cię, jak wczesnym rankiem opuszczałeś Ashton i udałeś się w tę stronę wzdłuż torów.

- Max?... Czy coś się stało? - spytał szorstko Daniel. Wyczuł już niebezpieczeństwo; przeszedł go lodowaty dreszcz, gdy spojrzął na twarz Donovana.

- Ktoś przyjechał do Benton House i uprowadził Susan. Kiedy próbowałem go wytropić, natknąłem się nad rzeką na trupy trzech pinkertonów. Ktoś im

poderżnął gardła. Widać Susan porwał jeden z Dooleyów!

W kącie wagonu Floyd wybuchnął śmiechem.

Susan krzyknęła: Timmy Beeb zatrzymał konia pod drewnianym mostem tak raptownie, że rzuciło ją do przodu. Z wysoka, z krętej górskiej drogi, doleciał ich tętent koni w galopie. Timmy wyciągnął nóż z buta i przytknął ostrze do gardła dziewczyny.

- Ani pary z gęby! - szepnął jej prosto w ucho.

Serce jej tłukło się w piersi, obijało się o żebra. Znów wypełzły dobrze znane czarne cienie, ale nie poddała im się. Jakimś cudem - przy pomocy Daniela - uwolniła się od tych majaków, nie miały już nad nią władzy. Zdoła sama pokierować własnym losem, opanować strach. A teraz, z boską pomocą, znajdzie jakiś sposób, by się uwolnić i ostrzec Daniela!

Końskie kopyta grzmiały im nad głową, stukały głucho po deskach mostu. Potem konie pomknęły dalej. Beeb odczekał kilka długich, niekończących się sekund, nim skinął z zadowoleniem głową.

- Będą już w połowie drogi do Nebraski, nim się połąpią, że przegapili osobę, której szukali!

Ostrożnie wyprowadził resztę bandy spod mostu i powiódł brzegiem rzeki do kolejowej estakady przeznaczonej nad wąwozem.

- Nie mamy wiele czasu. - Wydawało się, że węchem wyczuwa zbliżanie się pociągu. Odwrócił się w stronę jednego z Dooleyów i obrzucił go przenikliwym spojrzeniem. - Hej, ty tam! Wpakuj dynamit pod estakadę! Tylko dokładnie tak, jak mówiłem, bo wyślesz nas hurtem do Bozi! - Skinął na drugiego. - A ty umieścisz ładunki na zboczu, mniej więcej o mi-

lę stąd. Jak tylko podpalisz lonty, wracaj w te pędy do nas: będziemy pośrodku. Grant, zabierz dziewczynę na górę, między te drzewa w pobliżu torów. - Timmy uśmiechnął się szyderczo. Był to okrutny grymas. - Niech sobie popatrzy na fajerwerki! - Pogładził Susan po włosach. Cofnęła się ze wstrętem.

- Widzisz, złapiemy twego męża w pułapkę - powiedział takim tonem, jakby wyjaśniał dziecku jakiś skomplikowany problem. - Poczekamy, aż pociąg minie zakręt, a potem wysadzimy im skały tuż przed nosem, a to próchno z tyłu - i złapiemy ich w kleszcze. - Jego pogodny uśmiech nagle zgasł. - Zabieraj ją, do cholery!

Dooley ściągnął Susan z siodła i powlókł w stronę górskiego zbocza.

- Grant!

Dooley odwrócił się i złapał zwój sznura, który mu rzucił Beeb.

- Najpierw ją zwiąż! Chyba nie chcesz, żeby się nam wyrwała, co? - Była to niemal groźba.

Grant zacisnął szczęki, słysząc tę pogroźkę. Brutalnie wykręcił Susan rękę do tyłu i omotał przeguby grubym sznurem. Pchnął ją do przodu.

- Jazda!

Prowadząc ją, jakby była psiakiem na smyczy, trącał ją w plecy i popychał; zmusił ją do wspinaczki po stromym, śliskim zboczu, choć przeszkadzała jej w tym spódnica.

Przez cały czas Susan głowiła się, jak uciec, jak się wyrwać. Gdyby zdołała rozluźnić pęta i kopnąć Granta tak, że potoczyłby się po stoku, byłaby wolna!...

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł ją Dooley, gdy cofnęła się na skraj oblodzonego urwiska. Pociągnął

ją w stronę torów, w rosnące za nimi krzewy, a wreszcie do wielkiego głazu pod drzewem. Tu pchnął ją na ziemię. Ziąb przenikał aż do kości. Susan była lekko ubrana, więc całkiem zeszywniała z zimna. Peleryna nie osłaniała jej dostatecznie, fiołkowy kostiumik też jej nie chronił przed mrozem.

- Grant!

- Co znowu?!

- Zostaw ją tam i schowaj się za drzewami!

Dooley zawahał się, mając już dość rozkazów Timmy'ego. Potem nagle zrezygnował z buntu; rzucił sznur na ziemię i odszedł ciężkim krokiem. Choć z przyjemnością udusiłby Beeba, wiedział, że musi z tym poczekać.

Susan zaciskała palce, wykręcała ręce; więzy jednak były zbyt ciasne - nie mogła się z nich uwolnić.

Timmy przebrnął do niej przez śnieg, przykleknął na jedno kolano i przytknął lufę rewolweru do nasady jej nosa.

- Nie próbuj żadnych sztuczek! W razie potrzeby zaknebluję cię... - Pogładził lufą dolną wargę dziewczyny. - Ale wolałbym tego uniknąć. - Wstał. - Doprawdy, ładne z ciebie stworzonko! I masz więcej ikry, niż sądziłem! - Potrząsnął głową i cmoknął. - Prawie mi żal, że przeze mnie stracisz męża...

Głosy znów odezwały się w nim: karciły go, nalegały... Timmy Beep odsunął się od Susan. Wkrótce sprawiedliwości stanie się zadość. Zastawił na Crockera pułapkę, z której się nie wyśliznie, i spotka go zasłużona kara. Oko za oko, ząb za ząb! Chichocząc radośnie, Timmy zniknął w gęstych zaroślach. Wkrótce stanie twarzą w twarz ze swym wrogiem. Nie czuł wcale lęku, jedynie triumf.

Gra dobiegła końca: Timmy Beeb wygrał. Zanim zgaśnie słońce, Crocker zdechnie i trafi prosto do piekła!

26

Pierwsza eksplozja wstrząsnęła wagonem, rzucając Daniela, Donovana i pinkertonów na podłogę. Niemal równocześnie zagrzmiął z tyłu następny wybuch. Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem.

- Zasadzka! - krzyknął ktoś nad nimi.

Ręce Daniela zacisnęły się na strzelbie, nie wstał jednak z podłogi.

- Nie ruszać się! - zakomenderował.

Grad kul spadł na górną część wagonu, dudniąc głucho o drewno. Widać Dooleyowie próbowali zestrzelić znajdujących się na dachu strażników.

Crocker podczołgał się do uchylonych drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Gęsta zasłona drzew i krzewów nie pozwalała zlokalizować strzelających do nich napastników, ale to, co zobaczył, przyprawiło go o dreszcz. Znalazł się ze swoimi ludźmi w pułapce bez wyjścia. Kręte tory tworzyły tutaj wydłużoną pętlę. Po obu jej stronach żelazne szyny zostały wysadzone w powietrze; lokomotywa i trzy pierwsze wagony przechyliły się na bok i wpały na siebie. Pociąg wyglądał jak popsuta zabawka.

Niech to wszyscy diabli!... Powinien był przewidzieć, że Dooleyowie wytną im jakiś numer na dalszej trasie!... Trzeba było poczekać na sygnał od Kuttera, a nie przenosić od razu Floyda do drugie-

go pociągu!... Ale nie zważał na nic, bo chciał jak najprędzej wykonać to zadanie! Tak mu się spieszyło, że zapomniał o elementarnych środkach ostrożności!...

Ostrzał zakończył się równie szybko, jak zaczął. Słysząc było tylko strzały pinkertonów odpowiadających wrogowi z pociągu. W Danielu zbudził się niepokój; doszła do głosu ostrożność.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął.

Strzelanina umilkła; tylko gdzieś rozległ się pojedynczy strzał. Potem zapadła cisza. Powietrze rozbrzmiewało echem spadających podkładów kolejowych i toczących się ciężkich kamieni, które - obluźowane wskutek eksplozji - osuwały się po stoku do położonego w dole strumienia. Powietrze było ciężkie i gęste od prochowego dymu i pary. Ale to nie było wszystko: dawało się wyczuć w nim jakąś straszną groźbę.

Daniel zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Pociąg uwiązł w rumowisku na amen, jakby ręce jakiegoś olbrzyma unieruchomiły wagony. Echo eksplozji dotarło zapewne do Kuttera, ale znajdował się on już o wiele mil stąd. Nie można było liczyć na jego natychmiastową pomoc.

- Psiakrew, psiakrew, *psiakrew!* - Crocker walnął pięścią w podłogę. - Znowu nas przechytrzyli! - Odwrócił się do więźnia, by zobaczyć jego reakcję na całe to zamieszanie.

Poczuł nagły ucisk w żołądku. Floyd Dooley siedział wyprostowany w kącie wagonu, wpatrując się martwym wzrokiem w Daniela, jakby go oskarżał. Wąska strużka krwi spływała z ciemnoczerwonej rany na skroni.

Zgięty w pół Daniel przebiegł na drugi koniec wagonu. Nim dotarł do Floyda, wiedział już, że więzień nie żyje. Będą musieli drogo zapłacić za jego śmierć... I to już wkrótce.

Na sekundę ogarnęła go panika, ale zaraz potem zbudził się w nim wściekły gniew.

- Czy on?...

- Nie żyje - potwierdził Crocker.

- Dooleyom cholernie na nim zależało - zauważył zgoła bez potrzeby pewien siwiejący pinkerton.

- Ale na żywym! - mruknął Daniel.

Nie byli jednak w stanie zapobiec śmierci więźnia. Atak bandy, który tak zaskoczył pinkertonów, miał nieoczekiwany skutek: Floyd został zabity przez swoich krewniaków.

- Co teraz zrobimy?

Daniel spojrzął niewidzącym wzrokiem na półotwarte drzwi, próbując zebrać myśli.

- Nie wiem. W tej chwili mają nad nami przewagę. Musimy poczekać i dowiedzieć się, czego chcą i jak zamierzają wydostać Floyda z tego bigosu. - Nie wspomniał o swej obawie, że bandyci posłużą się jego żoną, by wymusić na nim swoje warunki.

- Crocker! - Wołanie dobiegło zza drzew. - Wiem, że tam jesteś, Crocker.

Daniel, nadal pozostając w ukryciu, przygotował broń i podpełzł bliżej drzwi. Bez trudu rozpoznał chrapliwy głos Granta Dooleya.

- Czego chcesz?

- Proponuję małą wymianę - odrzyknął Grant. - Coś, co ty masz... za coś, co jest u nas.

Pragnąc zyskać na czasie, Daniel zmusił się do śmiechu.

- Nie wmówisz mi, że chcesz się oddać w nasze ręce w zamian za brata!

- Nie, nie. Wymyśliłem coś lepszego. Jeśli chcesz zobaczyć co, chętnie ci pokażę. Tylko powiedz tym na dachu, żeby rzucili broń.

- Uważasz mnie za durnia, Dooley?!

- Ależ skąd! I właśnie dlatego myślę, że się zgodzisz.

- Nie, Danielu! Nie!

Daniel usłyszał głos Susan. O Boże, nie!... Dlaczego naraził ją na takie niebezpieczeństwo?... Jak mógł się łądzić, że Susan będzie bezpieczna, jeśli on ją kocha?... Czy zapomniał już, co się stało z mamą?... Z Annie?... Czy nie wiedział, że swoją miłością przynosi najdroższym śmierć?...

- Zrób, co trzeba, Crocker, a włos jej z głowy nie spadnie.

- Spróbuj tylko ją tknąć, bydlaku!

- Rób, jak ci mówię, Crocker! Każ im zrzucić z dachu broń!

Zdobyte podczas wieloletniej służby doświadczenie i wrodzony instynkt zmagaly się w sercu Daniela z pragnieniem oswobodzenia Susan, zapewnienia jej bezpieczeństwa. Oparł się mocno plecami o ścianę wagonu.

- Zróbcie, czego chcą! - rozkazał podkomendnym.

Przez sekundę nic się nie działo. Daniel wiedział, że jego ludzie nie wierzą własnym uszom. Zawsze stawiał obowiązek służbowy na pierwszym miejscu. Jego działalność w agencji i jego życie prywatne to były dwa zupełnie różne światy. A teraz złamał tę zasadę dla kogoś z zewnątrz! Dla kobiety!...

Usłyszał, jak rewolwery i strzelby zsuwają się

z dachu wagonów sztuka po sztuce: stuk... stuk...

- Bardzo ładnie! - zapiął triumfalnie głos zza drzew. - A teraz kolej na tych w środku. Każ i im wyrzucić broń.

Daniel szybkim ruchem głowy dał znak, by obstwa wagonu rzuciła broń na śnieg.

- Niech te pinkertony staną w drzwiach; chcę ich mieć na oku.

- Nie będę narażał swoich ludzi - odkrzyknął Daniel - póki nie zobaczą, że nic jej się nie stało!

Odpowiedział mu przykry, chrapliwy śmiech. Daniel aż się wzdrygnął, myśląc o żonie skazanej na łaskę i niełaskę Granta Dooleya.

- Jesteś sprytniejszy, niż przypuszczałem, Crocker!

Rozległ się szelest liści, trzask gałęzi - i wyjrzwszy z wagonu, Daniel zobaczył Susan na niewielkiej polance w odległości niecałych piętnastu stóp.

Jej spojrzenie pobiegło ku niemu, zwarło się z jego oczyma. Zapewniała go wzrokiem, że nic jej nie jest. Daniel zdołał opanować strach; z bolesną dumą wpatrywał się w błyszczące odwagą oczy żony. Zadzierając wojowniczo brodę, weszła na środek polanki. Grant Dooley stał tuż za nią; jedną ręką zaciskał jej usta, drugą trzymał rewolwer przy skroni.

- Masz, czegoś chciał. Crocker. A teraz ty mi pokaż swoich ludzi!

Donovan zamierzał opuścić wagon razem z pinkertonami. Daniel dał mu znak, by pozostał w ukryciu. Wcześniej, kiedy Grant rozkazał im wszystkim złożyć broń, Daniel dorzucił do stosu także swój rewolwer. Teraz ostrożnie oparł strzelbę o ścianę wagonu, wskazując ją w milczeniu Reedowi. Potem ru-

szył do wyjścia, unosząc szeroko rozstawione ręce. Ich los zależał teraz od Donovana i od tego, jaki użytek zrobią jego ludzie z broni, którą udało im się ukryć przed Dooleyami.

Grant roześmiał się i dał znak swoim, by wyszli zza drzew.

- Aleśmy ci zrobili niespodziankę, co, Crocker? Liczyłeś na to, że schwytasz wszystkich Dooleyów w pułapkę! Nie miałeś pojęcia, jacy z nas spryciarze. Mieliśmy u was swoją wtyczkę!

Na te słowa wysunął się do przodu rudy, piegowaty jeździec. Daniel znał tego młokosa. Niewiele brakowało, by go zabił kilka miesięcy temu, podczas obławy na obu braci Beebów w Utah, gdzie nieźle sobie pohulali, rabując i gwałcąc. Mackie Beeb był groźnym przestępcą, ale jego brat Timothy stanowił dwa razy większe zagrożenie. Mackie zabijał dla pieniędzy, Timmy'emu sprawiało to frajdę. Chodziły słuchy o dziedzicznym obłądnie w rodzinie Beebów. Ale jeśli istotnie tak było, Timmy miał dość sprytu, by nawet to obrócić na swoją korzyść.

Daniel nie odezwał się ani słowem. Zacisnął tylko pięści i wpatrywał się w stojącą na śniegu kobietę, która tak wiele dla niego znaczyła. W kobietę, którą naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- A teraz - polecił Grant - każ swoim ludziom zejść na dół.

Kiedy Daniel chciał zeskoczyć na ziemię wraz z innymi, Dooley zawołał:

- Nie, nie, Crocker! Ty zostaniesz w wagonie i wyprowadzisz mojego brata! A jak to zrobisz, zajmie się tobą Beeb. Już mu to obiecałem. Zalażesz mu, zdaje się, jeszcze bardziej za skórę niż nam!

Daniel pozostał na swoim miejscu, podczas gdy banda Dooleya odpędziła resztę pinkertonów jak najdalej od pociągu. Kiedy znaleźli się już w odległości dwudziestu czy trzydziestu jardów od toru, Grant postąpił naprzód wraz z Susan. Nadal zakrywał jej usta ręką. Nie zawiązał jej jednak oczu; z ich wyrazu Daniel domyślił się, że Susan planuje jakiś desperacki krok.

Potrząsnął leciutko głową, chcąc ją od tego powstrzymać, ale nadal prosiła go spojrzeniem, by jej zaufał. W tej chwili zauważył, że ramiona żony są związane z tyłu i że Grant trzyma koniec krępującego ją sznura w tej samej ręce co rewolwer.

W przebłysku olśnienia Daniel pojął, co Susan chce zrobić. Boże święty!... To się mogło udać!...

- Idź po mego brata, Crocker! - krzyknął Dooley, wyraźnie zaniepokojony tym, że pinkerton zwleka z wykonaniem jego rozkazów.

Daniel wrócił do mrocznego przedziału i zwrócił się do ukrytego w nim Reeda.

- Donovan, nie mam pojęcia, co się wydarzy w ciągu najbliższych paru minut. Mam nadzieję, że strzelasz tak samo niezawodnie jak dawniej!

- Chyba tym razem poćwiczę sobie rzuty do celu. - Reed sięgnął do kieszeni i wyjął cztery laski dynamitu. - Max wędrował do sierocińca okrężną drogą i zajrzał do kryjówki Dooleyów. Wśród jego „skarbów” znalazłem to, lonty i zapalniki.

Daniel nie wierzył własnym oczom.

- Rany boskie!... - Czuł, że rośnie w nim podniecenie. Dzięki Donovanowi szala zwycięstwa może się przechylić na stronę pinkertonów! - Myślisz, że uda ci się dorzucić toto aż do drzew, nie zabijając niko-

go, i wywołać takie zamieszanie, że zapomną na chwilę o mnie i moich ludziach?

- No chyba!

Danielowi ręce się trzęsły ze zdenerwowania, ale pokazał Donovanowi, jak przygotować dynamitowe ładunki, i podał mu zapałki, które miał schowane w kieszeni kurtki.

- Pamiętaj, wal w drzewa, nie w nas!

- Crocker! Dość już tego zwlekania!

Daniel rzucił okiem na nieboszczyka, przez którego wpadli w takie tarapaty, posłał Reedowi spojrzenie pełne zachęty, wziął głęboki oddech i wyskoczył z wagonu.

Potoczył się po ziemi i chwycił najbliższą leżącą broń. Z boku coś mignęło i laska dynamitu wylądowała z hukiem w zaroślach. Dooleyowie na ułamek sekundy potracili głowy. To wystarczyło Danielowi i jego ludziom; byli już gotowi do walki. Daniel wycelował z rewolweru w Granta dokładnie w tej chwili, gdy Susan ugryzła go z całej siły w kciuk i cofnąwszy się, szarpnęła mocno sznurem.

Pinkertonowie równocześnie oddali strzały i natychmiast padli znów na ziemię. Znajdowali się z boku, tak iż Crocker był poza linią ognia. Mieli doskonałą sposobność powyrzelać większość bandy Dooleya, która znajdowała się na widoku. Wśród bezładnej strzelaniny coraz to rozlegały się wrzaski zabijanych.

Daniel usłyszał krzyk Donovana - i zaraz potem nastąpiła kolejna eksplozja. Grant strzelił do Crockera, ale niezbyt celnie: ugodził go tylko w ramię. Daniel wypalił do pierwszego opryszka, który podniósł na niego broń; był to Marvin Dooley stojący w odległości zaledwie kilku stóp od niego. Potem popędził

w stronę Susan, zasłonił ją sobą i wycelował z rewolweru prosto w głowę Granta. Rozległ się tylko cichy szcęk: komora była pusta.

W tej samej chwili powietrze zatrzęsło się od nowych strzałów i krzyków: Kutter ze swoimi ludźmi pędził ze szczytu wzgórza w stronę parowu.

Grant zerwał się i skoczył na Daniela. Ten rzucił się ku Susan, zwałił ją na ziemię i osłonił własnym ciałem przed Dooleyem. W tej chwili ktoś wypalił ze strzelby pod same nogi Granta. Uskoczył za zasłonę drzew i krzewów.

- Gdzie Marvin? - wrzasnął do Beeba, który zaszył się tam, gdy tylko sytuacja stała się groźna.

- Nie żyje. - Timmy spiął konia piętami.

Grant obejrzał się i zobaczył na śniegu nieruchome ciało brata. W oszołomieniu wskoczył na konia i ruszył za Beebem.

Susan usiłowała wydostać się spod przygniatającego ją do ziemi ciężaru.

- Danielu!... - Udało jej się przewrócić go na plecy. Szarpiąc gruby materiał płaszcza i spodnie warstwy ubrania, dotarła wreszcie do rany. Aż jęknęła na widok szkarłatnej plamy rozlewającej się coraz szerzej po ramieniu męża.

Powieki Daniela drgnęły, oczy otworzyły się. Był w nich niepokój i wola przetrwania. Schwycił Susan za kark i przycisnął ją do ziemi. Błyskawicznie przetoczył się tak, by ją osłonić. Drżącymi rękami zaczął nabijać rewolwer.

- Bardzo cię boli, Danielu?...

- Ciiicho - ostrzegł ją słabym szeptem. Ostrożnie uniósł głowę. Kilku pinkertonów pędziło przed sobą

grupę Dooleyów. Inni wyprowadzali swoje konie z ostatniego wagonu. Daniel usiadł, Susan przyklękła obok niego.

Kutter przykłusował na swym koniu i zatrzymał się tuż obok miejsca, gdzie siedzieli.

- Floyd i Marvin zabici - oznajmił mu prosto z mostu Crocker. - A ten twój nowy agent, Timmy, to młodszy z braci Beebów. Chciał pomścić śmierć Mackiego.

- A to ścierwo! - zaklął Kutter. Twarz mu się skurczyła w bezsilnym gniewie. - Czy Grant wie, że jego braciszki są już u Boży?

- Jestem pewien, że wie o Marvinie, ale o Floydzie chyba nie. - Daniel wskazał ręką wagon i skrzywił się, bo przy tym ruchu odezwał się znów tępy ból. - Myślę, że nie ma pojęcia o jego śmierci.

Wzrok Kuttera prześlizgnął się po całym pociągu; dostrzegł krwawe plamy na śniegu i panujący wokół chaos. Pinkertonowie wyprowadzali konie z wagonu, by ruszyć w pościg za resztą bandy.

- Musimy dopaść Granta i Timmy'ego Beeba, nim skryją się w górach. Z samymi Dooleyami jest i tak dość kłopotu... ale ciarki mi chodzą po plecach, jak pomyślę o tym sojuszu z Beebem!... Te dwie szajki razem, to ogień i nafta do kupy!

Daniel próbował się podnieść. Kiedy się zachwiał, Susan podtrzymała go.

- Zaraz znajdę mego konia.

- Tam do licha, człowieku! Chyba nie będziesz ich gonił?!

- Biorę udział w tej akcji, nie?

Kutter wychylił się z siodła i przeszył Crockera spojrzeniem.

- Z tym już koniec! - warknął. - Od tej chwili jesteś wolny.

- Posłuchaj, Kutter, psiakrew!...

- Nie! To *ty* posłuchaj! Do tej pory dawałem ci wolną rękę i nieraz na tym dobrze wyszedłem. Ale tym razem nie ustąpię! Grant Dooley od lat marzy o tym, by cię dostać w swoje łapy. A teraz, kiedy się dowie, że obaj bracia nie żyją, a krewniaków mamy pod kluczem, nie dałbym złamanego grosza za twoje życie. I wolę nie myśleć o tym, co Timmy Beeb miałyby ochotę z tobą zrobić. - Jedidiah dźgnął go wymownie palcem. - Wynoście się stąd oboje, do diabła!... To rozkaz, Crocker. Wiesz, co myślę o pętaniu się cywilów podczas naszych akcji! A jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, to zrób ze względu na nią. - Kutter ruchem głowy wskazał Susan.

Daniel jakby nagle uświadomił sobie obecność żony i przestał protestować.

- Niech go pani stąd zabierze - zwrócił się Kutter do Susan, cicho, ale stanowczo. - Weźcie konia z wagonu i ruszajcie jak najszybciej. I na litość boską, przycupnijcie w jakiejś bezpiecznej kryjówce, póki nie będzie po wszystkim!

Susan skinęła głową ze zrozumieniem. Zostawiła Daniela i pobiegła w stronę pociągu. Nie pytając nikogo o pozwolenie, chwyciła za cugle konia, którego właśnie sprowadzano po rampie; poznała, że to wierzchowiec Daniela. Mimo niezadowolonej miny pinkertona, który chciał wziąć go dla siebie, Susan podprowadziła Wodza do męża.

Daniel popatrzył na nią. Najwyraźniej bił się z myślami: czy ma iść za głosem obowiązku i dołączyć do swoich ludzi, czy zostać z Susan.

Stanąła u jego boku i popatrzyła na niego. Widząc jego bladą, spiętą twarz, pojęła, jak łatwo może go stracić.

- Jedźmy do domu, Danielu. Twoje zadanie już się skończyło.

Stopniowo opór Daniela słabł. Objął żonę za szyję i pochyliwszy się, ucałował ją z wielką czułością. Tym pocałunkiem wyznawał Susan, jak wielką trwoga go ogarnęła, gdy ujrzał ją w szponach Granta.

- Dobrze. Pojedziemy do domu.

Wskoczył na konia i wyciągnął rękę, by pomóc Susan wsiąść za nim. Objęła go w pasie i przytuliła policzek do pleców męża, czerpiąc otuchę z jego siły.

- Wiesz, gdzie mnie szukać - zwrócił się Daniel do Kuttera, trzymając mocno w cuglach niespokojnego konia.

Jego szef skinął głową.

- Wpadnę do was za dzień czy dwa. Może nawet z krową.

Wargi Crockera drgnęły w lekkim uśmiechu.

- Dzięki! - odparł. Obaj dobrze wiedzieli, że nie chodzi o jakąś tam krowę, tylko o to, że Kutter naprawdę zwalnia go ze służby i rozumie, że zależy mu na ukryciu Susan w bezpiecznym miejscu.

Twarcz Kuttera zmarszczyła się w nieczęstym u niego uśmiechu, oczy błysnęły mu szczerą radością.

- Wyoście się stąd! - polecił szorstko. - I sprawdźcie, czy wam kto nie depta po piętach!

Jeden z ludzi Daniela zawrócił, by oddać mu rewolwer. Daniel wsadził go do futerału, uniósł leżce i pokłusowali w stronę parowu.

Kiedy byli już daleko od miejsca zasadzki, Susan odezwała się:

- Jak tam twoja rana?

- To tylko draśnięcie - odparł. - Zdążymy je opatrzyć, jak już będziemy w domu.

Susan przytuliła twarz do zdrowego ramienia męża i uściśnęła je. Daniel odwzajemnił uścisk, obejmując wolną dłonią rękę Susan.

Gdzieś wyżej, przed nimi, zaszeleściły drzewa. Crocker ściągnął cugle i wydobywszy rewolwer, wymierzył w zbliżającego się napastnika.

Na drodze pojawiła się znana postać na koniu.

- Donovan?! - zawołała Susan, zaskoczona jego widokiem.

Daniel odprężył się.

- To była dobra robota, Donovan!

Reed złożył żartobliwy ukłon.

- Cała przyjemność po mojej stronie! Dokąd się wybieracie?

- Chyba lepiej będzie zniknąć na dzień czy dwa.

- Racja! Nie martwcie się o Benton House: damy sobie radę bez was! W drodze powrotnej zaalarmuję całe Ashton, że Dooleyowie kręcą się w pobliżu. - Zwrócił Danielowi strzelbę. - Pewnie ci się przyda, chłopcze.

Daniel wsunął broń do pochwy przy siodle.

- Uważajcie na siebie! - upomniał ich na pożegnanie, po czym skręcił na drogę do sierocińca i zniknął im z oczu.

Z namysłem Daniel skierował Wodza ku przełęczy. Kiedy dotarli na skraj kanionu, zatrzymał się pod osłoną drzew, by upewnić się przed dalszą drogą, że w pobliżu nikt się nie czai. Potem pognął galopem na północ, wzdłuż pasma gór, brzegiem krętego strumienia.

Po przebyciu kilku mil Susan spytała:

- Dokąd jedziemy?
- Za Przełęcz Trapera.

27

Susan nie zadawała dalszych pytań. Czuła, że Daniel się niecierpliwi, że chce jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu, z dala od wścibskich oczu.

Była przygotowana na długą jazdę, może do późna w noc, toteż zdumiała się, gdy mąż skierował konia na wąską przełęcz między górami. Przebyli płytki, pokryty lodem strumień i wspięli się na niewielkie wzgórze. W dolinie pod nimi przycupnął mały drewniany dom i stajnia. Było już późne popołudnie; okryte cieniem budynki zdawały się serdecznie witać nadjeżdżających.

Z pewnym wahaniem Susan spytała:

- Danielu, gdzie my jesteśmy?

Odparł cicho, z odcieniem pewnej dumy:

- W domu.

- W domu? To jest twój dom?

- Pięć lat temu udało mi się kupić tę farmę dzięki pomocy przyjaciela. Dzisiaj spłaciłem do końca zaciągnięty u niego dług.

- Pięć lat temu?... - powtórzyła słabym głosem Susan. - Dlaczego nic mi o tym nie mówiłeś? I czemu nie mieszkałeś tu do tej pory?

Pieszczotliwym gestem objął jej kolano.

- Ponieważ zamierzałem przybyć tu jako zwycięski bohater - stwierdził niewesołym tonem. - Ale ciągle zarabiałem na życie zabijaniem: najpierw w kawalerii,

potem w Agencji Pinkertona. Miałbym zjawić się tutaj z rękami unurzanyymi we krwi?... - Zaciął wargi.

- I chciałem pokazać wszystkim, że wyszedłem na ludzi, że nie jestem już bezdomnym znajdkiem tułającym się po ulicach Bentonburga.

- Nigdy nie myśleliśmy o tobie w ten sposób!

- Ale ja tak o sobie myślałem.

Dopiero teraz Susan pojęła, że pozorna nieczułość Daniela wynika z poczucia własnej niższości, które dręczyło go od dzieciństwa. Był przekonany, że nie jest wart niczyjej miłości i że wszyscy doskonale o tym wiedzą.

- Mogłeś tu przecież mieszkać przez te wszystkie lata!...

Uśmiechnął się i obrócił w siodle, by spojrzeć jej w oczy. Jego własne patrzyły tak czule i gorąco jak nigdy przedtem.

- Gdyby nie ty - odparł - pewnie nigdy bym się nie ośmielił zamieszkać tutaj.

Ponownie uśmiechnął się do Susan, a ona objęła go z całej siły, czując rozlewający się po żyłach żar namiętności. Potem odwrócił się, popędził Wodza i ruszyli ku budynkom pośrodku dolinki.

Podprowadził wałacha pod samą stajnię, pochylił się i pomógł żonie zsiąść. Potem sam zeskoczył i otworzył szeroko wrota. W stajni pachniało jeszcze trochę stęchlizną. Choć ostatnimi dniami Daniel odwiedzał to miejsce kilkakrotnie, chcąc je przygotować na przybycie Susan, nadal widoczne były ślady długoletniego zaniedbania; najpierw nie było tu żadnego właściciela, potem on sam zjawiał się rzadko, od czasu do czasu.

Były to jednak mankamenty, które nietrudno będzie zlikwidować. Wystarczy trochę świeżej słomy

i świeżego powietrza! - myślał z satysfakcją. Jak tylko się ociepli, trzeba będzie wymienić niektóre słupy: zimujące w stajni konie porządnie je nadwerzęły. Z czasem zamontuje na poddaszu nowe bloczki i linki. Gdy zwiezie tu siano i sprowadzi kilka zwierząt, stajnia się ożywi i będzie prawie jak nowa!

Wytarłszy do sucha Wodza, Daniel poszukał wzrokiem żony. Susan czekała na niego we drzwiach.

- Najwyższy czas wejść do domu i zająć się tą twoją raną!

- Doskonale. - Wziął strzelbę i wyciągnął drugą rękę do żony. - Witamy w domu, pani Crocker!

Trzymając się za ręce, podeszli do drzwi. Kiedy Susan popatrzyła z bliska na budynek, który miał stać się jej prawdziwym domem, poczuła, że radość rozsada jej serce. Tu właśnie spędzi całe życie z Danielem, tu pewnie urodzą się im dzieci... Nieraz o tym marzyła, ale nie przypuszczała, że jej marzenia się spełnią - póki Daniel nie wkroczył znów w jej życie.

- Obawiam się, że dom nie wygląda zbyt okazale... Od dawna stał pusty. Ostatnio zajrzałem tu raz czy drugi, by trochę posprzątać, ale przydałyby się gruntowne porządki... Może niedługo pobielimy go?... Z młotkiem też sobie nieźle radzę.

- Ależ, Danielu, dom jest śliczny!

- Chwyta za serce, prawda? - Z okrzykiem radości porwał ją w objęcia i aż syknął, poczuwszy ostry ból w ramieniu. Postawił żonę na ziemi, zaklął i schwycił się za zranioną rękę.

- Gdzie masz klucz? - Uśmiechnęła się na widok jego entuzjazmu.

- W kieszonce na piersi, po lewej.

Wsunęła mu pod płaszcz zziębnięte palce, rozko-

szując się ciepłem jego ciała. Odpięła kieszeń roboczej koszuli męża i wydobyła z niej łańcuszek od zegarka.

- To ten klucz z zatartym wzorkiem! - wyjaśnił Daniel.

Susan zauważyła, że mosiężne ozdóbki na podstawie klucza były niemal całkiem wygładzone, jakby ktoś obracał go ustawicznie w rękach, bezwiednie a czule.

Zamek ustąpił z niemiłym zgrzytem, świadczącym dobitnie, że nie oliwiono go od lat. Wypaczone tylne drzwi nadal nie poddawały się, a gdy Crocker otworzył je wreszcie kopnięciem, uderzyły ciężko o wewnętrzną ścianę domu.

Susan weszła do kuchni, mąż za nią. Położył strzelbę i rewolwer na niskim kredensie. W pomieszczeniu było mroczno, bo okna zabito deskami; przez szpary między nimi przedostawało się jednak dość światła, by można się było rozejrzeć po małej kuchence. Susan oglądała ją, nie dostrzegając ani pajęczyn, które Daniel podczas sprzątanía zostawił po kątach, ani podniszczonych sprzętów, ani zapaszku stęchlizny. Widziała kuchnię taką, jaką się stanie po gruntownych porządkach, z firankami w oknie i nową cynową płytką na blacie kredensu.

- Nie najlepiej się prezentuje - stwierdził Daniel.

- Jest piękna!

- Prawdę mówiąc, nie zdążyłem przygotować wszystkiego na twoje przybycie. Udało mi się tylko z grubsza posprzątać i wyszorować sprzęty... i dokupiłem kilka rzeczy. - Zawahał się, speszony jak mały chłopczyk i spragniony jej aprobaty. - Tu jest spiżarnia - otworzył drzwi do maleńkiej bokówki - a po drugiej stronie sypialnia.

Susan podeszła za nim do drugich drzwi i zajrza-

la do niewielkiego, pustego pokoju. Potem wrócili na środek kuchni.

- A tu mamy piwnicę na warzywa, w samym domu, nie na zewnątrz! Tutaj jest kłapa! - Grzmotnął w nią obcasem; rozległ się głuchy odgłos. Potem chwycił żonę za ramię i wyciągnął ją na korytarz. - Tutaj będzie bawialnia! - powiedział, wskazując ręką nieduży pokój od frontu. Wyglądał na słoneczny: wystarczy usunąć z okien deski i wymyć szyby.

- A to... - Daniel zawahał się, nim otworzył ostatnie drzwi - jeszcze jedna sypialnia.

Susan zjrzała mężowi przez ramię. Był to jedyny - nie licząc kuchni - umeblowany pokój w całym domu. Pod ścianą stała komoda z nieodzownym porcelanowym dzbankiem i miską. Resztę niewielkiej przestrzeni zajmowało żelazne łóżko. Widocznie Daniel kupił je podczas jednej ze swych wypraw. Prezentowało się imponująco: zasłane było czystą lnianą pościelą i przykryte pikowaną kołdrą.

- Jasne, że wielu rzeczy jeszcze brakuje. Miałem nadzieję skończyć wszystko, zanim cię tu przywiozę.

- Rada jestem, że nie skończyłeś. Z przyjemnością pomogę ci w urządzaniu naszego domu!

Daniel uśmiechnął się i przytulił ją do siebie. Susan pozwoliła sobie na chwilkę odprężenia, po czym wysunęła się z objęć męża.

- Twoje ramię!

Zabrała go do kuchni i zmusiła, by usiadł na chwiejącym się zielonym krześle. Wraz ze sfatygowanym stołem i niskim kredensem stanowiło całe umeblowanie kuchni.

- Od razu opatrzymy tę ranę - oświadczyła stanowczo.

- Ale bez terpentyny!

- Bez terpentyny.

Pomogła mężowi zdjąć płaszcz, potem kurtkę i koszulę. Po ramieniu ciekła struga krwi. Susan uniosła spódnicę i odpięła halkę, która spadła na podłogę. Daniel przyglądał się temu, unosząc brew do góry.

Susan poczerwieniała.

- Gdzie tu jest woda?

Daniel wskazał drzwi do spiżarni.

- Doprowadziłem wodę do domu, ale nie chciałem, żeby pompa była w kuchni. Kilka dni temu sprawdziłem, że działa.

Z szyjki niewielkiej pompy zwisało wiadro. Susan napełniła je wodą i wróciła do kuchni. Górną częścią halki oczyściła ranę. Przekonała się z radością, że mimo sporego upływu krwi nie była głęboka. Oddarła falbanę, która po usunięciu zwisających nitek, przemieniła się w długi, niezbyt szeroki bawełniany bandaż. Owinęła nim ramię męża tak, że brzegi rany stykały się ze sobą.

- To musi wystarczyć, nim będę mogła zrobić ci porządny opatrunek.

Crocker podniósł rękę, sprawdzając, czy może nią swobodnie poruszać. Skrzywił się z bólu, ale zaraz podziękował żonie radosnym uśmiechem za jej starania. Ponieważ było zimno, musiał znów włożyć koszulę.

Susan skłoniła go, by przeszedł do sypialni; usadowiła go na brzegu materaca.

- Posiedź tu! Przyniosę więcej wody, żebyśmy oboje mogli się umyć. Do mego powrotu masz odpoczywać!

Wróciła z wiadrem do kuchni. Otworzyła drzwi i chlusnęła brudną wodą w śnieg. Potem podeszła do spiżarnianej pompy i napełniła wiadro czystą wodą.

Postawiła je na stole, nucąc coś pod nosem, i wybiegła mimo mrozu na ganek po kilka polan; zauważyła cały stos drewna opałowego pod zewnętrzną ścianą domu. Zamknąwszy szczelnie drzwi stosunkowo ciepłej kuchni, skreśliła do bawialni, gdyż dostrzegła tam kominek.

- Danielu!... - Ponieważ nie miała zapałek, zajrzała znów do sypialni, chcąc spytać męża, gdzie je schował.

Ale on leżał na łóżku i spał. Widać wydarzenia dzisiejszego dnia w połączeniu z raną całkiem go zmogły.

Drżąc z zimna, Susan przeszukała wszystkie półki w kredensie, nim znalazła zapałki. Uradowana tym sukcesem, zabrała wiadro z wodą i pospieszyła do bawialni napalić w kominku.

Wkrótce ogień już trząsał, tak że mogła zagrażać na nim wodę i umyć się. Wyszorowała się do czysta i z grymasem obrzydzenia włożyła znów kostium. Fiołkowy materiał był ubłocony, a kolorowa lamówka przemokła na śniegu i zabarwiła się na fioletowo.

Wyczerpana duchowo i fizycznie po całodziennych przejściach, Susan poczłapała na bosaka do sypialni. Wdrapała się na łóżko, przytuliła do męża i objęła go ramionami w pasie, jakby chcąc mieć pewność, że jest mu ciepło i że jest bezpieczny.

Daniel obudził się nagle. Odwrócił głowę i ujrzał Susan. Wpatrywała się w niego z takim uwielbieniem, że serce omal mu nie pękło.

Wyjęła mu zegarek z kieszeni i otworzyła kopertę.

- Dopiero szósta! Nie przespałeś nawet godziny! Postaraj się jeszcze zasnąć.

Daniel przesunął dłonią po twarzy, próbując się wyciszyć. Po burzliwych przejściach adrenalina sza-

łała w jego żyłach. Próbował sobie wytłumaczyć, że już po wszystkim, ale ani jego mózg, ani ciało nie przyjmowały tego do wiadomości. Po dziesięciu latach służby w Agencji Pinkertona trudno mu będzie rozstać się z dawnym życiem i zacząć nowe.

- Jak tam ręka?

Zgiął ramię. Czuł w nim tępy ból i miał nieco zeszywniałe mięśnie - ale był żywy i nie z takich ran już się wylizał! Z pewnością wylizę się i z tej.

- Trochę pobolewa, ale zgoi się raz-dwa!

Przez dłuższą chwilę leżeli spokojnie w przyjaznym milczeniu. Kiedy Susan zaburczało w brzuchu, zachichotała.

- Czy wśród tych wszystkich rzeczy, któreś tu przytaszczył, znajdzie się coś do jedzenia?

- Prawdę mówiąc...

Daniel znalazł dwie puszkę: z fasolą i z brzoskwiniami. Rozłożyli koc na podłodze w bawialni i jedli jedno i drugie prosto z puszek. Posługiwali się na zmianę nożem Daniela, bo zapomniał o przywiezieniu talerzy i sztućców.

Kiedy posiłek dobiegł końca, palce Susan lepiły się, ale nie czuła już głodu.

- Co będziesz teraz robił, kiedy już nie jesteś pinkertonem? - spytała męża.

- Myślałem o hodowli bydła i koni. Po latach służby w kawalerii i w Agencji Pinkertona znam się niezłe na koniach; chyba potrafię zarobić na życie - dla nas obojga.

Susan ogromnie ucieszyły te słowa. *Dla nas obojga.*

Daniel przysunął się bliżej.

- Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa. Bywa tu czasem pusto. W zimie trudno przejechać przez przełęcz.

- Więc nikt nam nie będzie przeszkadzał. - Jej wzrok spoczął na ustach męża. Kiedyż wreszcie Daniel ją pocałuje?!

Mąż jednak kontynuował, unikając jej wzroku:

- Wiosną są roztopy, błocko i wtedy droga znowu jest nieprzejezdna.

- Wspaniale! Żadnych nieproszonych gości!

Daniel nie mówił już dalej. Nie był w stanie. Włosy Susan rozsypały się jej po ramionach. Oczy jej lśniły jak woda latem w głębokim strumieniu. Była taka piękna!... Jak długo jeszcze przyjdzie mu czekać, nim Susan stanie się naprawdę jego żoną?...

Ponieważ mąż nadal milczał, Susan odezwała się:

- Zapomniałeś o lecie, Danielu! Wtedy góry będą nas osłaniać swoim cieniem, a świeże powietrze sprawi, że w domu będzie miły chłód. Potem przyjdzie jesień i wszystkie drzewa rozpłomienia się barwami... A zimą będzie nam tu zacisznie.

Daniel dotknął jednego z jej palców, potem drugiego... Skóra Susan była taka delikatna, taka gładka, taka... kusząca.

- Nie mogę ci zapewnić łatwego życia. Z początku będzie krucho z pieniędzmi.

- Nie zależy mi na pieniądzach.

- Na razie nie stać mnie na nikogo do pomocy.

- Ja ci będę pomagać.

- I ten dom... taki mały i ciasny... Może dopiero za kilka lat będziemy mogli go rozbudować.

- Nie potrzeba mi więcej pokoi, Danielu.

Przestał wpatrywać się w jej rękę; podniósł oczy wyżej. To, co ujrzał we wzroku żony, zaparło mu dech. Pożądanie. Namiętność.

- Mam wszystko, czego pragnę. Właśnie tu - po-

wiedziała. - Przekonasz się! Będziemy szczęśliwi. Tacy szczęśliwi!

Wyraz twarzy Daniela świadczył wyraźnie o tym, że nie może w to uwierzyć. Od tak dawna był samotny... a teraz, gdy pragnęła dzielić z nim życie, czuł, że ofiarowuje jej zbyt mało.

Głos zamarł Susan w gardle. Przypomniała sobie chwilę, gdy Grant Dooley stał nad nimi z rewolwerem wycelowanym w głowę jej męża.

- Miałem zawsze cholernego pecha. Aż do dziś... - szepnął Daniel. - Nie jestem ciebie wart.

Potrząsnęła głową. Czemu on nie rozumie, że jego przeszłość nie ma dla niej znaczenia?... Liczy się tylko przyszłość - ich wspólna.

- Dlaczego tak sądzisz, Danielu?

Nie odpowiedział jej. Odwrócił tylko jej rękę i ucałował wewnątrz dłoni. Susan zacisnęła palce, jakby chciała zachować żar jego ust.

Jednym płynnym ruchem Daniel odwrócił żonę i przytulił plecami do swej piersi; objął ją ramionami w pasie. Siedzieli tak, przyglądając się, jak smużki światła z zabitych deskami okien pełzną po podłodze, jak zapada zmierzch, jak ogarnia ich ciemność.

- Nie mogę się doczekać zdjęcia tych desek! Jak też tu będzie wyglądało, kiedy umyjemy szyby? - odezwała się Susan szeptem, by nie zmacić pogodnej ciszy. W odpowiedzi Daniel objął ją mocniej.

- Będziemy tacy szczęśliwi!... Nasz dom będzie bezpieczny i pełen miłości!

Miłości. Tego słowa Daniel bał się jak ognia!... W dodatku po ostatnich wydarzeniach zwątpił, czy zdoła zapewnić żonie bezpieczeństwo...

Na czole Susan pojawiła się zmarszczka, gdy mąż od-

sunął się od niej i wstał. Przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy jednym z okien, wspierając się o ścianę.

Susan wstała również i podszedłszy do niego, położyła mu dłoń na ramieniu. Mięśnie były napięte, twarde.

- Co się stało?

- Zawiodłem cię dziś.

- O czym ty mówisz?

- Nie uchroniłem cię od niebezpieczeństwa.

- Przecież nie mogłeś przewidzieć tego, co się stało!

- A powinienem! Czy ty tego nie rozumiesz?! Powinienem być zadbać o ciebie!

Susan czuła, że za tymi słowami kryje się coś więcej niż napięcie po spotkaniu z Dooleyami.

- Widzę, że czymś się zadręczasz. Co to takiego?

- Nic! - wyrzucił z siebie pospiesznie.

Susan skłoniła go, by spojrzeć na nią. Jego oczy były ciemne, pełne bólu.

- Powiedz mi! - nalegała cicho. - Nie mogę patrzeć, jak się męczysz!... Przecież wyjawiałam ci moje tajemnice. Opowiedziałam ci o wszystkim!

W pokoju zaległa cisza, przerywana tylko trzaskaniem ognia na kominku. Daniel odchylił głowę do tyłu i wstrzymał dech.

- Nie chcę, by stało ci się coś złego - powiedział.

- Nic mi się nie stanie! Koch...

Położył jej palec na ustach.

- Nie mów tego! - Pieszczotliwie dotknął jej ust. - Lepiej mnie nie kochaj!

- Nic nie rozumiem!

- Kto tylko mnie pokochał, umierał!... Nie chcę, żebyś umarła, Susan!

Roześmiałyby się na tę niemądrą uwagę, gdyby wyraz twarzy męża nie był taki poważny.

- Chyba w to nie wierzysz?!

- Nie wiesz, jak trafiłem do sierocińca, prawda? - Daniel puścił ją i odsunął się. - Niebioso nie stworzyły mnie na sierotę! - Roześmiał się gorzko. - Byłem dziewiątym dzieckiem z dziesięciorga rodzeństwa. Mój ojciec, wiecznie pijany bydlak, nie potrafił zostawić matki w spokoju. Ledwo urodziła jednego dzieciaka, już jej robił następnego!

Susan zaczerwieniła się, słysząc te brutalne określenia, ale nie przerywała mężowi.

- Same chłopa!... Kiedy się urodziłem, mama myślała, że to już koniec. Ale zjawiła się jeszcze Annie. Mała Annie. - Głos Daniela złagodniał. - Ależ ona była śliczna!... Od samego początku. Tylko mama nie zdążyła się o tym przekonać... - Odetchnął z wysiłkiem. - W domu nie było nikogo oprócz mnie, kiedy zaczęła krwawić. Starłem się jej pomóc, ale nic nie mogłem zrobić... - Przełknął z trudem ślinę. - Obiecałem mamie, że będę dbał o Annie - dodał szybko i odchrząknął.

Po śmierci mamy ojciec robił się coraz gorszy. Kiedy wybuchła wojna, większość moich braci uciekła do wojska. Któregoś dnia wróciłem do domu i widzę, że ojciec trzęsie naszą Annie, a ona zanosi się od płaczu! Zacząłem na niego krzyczeć, kopnąłem go. Potem nigdy już jej nie zostawiałem z nim. Zabierałem ją wszędzie ze sobą. Minął może miesiąc... Ojciec wziął nas do miasta i kazał na siebie czekać. Nigdy po nas nie wrócił.

Daniel spuścił głowę.

- To było w Bentonburgu. Przez jakiś czas mieszkaliśmy z Annie w burdelu. Córka jednej z tych kobiet ukrywała nas, ale kiedy się wszystko wydało, musieliśmy i stamtąd odejść. Kiedyś wieczorem poszedłem szukać czegoś do jedzenia. Wsadziłem Annie do

koszyka i schowałem w krzakach za miastem. Byłem pewien, że zdążę wrócić...

Susan ledwie mogła znieść ból brzmiący w głosie Daniela. Pozwoliła mu jednak mówić dalej. Niech wszystko z siebie wyrzuci - tak samo jak ona, gdy dopomógł jej uwolnić się od poczucia winy!...

- Jakieś małżeństwo ją tam znalazło. Zabrali Annie ze sobą, bo myśleli, że to podrzutek. Kiedy odkryłem, co się z nią stało, pomyślałem, że... że tak będzie dla niej lepiej... Niech ją zatrzymają. Była jeszcze taka mała... taka malutka... - Zacisnął kurczowo ręce. Zbielałe kostki połyskiwały w blasku ognia. - Dwa dni później znalazłem ją wieczorem, strasznie pobita, na ulicy. Pastwili się nad Annie, a potem wyrzucili ją, żeby umarła...

Susan omal nie krzyknęła z przerażenia. Jak Daniel mógł dusić to w sobie tak długo?... Jak zdołał znieść rozpacz i poczucie winy, które okaleczyły jego młodziutką duszę?... Przecież sam był wówczas małym dzieckiem!

Objęła męża w pasie ramionami i przytuliła policzek do jego piersi. Odpowiedział jej uściskiem, ale był nadal straszliwie spięty. Nigdy nie przypuszczała, że Daniel dźwiga takie brzemie... po dziś dzień.

- Annie ufała mi. Kochała mnie. A ja zawiodłem ją, tak samo jak mamę!

- To nie była twoja wina - szepnęła Susan. Uniosła głowę. - Słyszysz, Danielu? To nie z twojej winy umarła twoja siostrzyczka!... Tak samo jak moja mama nie zginęła przeze mnie. Sam mi to wytłumaczyłeś!... Nie ciąży nad tobą żadna klątwa, nie jesteś potępiony ani nic podobnego!... To nie twoja miłość zabiła twą mamę i siostrzyczkę! - Daniel chciał się cofnąć, ale go nie puszczała. - Mnie również twoja miłość nie zabije!

Odwrocił głowę, ale zmusiła go, by na nią spojrzął.

- Kocham cię, Danielu - stwierdziła stanowczo, z naciskiem. - Będę cię kochała do końca życia. Długiego, szczęśliwego życia!

28

Ciało Daniela było nadal sprężone, nieruchome. Na policzku zaczął mu drgać mięsień.

Susan cofnęła się o krok.

- Uwierz mi, Danielu! - Bez wahania, niepokoju czy lęku odpięła górny guzik swego kostiumu. - Kocham cię.

Po sekundzie wzięła się do drugiego guzika. Był już widoczny spory klin kremowej, miękkiej skóry.

Crocker przełknął ślinę.

- Susan, czy ty nie widzisz...

- Kocham cię!

Następny guzik wysunął się z dziurki. Daniel wpatrywał się w żonę z osłupieniem. Przywykł do tego, że to on nadawał tempo, to on wodził na pokuszenie... Nawet mu nie przyszło do głowy, że role mogą się odwrócić!... Na samą myśl o tym, że własna żona stara się go uwieść, rozgorzał w nim ogień pożądania.

- Susan!... - jęknął, nie mogąc wykrztusić nic więcej.

Każdy cal jej odsłoniętego ciała był dowodem jej miłości, jej zaufania do niego. Wkrótce żakiet został rozpięty i ukazała się bielizna. Delikatna batystowa tkanina ukrywała mocne fiszbiny gorsetu. Widać było wyraźnie, jak gorset opina talię Susan i podnosi do góry jej piersi, osłonięte tylko koroneczkami stanika.

Susan zsunęła ramiączka, odkrywając ramiona i barki. Stała bez ruchu, z dumnie uniesioną głową. Oczy jej lśniły zielenią i złotem.

- Nigdy cię nie opuszczę, Danielu. Nigdy! - Stanik wyslizgnął się z jej palców i spadł na podłogę.

Z wyrazu twarzy męża poznała, że jest pewny, iż na tym poprzestanie. Że nie odważy się na nic więcej. Rozbierała się jednak dalej. Zręcznymi paluszkami zaczęła rozpinąć osłonę gorsetu. Widziała, jak z każdym odpiętym perłowym guziczkiem coraz bardziej oddala się dawny Daniel - zrozpaczzone dziecko, a jego miejsce zajmuje ten drugi - dojrzały mężczyzna.

Miękka, batystowa szmatka spadła na podłogę. Kiedy Daniel wpatrywał się w jej pełne piersi, Susan przebiegi dreszcz niepokoju i omal nie straciła odwagi. Szybko jednak strach ją opuścił; pozostała tylko nieodparta chęć zaznania miłości w ramionach męża. Daniel pragnął jej, a ona jego. Ich miłość będzie piękna, podniecająca, głęboka! Susan była pewna, że mąż okaże się delikatny; ona sama pragnęła zaskoczyć go siłą swej namiętności.

Kręcąc biodrami, pozbyła się spódnicy i halek. Odpięła jedną po drugiej stalowe haftki gorsetu i pozostała jedynie w nieco wymiętej koszulce.

- Dzisiaj się nie wymigasz od małżeńskich obowiązków, Danielu!

Gdy usłyszał te słowa, wystąpiły mu na twarz płomienie. Susan była delikatna i piękna... Któż by pomyślał, że taka z niej kusicielka?... Adam z raję musiał czuć się podobnie jak on... Ale gdyby Ewa patrzyła na niego z taką niecierpliwością, z taką miłością, jaka błyszczała teraz w oczach Susan, chwyciłby jabłko bez wahania!...

- Dzięki tobie poznałam uczucia, o których nawet nie marzyłam!...

Poczuł nagły skurcz w dole brzucha, gdy żona zaczęła się bawić wstążeczką przewleczoną przez koronkową obszywkę dekoltu. Nie mógł oderwać oczu od wąskiego paska atłasu, przesuwanego się tak wolno, tak dręcząco wolno... Miał wrażenie, że to oczekiwanie go zabije.

Czy Susan nie widzi, co się z nim dzieje?... Nie pojmuje, że zaraz straci panowanie nad sobą?!

- Powiedz, że mnie kochasz, Danielu! - Pociągnęła wstążeczkę mocniej - naprężyła się, koszulka opadła niżej. Cał po cał dekolt się powiększał, odsłaniając sprężyste wzgórki piersi. - Któregoś dnia na pewno mi to powiesz - szepnęła Susan. - Już wkrótce...

Z gardła Daniela wyrwał się cichy jęk. Nie zniesie tego dłużej!... Nie musiała go już o niczym przekonywać - ani teraz, ani nigdy więcej!

Gdyby to była jakaś inna kobieta, porwałby ją w ramiona i popędził do sypialni. Zaspokoiłby swe pożądanie gwałtownie i pospiesznie. Ale teraz nie mógł tak postąpić - nie z nią!

- Przestań, Susan! Nie musisz tego robić!... - Niechże przestanie, w tej chwili! Póki jeszcze zachował resztki cierpliwości...

Susan tylko się uśmiechnęła. Napięcie sięgało zenitu.

- Właśnie że muszę!

Daniel przestał udawać, że spogląda tylko na jej twarz. Wpatrywał się w piersi żony, które pod tym spojrzeniem ciążyły coraz bardziej, obolałe z tęsknoty za jego dotykiem. Wzrok Daniela wzniecał pożar w ciele i duszy Susan. Pragnęła go. Pożądała go. Musiała go mieć - jeszcze tej nocy!

Ręce jej drżały, gdy położyła je na piersi męża. Su-

nęły po gładkim materiale koszuli... owinęły się wokół jego szyi... Stanąwszy na palcach, uniosła głowę tak, że jej usta znalazły się tuż przy ustach Daniela. Czuła na policzku jego nierówny oddech.

Kiedy przyciągnął ją do siebie, zamknęła oczy.

- Proszę cię, Danielu! - Przytuliła wargi do jego warg. Całowała go na wszystkie sposoby, jakich ją nauczył. Piła z jego ust, smakowała je, drażniła zębami. Z każdym pocałunkiem czuła, jak rośnie w niej i rozkwita pożądanie. Ciało jej prężyło się ku ukochanemu, aż wreszcie wsparła się na nim całym ciężarem. Biodra ich stopiły się ze sobą i mogła wyczuć, jak bardzo Daniel jest pobudzony.

Jęcząc z bolesnej niemal rozkoszy, Susan odsunęła się nieco. Tym razem nie z obawy, nie w popłochu - była to iście kobieca, drażniąca gra miłosna.

Z uśmiechem cofała się w stronę sypialni; jej skóra była gorąca, twarz jej pałała. Wiedziała doskonale, czemu Daniel nie zdoła się oprzeć! Uniosła ręce i zaczęła rozplatać włosy, w pełni świadoma tego, jak wyzywająco prężą się jej piersi.

- Kochaj mnie, Danielu... - szepnęła gardłowym głosem. - Proszę...

Nie tracąc czasu na sprawdzanie reakcji męża, odwróciła się, pozwalając mu dojrzeć wypukłość rozkosznego tyłeczka w rozcięciu majtek. Daniel jęknął głośno, gdy koszulka spadła na podłogę, a Susan zniknęła za drzwiami.

Nie potrafił się jej oprzeć. Wiedział dobrze - Boże, zmiłuj się! - że w każdej chwili może znów ją opuścić odwaga, a nie mógł się już cofnąć.

Na gładkich sosnowych deskach podłogi, w połowie drogi do sypialni, leżało batystowe desu.

Daniel przystanął. Serce waliło mu na alarm, w lę-dźwiach czuł szaleńcze pulsowanie. Otarł nerwowo usta ręką i wszedł do sypialni.

Lampa świeciła bardzo słabo. Susan leżała na łóż-ku, otulona po szyję. Daniel spostrzegł, że brawura częściowo ją opuściła, ale nadal widział w jej oczach nieskrywane pożą-danie.

Odchrząknął; nie był w stanie odwrócić się i odejść. Musiał zobaczyć Susan bez żadnych osłonek. Nago. Sama myśl o tym podnieciła go aż do bólu.

- Proszę... - szepnęła.

- O co?

- Kochaj mnie!...

Mógł jedynie skinąć głową.

- Kiedy? - spytała po raz nie wiedzieć który.

- Niedługo.

- Kiedy?

Wyciągnął koszulę ze spodni, starając się zapano-wać nad trawiącym go pożą-daniem.

- Teraz. Już...

Jak tamtej nocy, kiedy się przy niej mył, Susan przyglądała się Danielowi ścią-gającemu koszulę. Roz-bierał się znacznie szybciej niż ona przed chwilą w ba-wialni. Zdarł z siebie koszulę i rzucił ją na podłogę. W mdłym świetle lampy bandaż odcinał się od jego skóry Jaskrawą bielą. Daniel zaczął rozpinać spodnie.

- Essie mówiła, że mężczyzna...

- Psiakrew, nie chcę słuchać, co ci Essie nagadała! - wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

Susan zachichotała nerwowo.

- Czemu?

- Bo ma za długi język!

Przy dźwiękach jej aksamitnego śmiechu Daniel

zaczął mocować się z guzikami. Jak długo zdoła to wytrzymać?... Ilekroć spojrział na żonę, namiętność w nim kipiała. Musi jednak hamować się, póki nie doprowadzi Susan do takiego samego uniesienia...

Z niemal bolesnym zażenowaniem zrzucił spodnie na podłogę, podszedł do łóżka i przysiadł na skraju. Kiedy chciał przykręcić knot lampy, Susan powstrzymała go, dotykając leciutko palcami jego ramienia. Kołdra osunęła się i Daniel poczuł na łopatkach musnięcie jej piersi. Usiłował skupić uwagę na czymkolwiek prócz krzyku własnego zgłodniałego ciała.

- Nie gaś! - szepnęła mu do ucha.

- Nie chciałbym cię przestraszyć...

Poczuł, że znieruchomiała, że przebiegł ją dreszcz. Strachu czy niecierpliwości?... - zastanawiał się. Susan musnęła go wargami i rzekła:

- Ciebie się nigdy nie zleknię!

Daniel wstał, odsunął się o krok od łóżka i z wahaniami rozpiął kalesony. Z tyłu doleciał go szelest pościeli: żona mościła się na poduszkach. Czuł jednak na sobie jej wzrok; zupełnie jakby gorący palec sunął mu po grzbiecie.

Wełniane kalesony opadły na podłogę. Daniel stał plecami do żony, modląc się, by nie doznała szoku, kiedy się do niej odwróci. Był gotów do miłości - i to jak!

- Danielu?...

- Co?

- Chodź do łóżka!

Zastanawiał się, co teraz robić... Odwrócić się i niech sobie patrzy?... Czy przysiąc na materacu w nadziei, że zdoła przykryć się kołdrą, nim żona ujrzy zbyt wiele?...

- Danielu!...

Usiadł na brzegu łóżka. Sięgnął na oślep do tyłu po kołdrę. Natrafił jednak na nagie ramię: delikatne, miękkie, smukłe... Zaskoczony odwrócił się. Jak się tego obawiał, oczy Susan natychmiast powędrowały w dół.

- Och!... - Był to cichutki szept, ale jasno wyrażał jej uczucia.

Od razu podniosła oczy na twarz męża.

- Może lepiej odłożymy to na później, Susan?...

Przytknęła mu palce do ust.

- Ciiiicho. - Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie tak, że prawie leżał na niej. Jęknął w duchu, kiedy ich piersi przylgnęły do siebie, a kolano Susan dotknęło jego uda.

- Kochaj mnie, Danielu...

- Naprawdę tego chcesz?...

- Tak! O, tak!

Był to niecierpliwy pomruk pożądania. Daniel poczuł, że umrze, jeśli jej teraz nie dotknie! Pochylił się i zachłannie ucałował Susan. Pocałunek miał smak brzoskwiń i namiętności. Kiedy język Daniela zanurzył się w aksamitnej głębi jej ust, Susan chwyciła męża za ramiona, pragnąc przyciągnąć go jeszcze bliżej, stopić się z nim.

Daniel podniósł głowę; był całkiem bez tchu. Niewinna pieśczoła jej palców była dla niego wyrafinowaną torturą.

- Danielu?...

- Co?...

- Dotknij mnie!

Sunął kciukiem po jej policzku.

- Właśnie cię dotykam.

Potrząsnęła głową.

- Nie twarzy!

Na te słowa Danielowi krew zagotowała się w żyłach warem. Czuł, że cały płonie i obawiał się sparzyć ukochaną swoim dotknięciem. Niebawem jednak drobne palce ujęły jego rękę w przegubie i pociągnęły ją w dół. Poczuł pod dłonią pierś żony. Susan przymknęła oczy i opadła na poduszki z wyraźnym zadowoleniem.

- Essie była...

Daniel zamknął jej usta pocałunkiem. Był o krok od szaleństwa!... Dłużej tego nie wytrzyma... Chcąc dowieść własnej odwagi, Susan bezwiednie doprowadziła go do stanu wrzenia!... A jednak musi się hamować, upewnić się, że i ona jest już gotowa...

Susan jęknęła, jej biodra wyprężyły się. Powoli, ostrożnie Daniel pieścił ją dłońmi i ustami; nie zważając na własny ból, doprowadzał ją do stanu najwyższego podniecenia. Susan musi wspominać tę noc z przyjemnością, nie ze strachem!

- Co dalej, Danielu? Co mam teraz robić?

Jej ciepły głos i dziecięca naiwność pokonały go ze szczętem. Objęła jego biodra, oparła dłoń we wgłębieniu jego pleców. Aż zacisnął szczęki, by nie zdradzić, jak przejmującą rozkosz sprawiła mu w tej chwili.

Ujął jej twarz w obie dłonie.

- Ufasz mi?

Skinęła głową.

- Spróbuję się powstrzymać, póki...

- Póki co?

Choć czuł się jak na torturach, w tym momencie musiał się uśmiechnąć.

- Widać Essie nie powiedziała ci jednak *wszystkiego!*

Ostrożnie osunął się między uda Susan. Była taka drobniutka, taka krucha... Przeląkł się, że jest dla niej

zbyt wielki... Delikatnie trącał kolanami jej nogi, aż wreszcie rozchyliła je.

Nie był w stanie wypowiedzieć słów miłości, które cisnęły mu się na usta. Schylił tylko głowę i całował Susan w oczy, by zamknęła je i nie patrzyła na to, co się będzie działo.

Sunał delikatnie dłońią po ciele żony, chcąc przygotować ją do miłosnego aktu. Potem ostrożnie zanurzył się w niej - niezbyt głęboko. Susan szarpnęła się, a on natychmiast się wycofał.

- To nic - szepnął. - Leż spokojnie. Jesteś strasznie spięta.

Objęła go tak mocno, że jej paznokcie wbiły mu się w skórę. Daniel zanurzył się ponownie, nieco głębiej, w jej gorącym ciele. Tym razem nie wycofał się, by ukochana mogła przywyknąć do jego obecności. Potem jednym płynnym ruchem wtargnął głęboko w żywy aksamit i zniszczył dzielącą ich zaporę.

Susan obejmowała go kurczowo, wbijając paznokcie w plecy i kryjąc twarz we wgłębieniu szyi męża. Czuł na skórze dotyk jej wilgotnych, śliskich zębów.

- Już po wszystkim?... Nie będzie więcej bolało?

Daniel skinął głową, starając się opanować, nie myśleć o zdławionym, pełnym bólu głosie Susan. I nagle poczuł, że usta przylegające do jego ramienia rozciągają się w uśmiechu.

- Myślałam, że będzie gorzej!

Słowa te napełniły go dumą i uwielbieniem.

- Potem będzie znacznie lepiej - zapewnił ją. Miał nadzieję, że zdoła powściągnąć swą niecierpliwość, że da jej rozkosz, na jaką zasługiwała.

- Naprawdę?

Odsunął się lekko i spojrzał w jej szmaragdowe oczy.

- Naprawdę.

- To na co czekamy?

Podniesiony na duchu jej bezgranicznym zaufaniem, wprowadził ich oboje w odwieczny rytm miłości. Bez pośpiechu, cierpliwie uczył Susan namiętności i rozkoszy. Marzył o tym od chwili, gdy ujrzał jej fotografię... gdy pocałował ją w Akademii Świętego Franciszka... gdy wziął z nią ślub...

Zmierzali wspólnie do tego samego celu. Ich usta łączyły się i odrywały od siebie. W grze miłosnej to się szukali, to wymykali sobie nawzajem. Wreszcie, gdy Daniel nie był już w stanie powstrzymać się, Susan jęknęła. Jej ciało zaczęło drzeć, zacisnęło się spazmatycznie wokół ukochanego... i nagle cały świat eksplodował.

Susan krzyknęła. W jej głosie brzmiało najwyższe uniesienie. Ogarnięci namiętnością prężyli się i drżeli, aż wreszcie spadli w otchłań cudownego zapomnienia.

Mijały długie, niekończące się minuty... Wreszcie Daniel zdołał zebrać myśli i unieść się na rękach. Odgarnął z twarzy żony wilgotne włosy. W pierwszej chwili pomyślał, że Susan śpi; uśmiechnęła się jednak i rzęsy jej zatrzepotały.

- Danielu?...

- Co?...

Ujrzał w jej twarzy bezbrzeżną miłość, przed którą uciekał od tylu lat.

- Kocham cię!

Timmy Beeb wracał kłusem do przypominającego rozwartą paszczę wejścia do pieczary, w której spędził z Dooleyami poprzednią noc. Jego koń ciężko dyszał po sforsowaniu stromego górskiego zbocza. Spoglądając w dół, Beeb mógł dostrzec od czasu do czasu błysk słońca odbitego od metalu. Upłynęła już prawie doba, a cholerne pinkertony nie zaprzestały pościgu!

Rzuciwszy zniecierpliwione spojrzenie na kręcących się po okolicy wrogów, którzy przyczepili się do nich jak kleszcze, Timmy przeniósł wzrok na swych towarzyszy. Kilku krewniakom Granta udało się wymknąć; uciekali teraz wraz z nimi w góry. Przepawszy się zaledwie godzinę czy dwie, Beeb poszedł za radą głosów rozbrzmiewających w jego mózgu: pod osłoną ciemności powrócił na miejsce zasadzki chcąc się przekonać, czy Crocker nadal kieruje akcją. Okazało się, że Daniel nie bierze w niej już udziału. Dowiedziawszy się o tym, Timmy postanowił udać się natychmiast w dalszą drogę.

- Wstawać! Ruszamy!

Beeb zwrócił uwagę na niezborne ruchy Granta, który zbliżał się do swego konia z do połowy już opróżnioną butelką w rękę. Popijał whisky, chcąc uśmierzyć ból nie tylko w brzuchu, ale w całym ciele. Bez wątplenia brakowało mu codziennej porcji narkotyku. Za kilka godzin zzielenieje i będzie się

trząsał jak galareta. Beeb prychnął z pogardą. Nie zamierzał informować Granta, że ma w jukach butelczkę morfiny odebraną Gibby'emu.

Dooleyowie jeden po drugim dosiadali koni. Wysoki, smukły młokos okazał się mniej potulny niż reszta. Spojrzał na Timmy'ego z jawnym buntem w oczach:

- *Po co ten pośpiech?*

W odpowiedzi Beeb wyrwał rewolwer zza pasa, wycelował w nasadę nosa młodzieńca i wypalił.

- Są jeszcze jakieś pytania?

Trzej pozostali Dooleyowie spojrzeli na niego z przerażeniem. Timmy roześmiał się głośno, widząc ich zmienione gęby. Stado bezmózgich królików! Nie mają nawet tyle sprytu, żeby zwiać! Ani się domyślają, że niebawem trafią wszyscy do Bozi. Nie zamierzał wlec ich ze sobą do przygotowanej kryjówki. Nie miał też ochoty zostawiać niepotrzebnych świadków. Pozwoli Dooleyom pożyć jeszcze parę godzin, a potem rzuci ich na pożarcie pinkertonom i w zamieszaniu sam da nogę. Bez towarzystwa.

- Dokąd nas prowadzisz? - spytał Grant ostrożnie, by nie zdenerwować bardzo dziś drażliwego Beeba. Miał w stosunku do niego własne plany.

- Z powrotem do Ashton.

Dooleyowi zabłyśły oczy.

- Pomożesz nam odbić Floyda?

Usta Beeba skrzywiły się z niesmakiem.

- Floyda?! To już nieboszczyk. Zrozum wreszcie: *nieboszczyk!*

Grant wpatrywał się w niego z osłupieniem. W przeciągu jednej doby jego rodzina przestała istnieć. Już jej nie było!... Grant z radością przypisałby całą winę Crockerowi. Jakże chętnie zrzuciłby wszystko na tego pin-

kertona!... Wiedział jednak, że zawinił przede wszystkim Beeb. To on namówił ich na ten skok. Grant wyrzucał sobie teraz, że w ogóle rozmawiał z Timmym, gdy ten odszukał jego i resztę Dooleyów w knajpie w Barryville. Beeb kusił ich jak wąż: ma niezawodny plan! Za jednym zamachem odbiją Floyda i capną Crockera. Wszystko miało pójść jak po maśle...

- Jak zginął Floyd?

Beeb roześmiał się beztrzesko, doprowadzając tym Granta do szewskiej pasji.

- Nie mam pojęcia. Widziałem dziś rano, jak wynosili go z wagonu. Pewnie był już trupem, nim się stamtąd zabraliśmy. Założę się, że Crocker palnął mu w łeb.

- Ręce Granta zacisnęły się w pięści. Ponieważ nadal milczał, Beeb mówił dalej szyderczym tonem: - Nie rozumiesz, czy co? Crocker jest odpowiedzialny za wszystko, co się stało! To ten bydlak tak was urządził!

Grant miał co do tego odmienne zdanie, ale w tej chwili nie należało się sprzeciwiać. Z Crockerem koniec: Beeb już tego dopilnuje!... A potem Grant porachuje się z Beebem.

- Jedziemy! - wykrzyknął Timmy.

- Dokąd?

- Czyżbyś już zapomniał, że wiem o Crockerze wszystko? Znam jego przyzwyczajenia, obawy i słabości! Wiem nawet, gdzie on teraz jest!

Sen opuścił nagle Daniela. Otworzył oczy. Był dziwnie spięty, choć nie wiedział, co go zaniepokoiło. Czekał na jakieś dalsze sygnały, wsłuchując się w ciszę poranka. Nie usłyszawszy nic szczególnego, wyteżył całą siłę woli, by rozprężyć mięśnie i uspokoić gwałtowne bicie serca.

Stopniowo ciało podporządkowało się jego woli. Z mózgiem poszło mu trudniej. A jednak nic się nie zdarzyło. Zupełnie nic. Ot, atak nieuzasadnionej paniki! Któż mógłby się temu dziwić po wydarzeniach ostatnich dni?...

Uspokoiwszy się, że nie ma powodu do obaw, Daniel ziewnął, przeciągnął się i przewrócił na bok. Dotknął miękkiej, kobiecej skóry... Susan!

Na usta wypłynął mu uśmiech. Jakaż ona piękna... gorąca... namiętna!...

Próbował znowu zasnąć, ale bez powodzenia. Na samym dnie mózgu pozostał drażniący okruczek niepokoju. Postanowił więc wyjść na dwór: zajrzy do konia, upewni się, czy wszystko w porządku. A potem wróci do Susan.

Po sekundzie wahania wstał z łóżka i przegarnął palcami włosy. Spojrzał z czułością na żonę i pomyślał z zadowoleniem o wszystkich następnych latach, kiedy co rano będzie mógł radować się jej widokiem. Susan nauczyła go śmiać się, kochać... i marzyć.

Wciągnął na siebie bieliznę, skarpety i koszulę, pozapinał całą masę guzików; potem wskoczył w spodnie i w buty. Po cichutku wyszedł z pokoju. Z przyzwyczajenia zabrał strzelbę i otworzył drzwi. Wyszedłszy przed dom, rozejrzał się urzeczonym wzrokiem po *własnej* ziemi.

W stronę zębatych górskich szczytów pędziły ciężkie chmury. Ich wzdęte, wełniste cielska zapowiadały śnieg i ocieplenie. Niebawem nadejdzie wiosna. Susan z pewnością będzie zachwycona. Stworzą sobie we dwoje taki dom, jakiego nikt jeszcze nie miał!... Dom, jakiego sam nie zaznał w dzieciństwie, o jakim nawet nie marzył... Będą tu szczęśliwi i...

Daniel wyczuł niebezpieczeństwo, zanim jeszcze cokolwiek usłyszał. Uniósł nagle głowę. Postacie *czterech* jeźdźców odcinały się wyraźnie od skalnego zbocza.

Czując w sercu gniew i gorycz, odwrócił się na pięcie i wpadł do domu. Biegając przez kuchnię i do sypialni, słyszał odległy, ale coraz wyraźniejszy tętent końskich kopyt. Tamci widać dostrzegli go na ganku.

- Susan!

Siedziała już na łożku. Ogniste włosy rozsypały się w nieładzie po ramionach.

- Czy coś się stało?

- Dooleyowie - wykrztusił. - Ubieraj się! Nie możesz tu zostać. Wsadzę cię na konia i wracaj czym prędzej do sierocińca.

- Nie, Danielu!

- Słuchaj no, Susan! - Rzucił jej ubranie na kolana. Ponieważ zostawił peacemakera w kuchni, sięgnął do jednej z szuflad komody i spod sterty koszul wyciągnął drugi rewolwer. - Nie pozwolę, żeby ci się coś stało! Musisz uciekać w bezpieczne miejsce.

- Tylko z tobą!

- Zrozum wreszcie: jak nas zobaczą razem, pojedą za nami. Wstawaj!

Spojrzała na niego bez słowa, zdając sobie sprawę z własnej bezsilności. Potem zaczęła niedbale wrzucać na siebie ubranie. Włożyła spódnicę i żakiet na gołe ciało, zapięła kostium. Gdy tylko się ubrała, Daniel pociągnął ją do kuchni. Podszedłszy do drzwi, zorientował się, że na ucieczkę już jest za późno. Czterej jeźdźcy byli zaledwie o pięćdziesiąt stóp od domu. Susan nie zdoła niepostrzeżenie przemknąć się do stajni.

- Szybko! Schowaj się do piwnicy i nie wychodź stamtąd, póki po ciebie nie przyjdę! Rozumiesz?

Daniel odsunął stół. Z twarzy Susan odpłynęła cała krew. Nie zachwiało to jednak jego postanowieniem. Przewidywał, że odżyją w niej dawne wspomnienia, ale nie widział innego wyjścia.

- Nie, Danielu! Nie! Zostanę z tobą! Jeśli dojdzie do walki, będziemy bronić się razem!

- Susan! Rób, co ci mówię! - Otworzył klapę i pociągnął opierającą się żonę do otworu w podłodze. Przemocą sprowadził ją po schodach do piwnicy. Krzyczała, że nie chce! Nie zejdzie!... Wtedy ujął jej twarz w obie ręce i ucałował ją z całą tkliwością i z miłością, które dzięki niej nauczył się okazywać w ciągu ostatnich kilku tygodni. - Proszę cię, Susan - zaklinał ją. - Zrób to, na czym mi tak zależy!

Gdy wtykał jej rewolwer do ręki, dotarło do niej jego bezgłośnie przesłanie. Potem zapędził ją w najdalszy kąt ciemnej piwnicy i zatrzaskał nad jej głową klapę. Susan wzdrygnęła się, słysząc szuranie stołu przesuwanego tak, by maskował drzwi w podłodze. Wbiegła po schodkach na samą górę i zaczęła walić w deski.

- Danielu!

Nie odpowiedział.

Niech to diabli!... Jak on mógł zrobić jej coś takiego?! Jak mógł! Przecież to także *jej* dom! A ona potrafi strzelać! Potrafi! Może się obronić przed Dooleymi równie dobrze, jak Daniel!... Nie będzie tu tkwiła bezradna i przerażona jak kiedyś, gdy zamknęła ją w piwnicy matka!... Tym razem Susan postanowiła .

Waliła w klapę, zdzierając sobie skórę z rąk, i wrzeszczała do męża, żeby ją wypuścił. Słyszała, jak uchylił okno na górze i trzasnął kolbą w deski, którymi było zabite od zewnątrz. Docierały do niej także stłumione krzyki i przekleństwa Dooleyów, ale

odległość była zbyt duża, by mogła rozumieć słowa. Nad jej głową rozlegały się pojedyncze wystrzały. Serce Susan waliło ogłuszająco; zdrętwiała na całym ciele. Musi się stąd wydostać! Musi! Nie pozwoli, by Daniel osłaniał ją w ten sposób! Musi mu pomóc!

Wyteżając wszystkie siły, jakie jej jeszcze pozostały, napierała ramieniem na klapę, aż wreszcie ta uniosła się odrobinę. Susan zorientowała się, że równocześnie przesunął się nieco stojący na niej stół.

Raz po raz waliła w klapę; ręce miała posiniaczone i pokrwawione. Przy każdym sprawiającym jej tyle bólu szarpnięciu drzwi w podłodze otwierały się nieco szerzej, a stół odsuwał. Wreszcie przesunął się tak, że mogła uchylić klapę i zajrzeć do kuchni. Na koniec zdołała przecisnąć się przez szparę. Zakłęta, gdy kłapa opadła, przycinając jej spódnicę. Sięgnęła do tyłu i szarpnęła, nie zważając na trzask rozdieranego materiału.

Rozejrzała się dokoła, szukając wzrokiem ukochanego. Zauważyła, że tylne drzwi są otwarte. Daniel kłęzczał na dziedzińcu za śnieżną zaspą, strzelając do napastników ukrytych w krzakach wokół domu. Jeden z nich leżał już skurczony na zamarznętym śniegu. Dwaj inni strzelali do Daniela znad pokrywy studni.

Schyliwszy głowę, Daniel puścił się pędem w stronę stajni i przykucnął za beczką na wodę. Susan pojęła, że stara się on odciągnąć napastników od domu, by nie usłyszeli jej walenia w podłogę.

Przeklinając idiotyczną rycerskość męża i jego ośli upór, Susan ścisnęła mocniej w garści rewolwer. Jego ciężar wydał jej się dziwnie znajomy. Umiała się posłużyć tą bronią: odwieść kurek i nacisnąć spust. Przecież już raz zabiła człowieka w ten sposób! Te-

raz gotowa była znów to uczynić, by pomóc mężowi, jak kiedyś usiłowała pomóc matce.

Przystanawszy tylko na sekundę, by upewnić się, że broń jest nabita, Susan wybiegła na dwór. Zdążyła dostrzec, jak Timmy Beeb wyskakuje zza krzaka i pędzi ku stajni, mierząc z rewolweru prosto w głowę Daniela.

- Nie! - wrzasnęła.

Beeb spojrział w jej kierunku, odwracając na ułamek sekundy oczy od swego celu. Susan wypaliła do niego z rewolweru, Beep szarpnął się. Kula ugodziła go w pierś, ale zdążył jeszcze pociągnąć za spust.

Kiedy pocisk przeszył jej ramię, Susan krzyknęła i upadła na wznak, uderzając głową o schody. Jej świadomość została zakłócona: miała wrażenie, że wszystko wokół niej kręci się w dziwnie zwolnionym tempie. Palce Susan rozluźniły się, wypadł z nich rewolwer. Słyszała, że ktoś ją woła - strasznym, pełnym najgłębszej rozpaczycy głosem. Odruchowo podniosła głowę i poczuła przeszywający ból w tym miejscu, gdzie uderzyła się o stopień. Jakby z niezmiernej dali widziała biegnącego ku niej Daniela.

Z jej gardła wydobył się cichy jęk. Jej ręce zaczęły grabić śnieg, ale nie czuła wcale zimna. Ból ogarnął ją bez reszty, zagłuszając wszelkie inne doznania. Nagle dostrzegła męża: pochylał się nad nią.

- Pocałuj... - poprosiła. Próbowała się uśmiechnąć, zapewnić go, że wszystko będzie dobrze.

Daniel przymknął oczy. Susan wydawało się, że widzi strużki wilgoci wypływające mu spod rzęs. Przycisnął usta do jej ust. Westchnęła i pomyślała: Jak ja go kocham!... Będę go kochała do końca życia...

I jakby otrzymała już wszystko, czego pragnęła, odplynęła w chłodny, przyjazny mrok.

Daniel czuł, że właśnie teraz, gdy trzyma Susan w objęciu, życie z niej wycieka. Nie mogąc w to uwierzyć, przygarnął mocniej bezwładne ciało, przytulił je do serca. Z jego gardła usiłowały wydobyć się jakieś słowa...

Zastrzelić to ścierwo!

Crocker uniósł raptownie głowę. Z niewielkiej odległości, jaka ich dzieliła, widział dokładnie, że Timmy Beeb wije się na ziemi, trzymając się za pierś, którą przestrzeliła mu Susan.

- Zabijcie go, do cholery! - wrzasnął znów Beeb. - Oko za oko! Nie słyszycie głosów?! Krzyczą, żeby wykończyć to diabelskie nasienie raz na zawsze!

Daniel dostrzegł dwóch innych napastników, przykucniętych za węglem stajni; był to Grant Dooley i jego kuzyn Nate.

Nate podniósł broń, ale - ku zaskoczeniu Crockera - Grant wytrącił mu ją z ręki.

- Niech sobie Beeb sam morduje wrogów! To on wymyślił cały ten kretyński plan! To przez niego zginęli Floyd i Marvin! To on z zimną krwią zastrzelił Barta!

W oddali rozległ się tętent kopyt i brzęk uprzęży. Nate zbladł.

- To pinkertony! Usłyszeli strzelaninę i już tu jadą! - Chwycił leżący na ziemi rewolwer i popędził do swego konia.

Beeb wpatrywał się w niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Gdzie cię niesie?!

Nate spojrział na niego z obrzydzeniem i niedowierzaniem.

- Zwiewam stąd, do cholery! Nie będę tu siedział jak szczur w norze i czekał, aż mnie capną! - Wsko-

czył na konia i pognał w stronę drzew, szukając tam ratunku.

Oczy Daniela zarejestrowały nagły ruch Beeba. Rzucił się w stronę rewolweru, który potoczył się po śniegu zbyt daleko. Daniel widział, jak jego wróg podnosi broń i odciąga kurek.

Huk wystrzału rozdarł ciszę. Beeb zachwiał się i runął twarzą w śnieg.

Ściskając w ręku dymiący rewolwer, Grant Dooley wpatrywał się przez chwilę w Crockera.

- Nie szło mi o ciebie - powiedział. - Kropnąłem go za Floyda. Za Marviną. I za Barta. - Podbiegł do swego konia i wskoczył na siodło.

Po całej tej strzelaninie wydawało się, że agenci Pinkertona zjawili się cicho jak duchy. Zasypany śniegiem głużyły kroki. Daniel przyglądał się z całkowitą obojętnością, jak Grant przemyka się obok skurczonego trupa Timmy'ego. Beeb nadal zaciskał rewolwer w martwej ręce; na twarzy zastygł mu śmiertelny grymas.

Przedstawiciele prawa zmierzali w kierunku Dooleyów. Daniel widział, jak błyskawicznie pojmano ich obu. Nie czuł absolutnie nic. Ani niesmaku, ani żalu, ani nawet wdzięczności do Granta, który ocalił mu życie. Myślał tylko o kobiecie, którą okrywał swym ciałem, trzymał w ramionach... O swojej żonie.

Nie pozwól jej umrzeć! - krzyczało w nim serce. *Dobry Boże, nie każ mi jeszcze raz patrzeć na śmierć ukochanej osoby i żyć dalej!...*

Zmarszczył brwi. Susan była taka zimna... taka przeraźliwie zimna...

Ostrożnie, z czułością wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Wszedł do sypialni, położył żonę na łóżku i otulił kołdrą. Ucałował w policzek, po-

spieszył do kuchni po wodę i resztę podartej halki, którą zostawiła wczoraj na stole. Potem ściągnął z Susan suknię i przemył jej ranę. Skóra żony była szara i zimna. Daniel starał się nie myśleć o tym, co pocnie, jeśli ona umrze. Tak jak mama. Jak Annie.

- Susan! Trzymaj się, proszę!... Nie odchodź! - zaklinał ją szeptem. Była taka drobna, taka krucha w jego ramionach. Jakże mogła wytrzymać ból i strach, na który ją naraził?... - Susan! Susan, słyszysz mnie? - Podniósł ją, przytulił do piersi i kołysał łagodnie. - Posłuchaj!... Chcę ci jeszcze tyle powiedzieć, tyle pokazać... - Zaczerpnął z trudem powietrza. - Tam, na zboczu, bije czyste źródło. W lecie woda jest w nim zimna i słodka, a naokoło pełno rzeżuchy... - Mówił z coraz większym trudem. - A za domem rośnie wielki dąb. Chciałem zawiesić huśtawkę na jego gałęzi...

Ręce Susan zwisały bezwładnie. A przecież tak niedawno jeszcze dotykały go, obejmowały...

- Nigdy ci nie powiedziałem, jak bardzo cię kocham, prawda?... - szeptał. - Myślałem, że jak tego nie powiem, będziesz... bezpieczna. Nic ci się nie stanie.

Czul w gardle rozżarzony węgiel bólu, kiedy wdychał zapach ciała żony i wspominał, jaka była radosna.

Czas upływał, ale Daniel nie zdawał sobie z tego sprawy. W pewnej chwili, znacznie później, do pokoju wszedł Kutter.

- Wezwałem doktora.

Daniel nie słyszał go. Nadał kołysał w ramionach Susan, bezładnie szepcząc jej do ucha jakieś słowa.

Kutter podszedł bliżej i położył mu rękę na ramieniu.

- Danielu!

Zaskoczony Crocker spojrzał na niego.

- Doktor już tu jest - powtórzył Jedidiah. Jego pal-

ce zacisnęły się na ramieniu Daniela. - Ona wyzdrowieje, synu! Obaj przecież wiemy, że główny bohater albo bohaterka zawsze obrywa w ramię... i zawsze się z tego wyliże! - Na ustach Kuttera ukazał się blady uśmiech; usiłował dodać nim przyjacielowi otuchy.

Daniel położył żonę z powrotem na poduszkach. Była taka blada, że nawet ognisty kolor jej włosów wydawał się przygaszony, jakby i one przeczuwały, co ma nastąpić... Złoty medalion Annie połyskiwał słabo na piersi Susan.

Daniel odgarnął jej z twarzy fale bujnych włosów. Nie poruszyła się, nie zareagowała. Pochylił się i przycisnął usta do jej ucha.

- Kocham cię - szepnął. Ucałował ją leciutko i ponaglany przez Kuttera wstał i wyszedł z sypialni.

Doktor siedział u chorej bardzo długo.

Daniel czekał, nie ośmielając się nawet żywić nadziei.

Wreszcie starszy pan wynurzył się z sypialni i obdarzył Crockera uspokajającym uśmiechem.

- Za dzień czy dwa żona będzie zdrowa jak rybka, przekona się pan! Kula na szczęście przeszła na wyłot, rana czysta, o ile mogłem zobaczyć. Proszę tylko trzymać chorą w ciepłe i pozwolić jej wypocząć.

Daniel poczuł bezmierną ulgę. Uśmiechnął się szeroko.

- Dzięki, doktorze! Dzięki!

Ale do rana Susan nie odzyskała przytomności, a kiedy zapadł zmierzch, zaczęła bredzić w gorączce.

W ciągu dnia zjawiła się Essie, nieco później Donovan. Próbowali namówić Daniela, by coś zjadł, żeby się przespał... Nie chciał jednak odejść od łóżka żony ani na chwilę.

Następnego ranka znowu wezwano doktora. Kie-

dy tym razem wyszedł z pokoju Susan, miał posępną minę.

- Stan chorej skomplikował się wskutek urazu głowy - oznajmił z ociąganiem. - W dodatku chyba się wdała infekcja. Podejrzewam, że odprysk kuli utkwił w piersi. - Twarz doktora spochmurniała jeszcze bardziej. - Jedyne wyjściem byłaby operacja, ale jeśli mózg uległ uszkodzeniu (a to niewykluczone), pańska żona nie zniesie szoku, jakim jest dla organizmu zabieg chirurgiczny.

Daniel prawie nie zauważył, że Essie zbladła, a Donovan schwycił ją mocno za rękę. Zastygł w bezruchu. W milczeniu. Esther odwróciła się do niego, Powiedziała coś. Crocker słyszał jej głos, ale słowa nie docierały do jego mózgu. Miał przed oczami obraz maleństwa ze strzaskaną szczęką, ze skatowanym ciątkiem...

- Danielu! - Essie potrząsnęła go za ramię. - Ty musisz podjąć decyzję!

Przełknął z trudem ślinę. W gardle go dławiło.

Pomoże pani mojej siostrzyczce?...

- Danielu!

Oderwał się od wspomnień i ujrzał Essie, wpatrzoną w niego z niepokojem.

- Róbcie, co trzeba - szepnął. - Ale nie mogę na to patrzeć... Na miłość boską, nie każcie mi na to patrzeć!

- Nie był w stanie wykrztusić nic więcej. Ruszył w stronę drzwi. Donovan poklepał go po ramieniu, ale nie poszedł za nim. Crocker był mu za to wdzięczny.

Nie waż się kochać! Nie przywiązuj się do nikogo! Mama ufała mi... Annie ufała mi... Obie zawiodłem. Nie kochaj mnie, Susan! Nie wierz we mnie...

Miałem zawsze cholernego pecha... aż do tej chwili.

Daniel zajrzał do dusznego wnętrza stajni, zabrał

z pierwszego boksu łopatę i znowu wyszedł na dwór.

Śnieg skrzypiał mu pod nogami, jakby i on go oskarżał. Lodowata wilgoć przenikała przez ubranie. Mgliste wspomnienia tłoczyły się w mózgu: Annie, Belle i „Klub Rozrywkowy”, sierociniec Benton House, oddział kawalerii, Agencja Pinkertona, Susan...

Kocham cię, Danielu... Kocham... Kocham...

Ostrze łopaty wbiło się w zlodowaciały śnieg. Chrapliwy zgrzyt wypełnił uszy Crockera. Ujrzał nagle inne zbocze, inny grób... Zmusił się do odrzucenia drugiej łopaty śniegu, potem jeszcze jednej, i jeszcze... Wreszcie ukazała się naga, skuta lodem ziemia. Daniel ciągle wymierzał *ciosy* łopatą, choć zamrożony grunt nie poddawał się ostrzu.

Dzięki tobie poznałam uczucia, o których nawet nie marzyłam!

Będziemy szczęśliwi, tacy szczęśliwi!... Przekonasz się, Danielu!

Z piersi Crockera wydarł się jęk. Padł na kolana, odrzucił głowę do tyłu. Usta rozwarły się w niemym krzyku. W duszy przeklinał Boga i zły los, gdyż żądali od niego kolejnej ofiary, karali go znów za to, że ośmielił się pokochać.

- Nie! - Krzyk Daniela przeszył zimową ciszę i odbił się echem od oblodzonych górskich zboczy. Cisza rozprysnęła się w tysiące odłamków. - Nie, do wszystkich diabłów, nie! - Jako chłopiec wygrzebał w ziemi niewielki dołek i pochował w nim siostrzyczkę, otuliwszy ją własną kurtką. Potem bez jednej łzy zostawił Annie w mrocznym wnętrzu ziemi na całą wieczność. Ale nie postąpił tak z Susan: nie pozwoli jej umrzeć!... Nie teraz, gdy wiosna się zbliża, a on tak bardzo pragnie jej miłości!

Gwałtownie odrzucił łopatę i przyglądał się, jak su-

nie po śniegu. Pochylił głowę, nabrał powietrza w płuca. Zmusi Susan, by została przy nim. Jakoś ją do tego zmusi!

Podniósł się z ziemi i odwrócił.

Za nim stał w śniegu olbrzymi mężczyzna.

- Gdzie ona jest? - spytał. - Gdzie Susan?

Crocker podszedł do niego. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć Maxowi. Susan opowiadała mu o nim. Mówiła, że jest inny niż wszyscy - zupełnie jak dziecko.

- Susan jest chora, Max.

- Chora? - Olbrzym spojrział na Daniela szeroko rozwartymi, nie rozumiejącymi oczyma. - Ale ona jest mi potrzebna!

Daniel bez słowa objął go ramieniem i zaprowadził do domu.

- Postaramy się, żeby Susan wyzdrowiała, Max. Ona jest nam obu potrzebna!

Kilka następnych godzin Crocker spędził w bawialni, starając się nie słuchać odgłosów dolatujących z kuchni, gdzie na stole leżała jego żona. Obaj z Maxem siedzieli w milczeniu, oparci o ścianę; wreszcie do pokoju wszedł Donovan.

- Doktor zakończył operację. Pomóż nam przenieść Susan.

Daniel poklepał Maxa uspokajająco po ramieniu i udał się do kuchni.

Nie zważając na krew, którą zalana była podłoga i stół, podszedł do żony. Wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i troskliwie okrył.

Przed wyjściem doktor jeszcze raz zajrzał do chorej.

- Szkoda, że nie mogę jej dać jakiegoś środka przeciwbólowego, ale apteka Gibby'ego spłonęła i zostałem prawie bez lekarstw.

- Mam w jukach trochę morfiny.
- To proszę *jej dać*, byle nie za dużo.
- Dziękuję, doktorze. - Daniel klepnął go w plecy i odprowadził do drzwi. Potem wydobył z juków flaszeczkę z białym proszkiem. Sypnął niewielką ilość do cynowego kubka z wodą, który Essie zostawiła na nocnym stoliku.

Na progu stanął Donovan.

- Doktor zostawił dla niej jakieś lekarstwo?
- Nie. Ale powiedział, że mogę dać jej trochę morfiny w proszku, tej od pana Gibby'ego.

Donovan kiwnął głową.

- Powinna pomóc. Podawałem ją moim ludziom podczas wojny i bardzo im... - Nagle urwał i zmarszczył czoło.

Crocker przytknął kubek do ust Susan.

- Nie, Danielu! Nie! - Reed rzucił się przez cały pokój i wytrącił kubek z rąk Daniela.

- Co, u diabła?!

Donovan schwycił stojącą na nocnym stoliku buteleczkę, powąchał lekarstwo i skrzywił się.

- Trucizna! Właśnie o tym Gibby usiłował nam powiedzieć! - Oczy mu błysnęły. - Żaden ze mnie ekspert od leków, ale założę się o każdą sumę, że to nie morfina!

Crocker zaklął. Jak długo jeszcze Beeb będzie zagroził jemu i jego bliskim?! Oby tylko Susan nie umarła przez niego!

Zapadł zmierzch, potem czarna noc. Daniel nie odstępował chorej żony. Minuty przeradzały się w godziny... w całe dni... w wieczność... Co wieczór Daniel zapalał lampy; nieustannie mówił do żony, usiłując ją wyrwać z nienaturalnego snu. Całkiem ochrypł, ale nie zrezygnował. Kiedy Susan drżała z zimna, kładł

się obok niej, ogrzewając ją własnym ciałem. Gdy wzrastała gorączka, obmywał ciało ukochanej wodą z domowej pompy. Raz po raz szeptał jej słowa zachęty i miłości; wpatrywał się w jej twarz, pragnąc dojrzeć jakąś - choćby najdrobniejszą - oznakę polepszenia, powrotu do zdrowia.

Doktor zjawiał się każdego dnia. Codziennie wychodził z pokoju chorej, smutno potrząsając głową. Esther i Donovan wspierali przyjaciela swą obecnością, starali się go pocieszyć. Cóż jednak mogli zdziałać? Co mógł zrobić sam Daniel?... Tylko czekać. I modlić się.

Noce wlokły się bez końca. Mijały kolejne dni: jeden, drugi, trzeci... Daniel był coraz bardziej zatrwożony. W pewnej chwili, gdy pochylił się nad Susan, by podciągnąć jej kołdrę pod szyję, poczuł straszliwe wyczerpanie. Ogarnęła go rozpacz.

Ukląkł przy łóżku żony, złożył głowę na jej pierś i objął ukochaną ramionami. Czuł, że niebawem zagaśnie w nim nadzieja.

Gwałtowny płacz wydobył się wreszcie z jego pierśi i wstrząsnął całym jego ciałem. Obejmując kurczowo drobną postać żony, drżał ze strachu, że ją utraci - mimo wszelkich wysiłków. Z najgłębszych zakamarków jego zbolełej duszy wynurzały się bolesne wspomnienia, wszystko to, co próbował zapomnieć, co starał się pogrzebać w niepamięci.

- Danielu?...

Skamieniał, wydało mu się, że krew przestała w nim płynąć.

Niezwykłe powoli podniósł głowę. Susan mrugała oczyma i marszczyła czoło, jakby nie mogąc pojąć, co się dzieje.

- Czemu... płaczesz?...

Daniel wpatrywał się w nią, usiłując przekonać samego siebie, że to nie sen... A jeśli nawet sen, to on już nigdy się z niego nie obudzi...

Wycieńczona Susan drżała na całym ciele. Zdołała jednak jakimś cudem przesunąć dłońią po kołdrze i dotknąć palców męża.

- D... Danielu?...

Płacz dusił go jeszcze za gardło, ale na ustach pojawił mu się już uśmiech triumfu.

- C... coś złego?...

Crocker potrząsnął głową i otarł łzy, które nie przestawały kapać.

- Nic złego. Nic a nic, psiakrew!

Susan próbowała się uśmiechnąć, ale widać było, że nadal niczego nie pojmuje.

Daniel chciał wstać, zawołać Essie i Donovana, zawiadomić Kuttera, Maxa, doktora!

- Nie idź... - Spojrzała na niego tak, że cała reszta świata przestała istnieć.

- Kocham cię, Susan - wymamrotał.

Uśmiechnęła się.

- Wiedziałam... że to powiesz... już wkrótce...

Daniel doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak słaba i wyczerpana jest jego żona; położył się więc obok niej i przyciągnął ją do siebie, by mogła oprzeć głowę na jego ramieniu. Ręka Susan zakradła się na pierś męża, a on zanurzył palce w jej włosach.

- Susan?... - Do duszy Daniela zstąpił całkowity spokój, gdy na dźwięk swego imienia żona powiodła leciutko dłońią po jego skórze. - Czy ci mówiłem, że na zboczu jest źródło czystej wody? A w lecie...

Epilog

Ashton, Terytorium Wyoming
6 kwietnia 1889 r.

Cichy pomruk burzy przetoczył się nad doliną. Niósł ze sobą wilgotny zapach deszczu.

Susan poruszyła się, ziewnęła i wyciągnęła rękę na drugą stronę łóżka, szukając ciepłego ciała śpiącego obok niej męża. Natrafiła tylko na wystygłą pościel i stłamszone poduszki. Otworzyła oczy.

Noc otuliła ich pokój ciemnym, aksamitnym płaszczem. Sporadyczne błyskawice rzucały na łóżko srebrną poświatę. Susan leżała na wznak, wsłuchując się w bębnienie deszczu o szyby i czekając na Daniela.

Następny grzmot zahuczał nieszkodliwie nad głową. Susan uśmiechnęła się. Deszcz spłucze resztki śniegu z górskich zboczy. Niebawem zakwitną forsycje, potem bzy...

Tak się rozmarzyła o wiosnie, że niemal czuła zapach trawy i kwiatów. Leżała, wpatrując się w grę światła na suficie: błyskawice, smugi deszczu... Minęło dobrych kilka minut, a Daniela ani śladu! Wyszła więc spod kołdry i sięgnęła po szlafrok. Gładkie, lśniące deski podłogi chłodziły jej stopy, gdy na bosaka szła przez pokój. Otworzyła drzwi i wówczas cichy ton męzowskiego głosu zdradził jej, gdzie znajduje Daniela.

Susan uśmiechnęła się pobłażliwie i otuliwszy się szlafrokiem, zawiązała pasek na nieznacznej jeszcze wypukłości brzucha. Cichutko podeszła do drzwi drugiej sypialni. Zatrzymała się na progu.

Dwie znajdujące się w pokoju osoby nie spostrzegły jej. Potężna postać Daniela wyglądała nieco groteskowo na dziecinnym łóżeczku. Nie było jednak nic groteskowego w czułym uścisku, jakim obejmował malutką dziewczynkę, ani w wyrazie jego twarzy, pełnej miłości.

Susan oparła się o drzwi, przypatrując się, jak mąż szeroką, stwardniałą od pracy ręką gładzi miedziane kędziorki ich córki i mruczy cicho jakieś kojące słowa.

Rozległ się następny grzmot. Annabelle uczepliła się kurczowo ojca. Po jej buzi spływały strużki łez.

- Jeszcze się boisz? - spytał Daniel tak cicho, że Susan ledwie usłyszała jego słowa.

Pierś Annabelle unosiła się nierównym oddechem.

- Nie lubię burzy...

- Ciiicho... - Daniel przygarnął dziewczynkę mocniej, ścierając łezki z jej twarzy. - Nie wstydź się tego, że się boisz. Każdy od czasu do czasu czegoś się złąknie.

- Nawet ty, tatusiu?

Ręce Susan zacisnęły się na wycięciu szlafroka. Ten lekki ruch sprawił, że mąż spojrział w jej kierunku.

- Nawet ja - głos Daniela był dziwnie zdławiony. - Ale nauczyłem się już, że jeśli nas ktoś kocha, to nie musimy się niczego obawiać. - Objął jeszcze mocniej drobne ciało Annabelle. Nad głową dziecka wpatrywał się w Susan. Jego oczy płonęły miłością i zachwytem, które z upływem lat nie malały, lecz rosły.

- Nigdy nie zapominaj o tym, Annabelle, jak bar-

dzo cię kochamy, twoja mamusia i ja. Wtedy będziesz zawsze czuła się bezpieczna. - W jego głosie brzmiało głębokie przekonanie. - Miłość to coś, co nigdy nie umiera!

Susan wpatrywała się w męża równie intensywnie, jak on w nią. Razem zdołali pokonać koszmary przeszłości i wkroczyć w jasną, szczęśliwą przyszłość. Daleki pomruk burzy nie był już dla nich zwiastunem nieszczęścia, tylko zapowiedzią chłodnego, ożywczego deszczu.